

1. S. Karvická - Schick
2. Aër - Kludreus
3. Rožan - Dobrowe odoreus
4. M. Baris - les d'rasius

Harry douoir

Sata odebracia i odes

turresien

Steschowice

Maj

Bneris II

Ceswice

Wleusucie

hipise

Djanus

Sirpian

Podot

Wresia

Piotunka

padnick

Maglowice

hislopas

Desno

Grodzice

Lowicza

Styrene

Szczecin

Rudy

Pawlowice

Mance

Microwice

Wroclaw

Bresla I



SZKICE OBYCZAJOWE I HISTORYCZNE.

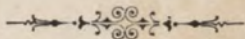
SZKICE

OBYCZAJOWE I HISTORYCZNE

PRZEZ

35192

Józefa Dunin Karwického.



WARSZAWA.

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA.

KRAKÓW. G. GEBETHNER I SPÓŁKA.

1882.



35192

H- 122 237

W Drukarni Wł. L. Anczyca i Spółki.

v.
28.8.67
A. 262/67
ww

ROZDZIAŁ I.

Z przeszłości Wołynia.

Pierwsze dziesięć lat, które nastąpiły na Wołyniu po ostatnim rozbiorze, od r. 1796 po r. 1806, odznaczały się dziwną jakąś wesołością, którą prędzej hulaszczością nazwać by wypadalo. Dziś, sądząc z opowiadań osób społecznych, wydaje się nam, jakby obywatele tej prowincyi obalamucić się chcieli, jakby po prostu pragnęli wśród zabaw i szalonych tańców, połączonych z pijatyką, zapomnieć o klęskach, które na nich i na kraj spadły. Inaczej to bowiem wytłumaczyć się nie da.

Prowincye te urządził początkowo przysłany z ramienia cesarzowej Katarzyny generał-porucznik Tiutiulin. Miał rozkaz założyć siedlisko władzy gubernialnej w Zaslawiu, jako w punkcie centralnym Wołynia; tam też i obrał swą rezydencyę. Później dopiero, wskutek rozkazów odebranych ze stolicy, przeniósł ją do Żytomierza, położonego rzeczywiście na samem pograniczu gubernii kijowskiej. Wiadomo bowiem, że od r. 1792—93 dzisiejsza gubernia wołyńska dzieliła się na dwa województwa: wołyńskie i kijowskie,

z których każde liczyło po trzy powiaty. Do województwa kijowskiego należały powiaty: żytomirski, owrucki i właściwa polska Ukraina, rozciągająca się od Radomyśla ku Dnieprowi aż do Czerkas i Czehryna, chociaż sam Kijów odpadł już od dawna od Polski wskutek traktatu andruszowskiego. Województwo wołyńskie składało się z powiatów: krzemienieckiego, luckiego i włodzimierskiego. Każde z tych województw miało jedno miasto główne, gdzie, oprócz sądów grodowych, była niby stolica rządu, a właściwie gdzie się odbywały ważniejsze zjazdy obywateli dla obioru posłów na sejm, deputatów na trybunał, na urzęda sądowe i t. p. Takiemi były: Żytomierz dla województwa kijowskiego, a Łuck dla wołyńskiego. Godnem jest także uwagi, że Włodzimierz był nominalną stolicą województwa czernichowskiego, odpadłego do Rossyi wraz z Ukrainą zadnieprzańską. Tam odbywały się zjazdy szlachty i urzędników tego województwa, pozostałego jakby *in partibus infidelium*, bo do ostatniego roku istnienia naszej Rzeczypospolitej spotykamy wszystkich urzędników ziemskich tego województwa; urzęda te i wszystkich innych województw odpadłych od Polski nadawane były przez ostatnich naszych królów i nigdy nie wakowały; naturalnie, że o starostwach czyli królewskich czynach mowy tu nie było, bo jako położone za Dnieprem, *de facto* należały już do Rossyi, lecz senatorowie, to jest wojewoda i kasztelan czernichowscy, zasiadali w senacie i mieli swe miejsce po senatorach inflantskiego województwa.

Było to poniekąd protestacją przeciw minionej przeszłości, a królowie sami byli za utrzymaniem tych nominalnych urzędów, których rozdawnictwo starczyło im *ad captandam benevolentiam*. Tłómaczy się to również zamiłowaniem dziadów naszych do tytułów, choćby dla koperty; rzadko bowiem w owych czasach szlachcie osiadły *possessionatus et bene natus* obejść się mógł bez jakiegobądź tytułiku, dodanego do rodzinnego nazwiska. Z urodzonego stawał się od-

razu wielmożnym, co też niemałą było pociechą dla niego samego, dla jejmości i dla dorastających synów i córek.

Otóż, gdy generał-porucznik Tiutiulin pierwszy raz wjeżdżał na wielkorządztwo wołyńskie, młodzież obywatelska, po jednym z każdego powiatu, asystowała mu konno, przybrana z francuska, w barwy powiatowe, a powiatów ustanowiono już wtedy dwanaście, w granicach dzisiejszych; pozostały one do obecnego czasu, z tą tylko zmianą, że Berdyczów wcielono do gubernii kijowskiej. Rozumie się, że bez balu, wydanego przez miejscowe obywatelstwo dla nowego wielkorządcy i oblanego sutemi libacyami, nie obeszło się. Zналиśmy jeszcze dwóch owoczesnych reprezentantów powiatowych, prezesa Pawła Jelowickiego i sędziego Karola Dobieckiego, majora kościuszkowskiego, deputata sądu głównego wołyńskiego z r. 1804, zmarłych przed kilkoma laty. Żywo nam jeszcze stoją w pamięci ci obydwa dziewięćdziesięcio-kilko-letni staruszkowie; lubili oni sobie dawne czasy przypominać, posiadali dziwnie miły sposób opowiadania, z jakim się już dziś coraz rzadziej spotkać można. Ludzie tej epoki mniej zapewne czytali od nas; literatura też nasza nie posiadała wówczas tylu pamiętników, które w ostatnich latach dziesięciu się pojawiły; ale widać, że niektórzy notowali sobie ważniejsze wypadki swego życia, które po większej części przechodziło na usługę publicznej. Życie w ogólności było bardzo ruchliwe. Szlachcic domator stanowił wyjątek w społeczeństwie; ciągle przejazdy na sejmy, na trybunały, na kondescencye, eksdywizye, zjazdy obywatelskie, sejmiki dla obioru posłów, sądy kompromisarskie, submitowanie się senatorom rezydującym w okolicy, zresztą imieniny, wesela, festyny, chrzciny, pogrzeby w sąsiedztwie, przyczem najczęściej trzeba było mowę okolicznościową wygłosić, nie dawały ani dnia jednego spocząć szlachcicowi w domu. Zostawiał też dom i całe gospodarstwo na opiece swej szanownej połowicy, a sam jeździł z dworu do dworu, nie opuszczając też okazji parę razy do roku suto

u siebie podejmować bliższe i dalsze sąsiedztwo. Niedziw więc, że na starość miał co opowiadać, ale przyznać też trzeba, że i umieli opowiadać; szczególnie całą genealogię wojewódzką, niemal całego kraju, znali na palcach; pokrewieństwa najdalsze osób skoligaconych były im doskonale i obowiązkowo znane: dziś zaś młody obywatel ciotecznych i stryjecznych swych ledwie wyliczyć potrafi; to też związki rodzinne, na których opierał się cały ustrój naszego kraju, coraz bardziej słabną. Czy lepiej na tem wyjdziemy, przyszłość dopiero okaże.

Niezaprzeczenie jednak, że pobyt Wielkiego Księcia Cesarzewicza Konstantego Pawłowicza, mianowanego przez brata, Cesarza Aleksandra I, generał-inspektorem całej kawalerii, przyczynił się niemało w owej epoce do tych szalonych zabaw na Wołyniu. Młody, w samej sile wieku, bo ledwie dwadzieścia kilka lat liczący, lubiący się bawić, zapamiętały tancerz, otoczony błyszczącą świtą, złożoną z przeszło dwudziestu oficerów, Wielki Książę przenosił się z jednego domu do drugiego. Wszędzie był pożądanym, wszędzie go z przejściem witano, bo przybyciem swem wyświadczał niemały honor domowi. Umiał też sobie zyskać sympatyę ogółu, i szczerze go w owej epoce na Wołyniu lubiano, mimo jego znanej popędliwości i prędkości, od której tylko lustrowane przez niego pułki kawalerii srodze nieraz cierpiały; choć przyznać trzeba, że miał uczucie sprawiedliwości dziwnie wysoko wykształcone; żałował nieraz swej prędkości i najszczerzej się do tego w rozmowach przyznawał. Dla dam zaś był z najwyszukańszą grzecznością i rad był znajdować się w gronie naszych pięknych Polek.

Na czele świty W.-Książęcej, złożonej z wyboru oficerów kawalerii, stał generał Bauer, szef huzarów pawłogradzkich. O tej dość znanej i sympatycznej osobistości, o której tak często wspomina Detiuk w swych pamiętnikach, zbytecznym byłoby się szerzej rozpisywać. Był on też ulubieńcem dam wołyńskich z owej epoki, i sami słyszeliśmy

starców opowiadających o Bauerze, że panny ówczesne na Wołyniu nie mawiały jak mamę kocham, ale jak Bauera kocham. Później na czele świty stał pułkownik Panczulizow, Doniec, sławny siłacz i sławny śpiewak przy teorbanie, a przytem dziwnie miły i sympatyczny człowiek. On to w Dubnie, w zamku ks. Lubomirskich, jednego z pierwszych magnatów wołyńskich, wyzywającego go na siłę, przerzucił przez stół nakryty na dwadzieścia osób; a gdy przychodził do kogo w odwiedzinie i nie zastawał gospodarza w domu, brał szczypee żelazne od kominka, skręcał je w kłębek, mówiąc służbie, że to moja karta wizytowa. Dwór podrózny składał się z dwóch kamerdynerów, kilku kamerlokai i dwóch kucharzy, którzy wszędzie, gdziekolwiek W. Książę się znajdował, dla niego gotowali; wyjątek tylko stanowiły Żukowce, należące wówczas do Adama Rzysszczewskiego kasztelana lubaczewskiego, gdzie W. Książę po parę tygodni chętnie bawił i najlepiej czas przepędzał, wśród zabaw i tańców w gronie dobranego i ochoczego towarzysza. W Żukowcach stawał zwykle w starej drewnianej oficynie, dziś już nieegzystującej; na jej miejscu stoi obecnie ogrodowy domek w nowomodnym stylu *rustique*, który pozostaje dotąd jednym z najmilszych wspomnień naszej młodości. Tam to zabraniał gotować dla siebie swym kucharzom i stawiać szyldwachy u swych drzwi, mówiąc głośno i szczerze: *que je suis dans la maison d'un ami*. Dziwną okazywał sympatyę dla młodego kasztelanica, Gabryela Rzysszczewskiego, wymógł nawet słowo na ojcu, iż obiecał przysłać mu syna do Petersburga. I rzeczywiście, gdy młody Gabryel w roku 1802 przybył do Petersburga w chwili, gdy wojska gwardyi zebrane były pod Gieczyną dla manewrów, i zameldował swe przybycie W. Księżciu, kazał mu się niezwłocznie stawić w obozie we fraku, co wszystkich najmocniej zdziwiło, gdyż wstęp do obozu osobom stanu cywilnego był wówczas najsurowiej wzbroniony. Przyjął go jak najlaskawiej, z nietajoną radością, zacierając ręce po-

dług swego zwyczaju, rozpytywał się o zdrowie kasztelanostwa i wszystkich swych znajomych na Wołyniu, i uprosił swego brata, N. Cesarza Aleksandra, że go mianował odrazu porucznikiem w pierwszym szwadronie konnej gwardyi, biorąc za pretekst, że kasztelanie piastował już wówczas od wyborów urząd chorążego powiatu krzemienieckiego, równający się w hierarchii cywilnej randze oficerskiej; przyczem zaraz osobiście, tuż w obozie, przedstawił go N. Panu. Nie zawiódł się też młody porucznik na łaskach W. Księcia, umieścił go bowiem obok siebie w pałacu marmurowym, otoczył go najserdeczniejszą, niemal rodzicielską opieką, przywiązał go do swej osoby; choć, co do służby, był dla niego równie surowym, jak dla innych. A wiadomo z historii, jakim to rygorystą był W. Książę we wszystkim, co się odnosiło do rzemiosła wojennego: za najmniejsze przewinienie skazywał oficerów na „*lichoradkę*,” — to jest na febrę, — na miesiąc lub dwa. Oznaczało to, że skazany na tę karę odsiadywał dzień jeden na kordygardzie, a drugi dzień pełnił służbę czynną. Służba więc taka była bardzo dobrą szkołą dla młodzieńca i posłużyła mu znakomicie w późniejszej jego świetnej karierze wojskowej, odbytej wprawdzie pod innemi sztandarami. Długo nie zgadzał się W. Książę na udzielenie mu dymissyi, gdy znaglony przez starego ojca, musiał wracać na Wołyn; uległ wreszcie choć z żalem prośbom sędziwego kasztelana, zachowując zawsze dla syna najlepsze względy. W lat kilkanaście potem, gdy formował wojsko polskie, uchwalone dla kongresowego Królestwa, którego, jak wiadomo, W. Książę Konstanty został naczelnym wodzem, wspomniał raz jeszcze o swym ulubieńcu, poruczniku konnej gwardyi, a wtedy już jenerale byłego Księstwa Warszawskiego, który na czele sformowanego własnym kosztem 12 pułku ułanów, odbył świetnie kampanię 1812 r. Wezwał go w swym przejeździe do Dubna, posyłając umyślnie do Żukowiec adjutanta swego, jenerała Turno, i ofiarując mu znaczną komendę w Warszawie. Niewiadome

są rzeczywiste powody, które skłoniły wówczas generała Rzyszczewskiego do usunięcia się od przyjęcia propozycji, tak łaskawie mu zrobionej przez Cesarzewicza. Dość, że widzimy odtąd generała Rzyszczewskiego, z żalem wyrzekającego się dalszej karyery wojskowej, tak świetnie za młodu rozpoczętej, i poświęcającego się spokojnie na wsi bardzo starannemu wychowaniu licznego potomstwa, którem Bóg związek jego z księżniczką Celestyną Czartoryską, córką księcia Józefa, stolnika W. X. L., pobłogosławił. Ślub z nią brał przed samem rozpoczęciem kampanii 1812 r. w Warszawie, w kościele św. Krzyża, a szwadron 12 pułku ułanów, rozwinięty na Krakowskiem przedmieściu, witał młodziutką żonę swego szefa i dowódcy. Nie odmawiał też współobywatelom swych posług, wiemy bowiem, że przed r. 1830 piastował urząd marszałka szlachty powiatu krzemienieckiego, a tem samem prezesa opieki szlacheckiej. Oprócz bezpłatnej reprezentacji powiatowej i podejmowania *ex officio*, własnym kosztem, wszystkich dostojników, nawiedzających powiat,— marszałek był rzeczywistym opiekunem wdów i sierót, a z urzędu, i całej klasy włościańskiej w jej stosunku z obywatelami. — Takim to marszałkiem był i generał Rzyszczewski. Mamy przed sobą fakta, świadczące, że otarł niejedną łzę niedoli, i że hojną rękąłożył na wychowanie sierot szlacheckich. Później, w domowem zaciszu, pracował nad organizowaniem swoich licznych posiadłości ziemskich i nad ulepszeniem bytu włościan, tak blisko związanego, ówczesnemi prawami, z bytem samych obywateli. I tak, stary żołnierz zamienił, jak Cyncynat, oręż na lemiesz, i zakończył pracowity, a w końcu cichy żywot w r. 1857, w swych ulubionych Żukowcach, gdzie w pamięci nas wszystkich, którzy go znaleźmy i szanowaliśmy, przedstawia się, jako śliczny typ ówczesnego świetnego oficera, odznaczającego się, oprócz wojskowych fachowych wiadomości, wysokim rozumem, gruntownem wykształceniem naukowem i tą wrodzoną elegancją, którą się nabywa jedynie przez obcowanie

za młodu w najwyższych sferach stolicy i w wykwiintnem towarzystwie, którem Wołyń w owych latach dziesięciu się odznaczał.

Lecz wróćmy do młodości W. Księcia Konstantego, a raczej do jego pobytu na Wołyniu. Jak powiedzieliśmy wyżej, miał sobie powierzone przez Najjaśniejszego swego Brata jeneralne inspektorstwo nad kawaleryą, rozłożoną od Machnowki aż po Łuck i Włodzimierz. W ciągłych swych objazdach i rewiach, przenosił się prawie nieustannie z jednego domu obywatelskiego do drugiego. Lecz najczęściej i najdłużej gościł: w Żukowcach u kasztelana Rzysszczewskiego; w Tucynie u Michała Walewskiego wojewody siedradzkiego, gdzie jego faworyt Bauer rad przemieszkiwał; w Mizocz u Krzysztofa Dunin-Karwickiego jenerała-lejtanta wojsk polskich, byłego szefa regimentu imienia królowej Jadwigi i kolegi Kościuszki; w Wiszniowcu u Michała Mniszcha marszałka w. koronnego; w Dubnie i w Równem u książąt Lubomirskich. Bywał też czasami i w Temnohajcach u szambelana Wąsowicza, którego bardzo lubił, rad z niego żartował, i zawsze nazywał swym „hofmarszałem“, gdyż szambelan, wielki znawca win, mający ogromny, fenomenalny apetyt i mogący wypić za dziesięciu, objeżdżał zwykle okolicę pod pozorem zbierania win u szlachty na przyjęcie dla W. Księcia, — przyczem, rozumie się, próbując wina i wiedząc doskonale, w jakim domu są najlepsze, o sobie nie zapominał i suto dogadzał swemu gustowi. Był to człowiek rozumny i dziwnie sprytny, mający zawsze gotową odpowiedź, — z niewzruszoną powagą opowiadał najkomiczniejsze rzeczy i pozwalał W. Księciu z siebie żartować, bo wiedział bardzo dobrze, że go to bawilo; lecz nigdy źle nie wyszedł na żartach, które mu Wielki Książę, młody i wesoły podówczas, rad płał. Była to jednym słowem charakterystyczna i dziwnie jowialna postać, jakich już na świecie nie spotykamy. Poetyczne jego łgarstwa obiegały całą okolicę; w opowiadaniach i anegdotach jego,

któremi sypał jak z rękawa, tkwił rozum praktyczny i wielka znajomość serca ludzkiego; każdego ośmiał, lecz nikogo nie obraził: to też wszędzie był radośnie witany, i nie było zabawy bez szambelana Wąsowicza. Tryb życia w czasie takich odwiedzin był zawsze jednakowy. W. Książę wstawał o 5-tej rano, wyjeżdżał zaraz, otoczony świtą, dla lustrowania i mustrowania pułków kawaleryi, przedwcześnie już zebranych w okolicy, przyczem komendanci i oficerowie musieli znosić nieraz wybryki jego złego humoru. Dostawało się też nieraz p. Bartłomiejowi Giżyckiemu, późniejszemu gubernatorowi wołyńskiemu, a ówczesnemu dowódcy pułku Jej Cesarskiej Mości, który konsystował w Wiszniowcu. Wracał koło pierwszej z południa, a odpocząwszy chwilę, udawał się o drugiej na pokoje do gospodarstwa na obiad; poczem wkrótce następował bal, mniej więcej liczny, zależnie od okolicy, ale zawsze ożywiony, a na którym szczególnie pięknych i hożych panien nie brakło. Wielki Książę tańczył do upadłego mazura i inne tańce, strasznie żwawo i ochoczo, nigdy jednak za północ, bo na drugi dzień o 5-tej rano był już na koniu. Nie znano wówczas tych późnych obiadów, kończących się ledwie o 8-mej lub 9-tej wieczorem. Przy wczesnym obiedzie, bal rozpoczynał się również wczesnie, tak, że do północy wszyscy mieli sposobność wytańczyć się do syta. Całe towarzystwo wesolo się bawiło. Panowie szlachta i oficerowie pili solennie; mamy przed sobą listy współczesne, z których się dowiadujemy, że na podobnej recepcyi, w Janowie u Chołoniewskiego miecznika w. koronnego, wypito w parę dni 350 butelek szampana i 55 butelek stuletniego węgryna, oprócz lekkich win francuskich, któremi gardło przepłukiwano. W. Książę nigdy nie nie pił, oprócz wody; w wyjątkowych ledwie okolicznościach pozwalał sobie kieliszek starego węgryna, i odznaczał się swą trzeźwością w wieku, w którym wino pijano jak wodę. W ogóle była to natura strasznie silna, i zauważyć trzeba, że przepędzić pół dnia na koniu, a drugie pół dnia po

krótkim wypoczynku, tańczyć do upadłego, to dziś z pewnością rzadko kto potrafi; i to nie jeden dzień albo dwa, ale tygodnie, miesiące mijały wśród takiego życia. Wielki Książę przejeżdżał z jednego domu do drugiego, i wszędzie magnaci i szlachta podobnie go przyjmowali; oficerowie świty, choć także młodzi, ledwie wytrzymywali; jeden W. Książę był zawsze czerstwy, zdrow i wesół, i życie podobne nie zdawało się bynajmniej go utrudzać.

Sprawiedliwie też powiedzieć można, że na Wołyniu prze hulano i przetańczono ten lat dziesiątek; wszystkie ówczesne pamiętniki o tem świadczą, a opowiadania starców żyjących wśród nas lub niedawno zmarłych, bardziej to jeszcze potwierdzają. Latem wyprawiano jakieś podwieczorki w lesie, spacery po wodzie, żywe obrazy, przeróżne siurpryzy i niespodzianki, a wszystko to zakończone koniecznie tańcami i hulanką. Przykład brano z Puław, służyły one za wzór dla całego kraju; widzimy też, że Wołyń bynajmniej na tem polu nie wyróżnił się. Zdawałoby się, że ci ludzie nie mieli czasu nigdy nic poważniejszego przeczytać, o czemś ważniejszym pomyśleć, bo całe życie ich było jakby jedną zabawą, jedną niespodzianką, jakby ciągłym karnawalem, wśród którego każdy się tylko wysadzał na nowy pomysł dla świeżej zabawy. Rzeczywiście, że z boku patrząc i słysząc opowiadania starców o tym dziesiątku lat na Wołyniu, wynosi się o nim to lekkie, jakby hulaszce wspomnienie; ale zastanowiwszy się głębiej nad tą epoką, — zbadawszy sumiennie to, co społeczność ówczesna wytworzyła, jakich ludzi wydała, jakie zakłady naukowe wzięły wtedy właśnie swój początek, — musimy pomimo to schylić czoło przed ówczesnem towarzystwem, które, choć miało nogi ochoce do tańca, lecz miało również serce i worki otwarte na każde szlachetne wezwanie. Jedna postać taka, jak Tadeusza Czackiego, wszędzie i zawsze byłaby chlubą i ozdobą każdego narodu. Wszak ona niezaprzeczenie należy do Wołynia i właśnie do owej epoki, o której piszemy.

Wtedy to on, jako prezes komisyi edukacyjnej, wskrzeszonej na nowo za jego staraniem dla windykowania dóbr pojezuickich, stanowiących fundusz edukacyjny, najbardziej pracował nad założeniem, a szczególnie nad uposażeniem swej ulubionej szkoły krzemienieckiej. Głos jego nie był, jak później, głosem wołającego na puszczy, bo wszyscy szczerze się do tego przykładali; wszyscy panowie i szlachta, których zabawy tu opisujemy, porobili hojne zapisy na szkołę krzemieniecką, — do dziś dnia rzadki majątek na Wołyniu, na którymby nie ciążył podobny legat. Wpływ warszawskiego Towarzystwa przyjaciół nauk czuć się dawał w tej prowincyi. Każdy znaczniejszy obywatel, pojmując doskonale ducha tego towarzystwa, starał się, w zakresie swej władzy dominialnej, przyłożyć skromną cegielkę do przyszłego gmachu oświaty narodowej. Dowodem tego są liczne szkółki parafialne, tak nazwane szkółki funduszowe, gęsto rozsiane po Wołyniu — i znajdujące się do niedawnego czasu jeszcze w każdym prawie znaczniejszym dominium, a dziś przekształcone na szkoły narodowe dla klasy włościańskiej. W takiej szkółce parafialnej wychowywano kilku lub kilkadziesiąt chłopaków, synów ubogiej szlachty lub zamożnych włościan, należących do dóbr. Dziedzie, który ponosił wszelkie bez wyjątku koszta, był z prawa kuratorem szkółki; wszystkie zaś one podlegały wizytatorowi prowincyi, którym był wiekopomnej pamięci Tadeusz Czacki, a później Moniuszko i Jan Wyleżyński. Ruch umysłowy Wołynia skupiał się całkiem w Krzemieńcu, żył sam sobą, samoistnie, lecz czerpał swe wzory w Wilnie, gdzie uniwersytet tamtejszy zaczynał właśnie swe odradzające działanie, a później w Warszawie.

Krzemieńce miał znakomitych professorów, jako to: Czecha i Wyżewskiego, matematyki; Jakubowskiego i Jurkowskiego, literatury starożytnej; księdza prałata Osińskiego, literatury łacińskiej; Józefa Korzeniowskiego, znanego autora, literatury polskiej; Uldyńskiego, historyi powszechnej;

Zienowicza, nauk przyrodzonych; Karola Kaczkowskiego, późniejszego generał-sztabslekarza, higieny; Chońskiego, ekonomii politycznej; Jarkowskiego, bibliografii, i wielu innych; a i ludzie prywatni oddawali się naukom, — prace i badania chemiczne hr. Aleksandra Chodkiewicza dziedzica Młynowa, równie jak badania nad starożytnością słynnego orientalisty, hr. Jana Potockiego, nie zostały bez śladu. Nie wspominamy tu Jundzilla, obydwóch braci Śniadeckich i wiele innych znakomitości ówczesnych, należących do uniwersytetu wileńskiego, gdyż kreślimy tylko obrazek przeszłości Wołynia i chcemy przekonać, że towarzystwo, bawiąc się i hulając znakomicie, umiało się poważnie na życie zapatrywać.

Dla tych, którzy nie lubili poważniejszych zajęć lub dążeń do czegoś lepszego, życie towarzyskie Wołynia, tak świetne i wesole, musiało się wydawać rajem. Jeżdżono od domu do domu, na imieniny, urodziny, recepcye i przeróżne festyny, wydawane z powodu różnych okoliczności. Każdy z przyjeżdżających zastawał gościnne przyjęcie, bo przywoził z sobą znakomity zasób weselości i dobrego humoru. Szlachta była bogata; magnaci, władając wielkimi dobrami, przy małych podatkach krajowych, opływali w dostatkach; mieli więc czem i za co przyjmować. Świetność kontraktów dubieńskich, przeniesionych ze Lwowa do Dubna, w czasie których bywały obroty kilkunasto-milionowe, prowadzone, prócz osób prywatnych, przez słynne w owym czasie banki księcia Ponińskiego, Prota Potockiego i firmy warszawskiej, Tepera i Szulca, najlepiej świadczą o bogactwie Wołynia. Ceny zaś na wszystkie produkty domowe były daleko niższe niż dziś; drób, mięso wszelkie, leguminy, były za bezcen, i do tego swoje; a szyper spławiający pszenicę do Gdańska, przywoził za nią nowiuteńkie obrączkowe dukaty holenderskie, a w dodatku wracały szkuty naładowane bakaliami, kawą, oliwą, szampanem, okseftami piwa angielskiego, porteru i renomowanego bardzo burgunda pod

bardzo znaną marką S. S., cukrem kolonialnym, puderkami gdańskiej wódki, złożonemi piernikami i t. p. i t. p., tak, że przez okrągły rok nie się nie wydało z gotówki, a bieżące domowe potrzeby opędzało się dochodami z propinacyi i czynszów bardzo znacznych z rozległych włości. Gospodarstwo zaś szło bardzo łatwo przy zapewnionej robociźnie pańszczyznianej. Niektóre wołyńskie majątki urządzone były wtedy wzorowo, na wzór zagranicznych. Wspomnijmy tylko o dobrach księstwa koreckiego, gdzie dziedzic, książę Józef Czartoryski, oprócz poprawnego gospodarstwa rolnego, zaprowadził w owym czasie, z prawdziwą korzyścią dla kraju, fabrykę sukieną i słynną fabrykę koreckiej porcelany, okazy której rywalizują dziś ze starymi wyrobami fabryki saskiej. Rynek miasta Korca zabudował się wówczas, z polecenia księcia, ładnemi murowanemi kamienicami, nadającemi miastu charakter miast niemieckich.

Budynki ekonomiczne celowały wzorowym porządkiem; sprowadzano z zagranicy śliczne bydło holenderskie i szwajcarskie dla rozplodu; wszystkie drogi, od jednego folwarku do drugiego, wysadzono topolami nadwiślańskimi, dziś olbrzymio rozrosłemi i świadczącemi dotąd, jak panowie ówczesni dbali o swoje dobra. W ogóle obywatele starali się podtrzymać dobrobyt włościan, bo od tego ich własny dobrobyt zależał. Nie było ofiar, przed któremiby się sumienny dziedzic zawahał. Płacono za włościan podatki rządowe, obsiewano im pola, podupadłym dawano konie i bydło robocze, zakładano z własnej inicjatywy magazyny zapasowe dla gromad, poprzedzając o lat kilkadziesiąt myśl, którą później rząd obowiązkowo dla obywateli rozwinął; uposażono swych poddanych bardzo szczerze gruntami ornemi i sianożęciami; co przy wprowadzeniu inwentarzy rządowych w r. 1847 stało się ich prawnym nadziałem. Najtrudniejszy nawet podatek dla włościan, to jest powinność rekrucką, starano się przeprowadzić z najściślejszą sumiennością i sprawiedliwością, oddając do wojska ludzi niemoralnych i zepsu-

tych, którzy po długiej służbie wracali nieraz zupełnie poprawionymi. Powiem więcej, że znaleźliśmy godnych obywateli, którzy swe ulubione włości, w których się rodzili, zupełnie zwolnili od powinności rekruckiej, wołąc podatek ten ponosić w gotowiznie, niż rozstawać się ze swymi włościanami. To téż i Wołyń, przy reformie zaprowadzonej w r. 1861, a uwłaszczającej dla włościan grunta przez nich używane, — odznaczał się, pomiędzy innemi prowincjami, największemi nadziałami włościańskimi. Niejeden tu, i bardzo słusznie, powie, że w owym czasie bywały liczne i głośnie nadużycia, że dopuszczano się nieraz krzyżących niesprawiedliwości nad włościanami, będącymi podług praw krajowych w zupełnej zależności od swych obywateli. Na to odpowiem z całą szczerością: bywały nadużycia, lecz stanowiły one wyjątki, potępiane przez ogół, karane przez opinię publiczną. Obywatel srogi, tyran, źle był widziany w owoczesnem towarzystwie. Przy takim stanie rzeczy i takim dobrobycie kraju i społeczności, dziwić się nie trzeba, że zapowiedziane odwiedziny W. Księcia wszędzie ochoczo były witane, bo to dawało pochop do nowych zabaw, do nowych festynów. Kobiet młodych, ślicznych i lubiących się bawić, było mnóstwo w każdej okolicy, młodzież była wesola i dobrana, nietrudno było, jak teraz, wyciągnąć ją do tańca.

Dla przykładu, weźmy tylko okolice Żukowiec, więcej nam znaną z opowiadania. Gdy kasztelan Rzyszczewski uczyć chciał balem niespodziewany często przyjazd W. Księcia, w promieniu najwięcej dwu-milowym, na gościnne wezwanie gospodarza, zbierało się do tańca, odrazu i bez żadnego przygotowania, kilkanaście par hożej i ochoczej młodzieży. Z jednej Domaninki, odległej od Żukowiec o pół mili, przyjeżdżał p. starosta Polanowski z czterema córkami; p. sędzia Niniewski z córką, późniejszą sędziną Strzałkowską; p. szambelan Małachowski z dwoma córkami; z Temnohajec p. szambelan Wąsowicz z trzema siostrzenicami,

pannami Ziemięckimi; z Kutysk p. Przyłuski z córką, późniejszą panią Franciszkową Małachowską. Dodajmy do tego dwie kasztelanki Rzyszczewskie, z których jedna, Salomea, poszła za grafa Fryderyka Moszyńskiego marszałka w. koronnego, a druga, Józefa, za Jana Chołoniewskiego starościca kołomyjskiego: widzimy, że z łatwością mógł być zaimprovizowanym w Żukowcach bal w każdym czasie i na każde zaproszenie gospodarstwa. Poważniejsi wiekiem nie ustępowali bynajmniej młodzieży i brali udział w zabawach ogólnych. Z bywających w owym czasie z dalszych okolic u kasztelaństwa, wymienimy tylko dwóch Mniszców, Michała z Wiszniowca, marszałka, i Karola z Wierzbowca, chorążego, Aleksandra Brzostowskiego z Białozórki, kasztelana mazowieckiego, brata jego starszego Jana kasztelanica połockiego, pana lennego na Mołotkowie, grafa Fryderyka Moszyńskiego, późniejszego zięcia kasztelaństwa, sławnego bogacza i amatora klejnotów, dziedzica Berszady, Ujścia, Wołoczysk, Manaczyna, Dolska i wielu innych dóbr — a przytem ostatniego marszałka w. koronnego, Hieronima księcia Sanguszkę ze Sławuty wojewodę wołyńskiego i syna jego, księcia Eustachego, towarzysza młodości księcia Józefa Poniatowskiego, Adama Orłowskiego z Jarmoliniec, łowczego w. koronnego, Adama Szwiejkowskiego z Kołodna, wojewodzica podolskiego, starościca Czosnowskiego z Cecyniówki, księdza biskupa Dederkę, infulata ołyckiego, znanego ze swej passyi do maryasza, szambelana Drzewieckiego z Juśkowiec, brata słynnego szefa Drzewieckiego, trzech Chołoniewskich, miecznika w. koronnego z Janowa, starostę kołomyjskiego z Chołoniowa, i Ksawerego łowczego z Łopatyna, Mikołaja Grocholskiego z Woronowicy, wojewodę braclawskiego, Bartłomieja Giżyckiego z Mołoczek, późniejszego gubernatora wołyńskiego. Towarzystwo złożone z krewnych i koligatów, odznaczające się formami wielko-światowemi; większa część osób tu wymienionych, byli to magnaci, senatorowie i panowie orderowi, którzy, podług tradycyi XVIII

wieku, odznaczali się galanterią i wyszukaną grzecznością dla dam. Tembardziej, że w owym czasie wpływ francuski był w wielkiej modzie na Wołyniu, — gdzie korpus księcia Kondeusza, składający się z kwiatu arystokracji francuskiej, od roku 1800 konsystował w Dubnie. Książę de Berry, ojciec teraźniejszego hrabiego de Chambord (Henryka V-go), przez czas jakiś bawił tam przy księciu Kondeuszu, i na ten czas przypada data jego wizyty oddanej kasztelanstwu w Żukowcach, dokąd przybył na dni parę w asystencyi kilku znakomitości francuskich, — pomiędzy którymi zdajdowali się: generał Langeron i książę de Richelieu, późniejszy założyciel i gubernator Odessy, mający tam pomnik na bulwarze nadmorskim. Nie od rzeczy tu będzie wymieniść cenniejsze damy, choćby dla zachowania ich w pamięci przyszłego pokolenia. Otóż na zebraniach żukowieckich widywano najczęściej: panią Platerową kasztelanową inflancką z Horynki, z domu Sosnowską, siostrę księżnej Józefowej Lubomirskiej kasztelanowej kijowskiej z Równego, z córką Cecylią, późniejszą generałową Ożarowską, — panią Szwiejkowską wojewodzinę podolską, córkę Józefa Dunin-Karwickiego kasztelana zawichostkiego, panią Grocholską wojewodzinę braclawską, z domu Chołoniewską, księżnę Antonią Czetwertyńską kasztelanową przemyską, z domu Chołoniewską, panią starościnię Wojnarowską, z domu Wychowską z Kornaczówki, panią sędzinę Bejzymową z Junaczek, z domu Wąsowicz, z córką swą Teklą, późniejszą chorążyną Petrykowską z Luliniec, którą tu wszyscy na Wołyniu jeszcze znaleźmy i mile wspominamy, i wiele innych, które nam z pamięci wyszły. Junaczki sławne były wówczas na Wołyniu, z piosneczki kursującej:

„Dolina, dolina, na dolinie maczek,
Podobała mi się Tekla — Teklunia z Junaczek.“

Pod nutę tej piosnki spijano nieraz gęste i serdeczne kielichy w domu tyle gościnnym państwa sęstwa Bejzymów;

znaliśmy starców, którzy na głos tej nuty, od łez rozczule-
nia wstrzymać się nie mogli. Naturalnie, nie zawsze tańczono;
zabawiano czasem W. Księcia teatrem amatorskim, na którym
występowały kasztelanki Rzyszczewskie z osobami towa-
rzystwa; grywano pod kierunkiem Włocha Manarallego,
opery Pergoleza. Dyrygował zaś dworską orkiestrą, złożoną
z kilkunastu dobrych muzykantów, kapelmistrz Sobotecki
z Warszawy, występujący zwykle w piaskowej peruce
i w żmijowym, to jest w zielonym fraku. Postać tego sta-
ruszka dotąd nam jest przytomną.

Towarzystwo takie przenosiło się z domu do domu,
powiększane przez coraz nowy kontyngens z dalszej okolicy,
bo bawiono się również w Wiszniowcu, w Mizoczcu, w Du-
bnie, w Równem, w Tucynie, w Młynowie, a raczej pod
Młynowem w Pekałowie u Chodkiewiczów, gdzie pani Chod-
kiewiczowa starościna żmudzka, z domu Rzewuska kaszte-
lanka krakowska, pani strasznie dumna, wystawiła pałac
na cudzym gruncie, o co był później oryginalny proces.
Bawiono się także w Międzyrzeczu Koreckim, u Steckiego
chorążego koronnego, pana bardzo bogatego, słynnego ze
swego myśliwstwa i głośnych polowań, które wyprawiał,
przenosząc się lasami przez całe Polesie i część Litwy, po-
cząwszy od jesieni, aż do zapust. Szły za nim wozy z par-
kanami i sieciami, liczny zastęp strzelców, myśliwych i roz-
liczne psiarnie. Wszystko to hojnie podejmowane było przez
obywateli, gdyż chorąży Stecki rozpisywał marszrutę swego
pochodu, i wyprawa jego miała pozór zupełnie wojenny.
Wywdzięczając się za doświadczoną gościnność, dawał kilka
bali w czasie zapust, miał bowiem swoją własną dobraną
kapełę, na czele której stał Lipiński, brat starszy naszego
sławnego skrzypka. Uczniowie szkół międzyrzeckich, prowa-
dzonych przez Ks. Pijarów, którzy, jak wiadomo, gorliwie
oddawali się kształceniu młodzieży obywatelskiej, brali za-
wsze udział w zabawach pałacowych.



Nie więc dziwnego, że W. Książę Konstanty rad był zabawiać się w podobnych kompaniach, i że nawet w Petersburgu serdecznie wspominał śliczne towarzystwo wołyńskie.

Wspomnieliśmy wyżej, że W. Książę Konstanty lubił widzieć u swego boku szambelana Wąsowicza, uważał go za rodzaj totum-fackiego, jedyne do urządzania zabaw i niespodzianek. Lecz przytem był najszcześliwszy, jeżeli potrafił mu wyrządzić jakiego figla, z którego Wąsowicz, z wrodzonym mu sprytem, zawsze się wykręcił i skorzystać umiał. Dnia pewnego zajeżdża W. Książę do niego do Temnohajec z liczną świtą oficerów i asystentów, z wyraźnym zamiarem ogłodzenia go i doprowadzenia do ostateczności. Gościnnie gospodarz przez parę dni podejmuje hojnie całe niespodziewane towarzystwo. Obiad codzień bywa suty, wieczorem tańce z muzyką i z kolacją; nie brak też libacyj, do których szambelan pierwszy rad wszystkich zachęca. Lecz trzeciego dnia, z powodu niespodziewanego najazdu kilkudziesięciu osób, towarzyszących dostojnemu gościowi, być może, iż rzeczywiście zapasy się przebrały, jeżeli nie w piwnicy, to napewno w spiżarni. Szczególnie o mięso, jak na wsi, było bardzo trudno. Z rana generał Bauer przychodzi do pokoju szambelana i zastaje go na konferencyi z kucharzem, który ze strachem wyznaje swemu panu, że przetrząsłszy wszystkie kąty w spiżarni, lamusie i we wszystkich składach, przekonał się, że literalnie nie ma co dać na obiad. Szambelan najpoważniej daje dyspozycyę kucharzowi, aby na pieczeń zarznął tłustego kuchennego stróża. Mimowolnie Bauer okazuje swe zdziwienie, lecz szambelan utrzymuje, że nie da sobie wstydu zrobić, że nikt nie powie, aby goście u niego głód cierpieli, że zresztą dla brata cesarskiego nie nie pożałuje, choćby nawet i stróża. Odpowiadać on za to nie może ze względu na dostojnego gościa. Potrafił przytem zachować taką powagę, takie przejęcie się prawami gościnności, wrodzonymi każdemu Polakowi, że

Bauer mu uwierzył i pospieszył zaraportować całą sprawę W. Księciu, który wysłuchawszy ją, powiedział: „*il le ferait comme il le dit*“ (gotów zrobić, jak mówi), — trzeba mu dać pokój, odjeżdżajmy jaknajprędzej, bo Wąsowicz z nas poprostu zakpił. Co też i uczynił natychmiast, a Wąsowicz pojechał za W. Księciem do innego domu, gdzie też jadł i pił znakomicie, ale już na cudzy rachunek.

Drugi raz znowu, w czasie rewii, którą W. Książę odbywał w Wiszniowcu, Wąsowicz, jak zwykle, poprzedzał go dla powitania, bo będąc na Wołyniu, chwili nie mógł się obejść bez swego ulubionego hofmarszala. Po zakończeniu rewii i recepcyi na zamku u marszałka w. koronnego, gdy powozy wielko-książęce, zaprzężone kuryerskimi końmi, stały w pogotowiu przed gankiem pałacowym, — a trzeba wiedzieć, że jedną z manii W. Księcia było jeździć pocztą z szalonym pośpiechem, nigdzie się niezatrzymując aż do samego Petersburga, — generał Bauer skinął na szambelana Wąsowicza, mówiąc mu po cichu, że ma polecenie od W. Księcia, aby on im część drogi asystował. Z takim rozkazem żartować nie można było. Szambelan wsiadł do powozu jak stał, we fraku i lekkim jesiennym płaszczu. Jechano dzień i noc szalonym pędem, na jaki tylko konie kuryerskie ówczesne zdobyć się mogły. Na każdej stacyi pocztowej Cesarzewicz jadący przodem, kazał się zapytywać, czy jest Wąsowicz? a na potwierdzającą odpowiedź zacierał ręce z radości. Na Litwie dopiero Bauer uwiadomił szambelana, że W. Książę kazał mu sobie asystować do stolicy, — bynajmniej się tem nie zmieszał, był w najlepszym humorze; przez całą drogę zabawiał swego towarzysza podróży swemi anegdotkami i charakterystycznymi łgarstwami. Przyjechawszy do Petersburga i upoważniony do tego przez Bauera, zajął paradne mieszkanie w najlepszym hotelu na Newskim Prospekie, kazał sobie podać sutą kolacyę, najdroższe wina, jednym słowem, niczego sobie nie żałował. Gdy Bauer odwiedził go nazajutrz i zapytał się, jak mu się Petersburg

podoba, opisał mu detalicznie wczorajszą kolację i dzisiejsze śniadanie, — znalazł, że jedzenie nie złe, wina dobre, i że w tem mieście z biedą wyżyć można. Bauer zrobił mu uwagę, że to szalenie drogo kosztować musiało; lecz szambelan niezmiyszany odpowiedział: „A cóż to asindziej myślisz, panie jenerale, że ja za to płacić będę? Jestem hofmarszałem W. Księcia, on mnie tu przywiózł, on mnie tu kazał jechać, on więc i za to płacić musi. Życ źle nie myślę, bo nie chcę mu wstydu robić. Powiem ci więcej, jenerale: potrzebuję 1000 rubli, porwaliście mnie nieprzygotowanego, w jednym fraku; muszę sprawić sobie garderobę, „szubę“, bo tu coś daleko chłodniej, niż u nas na Wołyniu“.

Zobaczywszy Bauera, W. Książę zaraz zapytał: „A cóż Wąsowicz, czy bardzo desperuje?“ „Bynajmniej, w najlepszym humorze i prosi Waszą Cesarzewiczowską Mość o 1000 rubli, bo musi sobie garderobę sprawić“. „To dać mu je zaraz“, była odpowiedź W. Księcia. Spełniono natychmiast rozkaz; lecz drugiego dnia szambelan upominał się znowu o 1000 rubli, mówiąc, że musi sobie kupić srebrną toaletę, porobić niektóre amplety, i że mu już pieniędzy brakuje. Dano mu więc drugie 1000; a gdy się upomniał nazajutrz o trzecie tysiąc rubli, o czem Bauer wahał się raportować W. Księciu, a szambelan najspokojniej ofiarował się sam to uczynić, zobaczono, że Wąsowicz się bynajmniej swoim pobytem w stolicy nie martwi, owszem zadziwia cały personel hotelowy swym fenomenalnym apetytem; kazał mu więc W. Książę wypłacić trzecie tysiąc rubli, dać podorożnię na konie kuryerskie¹⁾ i natychmiast odwieść go na Wołyń. Przebiegły szambelan wręcz oświadczył, że nie pojedzie prostą pocztową kibitką, dano mu więc dworski powóz, którym najspokojniej wracał do Temnohajec z nową

¹⁾ Drukowany arkusz, wydawany dawniej podróżującym pocztą, na prawo pobierania koni pocztowych.

szubą, nową srebrną toaletą, świeżą garderobą i prezentami dla domowych, a oprócz tego z parą tysiącami rubli w kieszeni, gdyż rachunek hotelowy odesłał dla zapłacenia do marmurowego pałacu.

Mawiał później często, że tym sposobem dałby się nieraz z domu porywać; nie stracił jednak przez to łaski u W. Księcia, który zawsze rad był zabawiać się jego facecjami.

Obrazek ten wszakże maluje nie całą prowincję, ale jedną jej część, zaludnioną domami magnackimi i bogatej szlachty.

ROZDZIAŁ II.

O Michale Brzostowskim.

Przypominając sobie dawne czasy naszej prowincyi, mimowolnie odtwarzamy sobie w pamięci postać Michała Brzostowskiego kasztelanica mazowieckiego, dobrze znanego w Warszawie na początku bieżącego stulecia. Postać ta nader sympatyczna, którą doskonale z czasów naszej młodości pamiętamy, odznaczała się tyłu oryginalnemi cechami, właściwemi owej epoce, że się powstrzymać nie możemy od nakreślenia kilku epizodów, opowiadanych osobiście przez p. Michała, z żywością i werwą jemu właściwą. Rodził się z Wodzyńskiej w r. 1782 i był synem Aleksandra Brzostowskiego kasztelana mazowieckiego, dziedzica Białozórki na Wołyniu, położonej w dzisiejszym powiecie krzemienieckim. Wychował się w Warszawie, w korpusie kadetów, w tak zwanej wówczas szkole rycerskiej, gdzie się kształciła młodzież obywatelska, pochodząca z rodów znakomitszych; przyjęty tam został za protekcją swego rodzzonego wuja, generała Ignacego Wodzyńskiego, wice-komendanta kadetów, a rodzzonego brata Gabryela biskupa smoleńskiego, zmarłego w r. 1788 i znanego dawniej w Warszawie ze swych miłosiernych uczynków. Zakład ten, z kierunkiem nauk więcej

humanitarnym niż wojskowym, gdyż przeważnie uczono tam literatury starożytnej, wymowy i języków, założony był w r. 1765 przez króla Stanisława Augusta, który sam został pierwszym kapitanem kadetów, mianując na porucznika czyli komendanta księcia Adama Czartoryskiego, generała ziem podolskich. Kadeci nosili mundur granatowy, pąsowe wyłogi i mieścili się w pałacu Kazimierowskim, nazwanym wtenczas: *Koszary Kadeckie*. Uczucie honoru wojskowego wysoce było wykształcone pomiędzy tą młodzieżą; najsurowszą karą była utrata czasowa broni i epoletów; na pamięć musieli umieć *katechizm rycerski*, stanowiący jakoby kodeks dla każdego kadeta w dalszem jego życiu. Taki więc kierunek wychowania musiał mieć wpływ niemały na naszego p. Michała, i rzeczywiście, że rycerskość była jego dewizą. Po wzięciu Warszawy, w obronie której brał udział jako młodzieńca 12-to czy 13-to letni kadet, p. kasztelan mazowiecki zabrał syna z sobą do Lwowa dla dalszych nauk, i umieścił go w domu swej krewnej, generałowej Cecylii Ożarowskiej, urodzonej Platerówny. Przebył tam lat kilka, zkad jako 16-to czy 17-toletni młodzieniec, pojechał na pierwszy swój wojaż zagraniczny z rodzonym stryjem, p. Michałem Brzostowskim, ostatnim starostą puńskim, za ustępstwo którego, oraz starostwa daugowskiego, orańskiego i koniawskiego, zostających w jego posiadaniu, król pruski płacił mu rocznie do końca życia 10,000 talarów dochodu. Nie od rzeczy tu wspomnieć, że miasteczko Punie nad Niemnem słynie z obrony Margiera, wodza litewskiego w r. 1336 przeciw licznym zastępom Krzyżaków, co też pięknie opisane przez naszego narodowego poetę, Ludwika Kondratowicza (Syrokomlę). Stryj był wielki kobieciarz i w Berlinie dawał pierwsze nauki życia światowego swemu synowcowi, na kolacyjkach wyprawianych dla znakomitości teatralnych; o czem p. Michał, w późnym wieku, rad opowiadał ze szczegółami. P. starosta zmarł podobno w r. 1800, z powodu przepicia się na jakimś balu składkowym w Królewcu, dokąd ze swej

wiejskiej rezydencji, oddalonej o kilka mil od miasta, przyjechał konno, i wypiwszy wszystko co się znajdowało w bufecie, tak samo konno w mroźną noc wrócił, zgrzany i zmęczony po takich libacyach. Spał po tej ekspedycji całą dobę; przebudziwszy się kazał sobie podać wódki swemu kamerdynerowi Zimmermanowi i zasnął znowu na 24 godzin; — za drugim przebudzeniem się zażądał znowu wódki, obrócił się na drugi bok i już się więcej nie obudził. Według dzisiejszych pojęć naszych, niktby nie powierzył syna takiemu krewnemu, a jednak pan Michał musiał we wszystkim stryjowi kompanii dotrzymywać. Życie takie go nie popsuło, jak moralnie, tak i fizycznie, bo wiemy z podań, że był później jednym z najświetniejszych kawalerów warszawskich, — wyróżniał się swą elegancją, dobrymi manierami i wyszukaną grzecznością dla dam; skorzystał tylko tyle, że odznaczał się tęgą głową, co było też niemałą zaletą w ówczesnem towarzystwie. Jużto przyznać trzeba, że ówczesne pokolenie było daleko dzielniejsze od naszego. Młodzież piła, hulala, często szalała do upadłego, ale było w niej więcej życia, więcej zasad moralnych, — poszanowania związków rodzinnych, tradycyj rodowych, jednym słowem więcej tężyzny, jak to wówczas nazywano. To co wtedy młodzież wyrabiała, i co słyszymy z opowiadania starców znających tę epokę, to nie do uwierzenia; dla nich przejechać kilkanaście mil konno wśród mrozów i zawiei, odprowadzić damy wracające z balu, przebrawszy za stangretów, forysiów, kozaków, to było fraszką, rzeczą zupełnie zwyczajną; polowania, w czasie których obozowało się po dni kilkanaście pod gołym niebem, tańczenie pod dźwięki prostej włościańskiej muzyki kozaka, nazwanego *szumką*, — często bardzo w jakiej traktowej karczmie, gdzie się niby to wypadkiem zjeżdżali, wszystko to było wówczas w wielkiej modzie. Sami znaleźmy starców, którzy gdy *szumkę* zagrano na fortepianie, uśmiechali się, odmładniali i od łez rozczulenia wstrzymać się nie mogli. Prawda, że życie takie

było szalone, hulaszce; — hulala młodzież, z której później wyrabiali się najznakomitsi obywatele kraju, — ale co też za zdrowie było u tej młodzieży! Nikt wtedy nie słyszał o tych newralgiach, seyatykach, tikach, anemiach, katarach kiszek i t. p., które się teraz tak rozpowszechniły, albo które medycy terażniejsi sami tak ponazywali. Parę razy do roku puszczano krew dla prezerwatywy; w najgorszym razie stawiano cięte bańki — i na tem polegała cała ówczesna medycyna. Prawda, że każdy prawie na starość cierpiał na pedogrę, ale bo też była to słabość *quasi* narodowa, rozpowszechniona u nas szczególnie od czasów saskich, na którą szlachcie leczył się jedynie cierpliwością i uważał ją jako *malum necessarium*, jako konsekwencyę tej massy wina, którą za życia przez gardło przepuścił. Lecz wracając do naszego bohatera, widzimy go około r. 1804 osiadającego w Warszawie, po śmierci stryja, starosty puńskiego, po którym, jako po dożywotniku, żadna mu się sukcesya nie dostała. Ojciec zaś, pan kasztelan mazowiecki, ustąpił mu wtedy spadek po Ogińskich, wynoszący około 10,000 dukatów kapitału, co mu wystarczyło zaledwie na niespełna trzy lata. Bywał, jako domowy, w domu swej ciotki, pani Pocięjowej hetmanowej w. litewskiej, szczycił się protekcyą ks. Józefa Poniatowskiego, pani Tyszkiewiczowej i słynnej wówczas pani de Vauban. Młody, świetny, zaledwie 20-letni młodzieniec, wszędzie był mile przyjmowany. Na balach zaś u pani hetmanowej pełnił obowiązek gospodarza i przodował w tańcu. Otóż na jednym z tych balów, na którym było mnóstwo oficerów pruskich, zdarzyło się, że kasztelan Brzostowski kazał muzyce grać mazura, oficerowie zaś, nieumiejąc tańczyć mazura, głośno żądali walca. Ztąd spór, przymówki i wyzwanie przez p. Michała na pojedynek wszystkich 17 oficerów. Wypadkiem znajdował się na tym balu rodzony ojciec, p. kasztelan mazowiecki, który, jak doszła doń wiadomość o tem co zaszło, powiedział najspokojniej: „Jeżeli ma słuszność, to dobrze zrobił; jeżeli zaś

nie ma, to niech głowę nadstawi.“ I wyrzekłszy tę filozoficzną maksymę, najspokojniej spać poszedł. Dziwny zaiste stoicyzm, dziś dla nas niepojęty. Teraz, gdy wypadkiem który z ojców posłyszysz o pojedynku syna, nie z siedmnastu, ale z jednym przeciwnikiem, i to jeszcze mając prawie pewność, że sprawa skończy się śniadankiem, to zaręczamy, że w nocy spać nie będzie spokojnie. Dziś nie wiem, czy więcej kochamy swe dzieci, ale zapewne więcej im to okazujemy; syn staje się prawie towarzyszem ojca: wolno mu przed nim wypowiedzieć swe zdanie i o nie się spierać; dawniej ojciec dla dorosłego syna był zawsze jegomością dobrodziejem, przy którym, choć był orderowym panem, usiąść nie śmiał bez pozwolenia. Czy lepiej to, czy gorzej, trudne do rozwiązania pytanie, jest to kwestya pedagogiczna — więcej powiem: psychologiczna, pochodząca z ducha czasu, w którym żyjemy. Rozprawy o tem byłyby tu zbyt liczne, zaznaczamy tylko nasze uwagi pod tym względem, które mimowoli na myśl nam przyszły. Nazajutrz p. Michał obudziwszy się i wytrzeźwiwszy się po szale balowym, pomyślał na seryo co dalej robić? bo każdy przyzna, że pojedynkować się jednemu przeciw 17-tu oficerom, to nielada zadanie. Lecz ręczę, że na myśl mu nawet nie przyszło, pokierować sprawę tak, aby się zakończyła ukartowaniem przeproszeniem, a następnie sutem śniadaniem dla przeciwników. Wpadł na szczęśliwą myśl udać się do ks. Józefa Poniatowskiego, wyroczni w sprawach honorowych, który go lubił i protegował. Ks. Józef wiedział już o całym zajściu, bo jako głośne i nadzwyczajne, zrana jeszcze obiegło całą Warszawę i dostało się pod Blachę. Uśmiechnął się i powiedział mu: „Kiedyś taki chwał, to nie trać ochoty i fantazyi; dam ci bilecik do starego mego znajomego, sławnego rębacza, który cię z pewnością z kłopotu wyprowadzi.“ Rzeczywiście napisał słów parę do Kamińskiego, przezwanego burzymuchą, dawnego wojskowego polskiego, sła-

wnego rębacza, który się bił młyńcem i krzyżową sztuką we dwa pałasze, jednocześnie na dwie ręce.

Kamiński wysłuchawszy uważnie całej relacji p. Michała, uspokoił go i powiedział mu, że sobie z łatwością dadzą radę z tymi 17-tu Niemcami, że nie z takimi rębaczami miał w życiu do czynienia, na różnych sejmikach i zjazdach w Koronie i Litwie, że jakoś ze wszystkich potrzeb, jako Sodalis Marianus, za opieką Matki Boskiej, wychodził bez szwanku, i że dziś ufa, że ta Królowa Niebios i szczególnie Orędowniczka Korony Polskiej da im obydwom wiktoryę nad tymi pludrami: „bo to widzisz asan, na pałasze to bić się nie umię, a nie ma w świecie nad młyńca i krzyżową sztukę, co przeciwnika oślepia i odwagę mu odejmuje.“ Posłał go tylko zaraz do ks. Józefa, prosząc go, aby mu do tego pojedynku pozwolił swej rajtszuli obok pałacu pod Blachą. Sam zaś, jako sekundant, zniósł się z 17-tu oficerami pruskimi, umawiając się z nimi, że miejsce pojedynku naznacza się nazajutrz rano w rajtszuli pałacowej, gdzie też on z p. kasztelanicem na umówioną godzinę będą mieli honor oczekiwać. Oficerowie z początku pojąć nie mogli, aby wszyscy 17-tu razem mieli się bić przeciwko dwom; ale to było właśnie wyraźnym warunkiem pojedynku, gdyż oficerowie jeden drugiemu mieli sekundować. Uważali to jednak za żart i czekali tylko jego rozwiązania. Ale gdy nazajutrz rano w rajtszuli na uszykowanych oficerów wpadł stary Kamiński z pałaszem w każdej ręce, z takim strasznym impetem, że Brzostowski ledwie miał czas dobyć pałasza, gdy skoczył pomiędzy nich, wywijając młyńcem i ulubioną mu sztuką krzyżową na dwie ręce, niedając się żadnemu opamiętać, gdy kilku z nich odrazu obciął porządnie, taki wywarł na nich paniczny popłoch, że zaczęli się rejterować z początku porządnie, a później w nieładzie; nareszcie widząc, że Kamiński coraz ostrzej naciera, zaczęli się wynosić drzwiami, wyskakiwać pootwieranemi oknami, krzycząc: „*Das ist ein Teufel*“, tak, że w przeciagu kwadransa wy-

miótl ich wszystkich z rajtszuli, i obcierając pałasze, najspokojniej się odezwał: „A widzisz asan, p. Michale, że nie ma nad młyńca i krzyżową sztukę, widziałeś jak pludry zwawo się powynosili; — nie z takimi gracjami miało się do czynienia, ale co to acanu o tem mówić! oto lepiej chodźmy do Rozengarta na śniadanie, bo coś djablo w gardle mi zaschło.“ Naturalnie, że awantura ta miała ogromny rozgłos w całej Warszawie, postawiła bardzo dobrze pana Michała w opinii ówczesnego towarzystwa; wszyscy mu winszowali świetnie zakończonego pojedynku, sama pani hetmanowa dziękowała siostrzeńcowi, że umiał honor jej domu obronić. Epoka więc owa może być zaliczoną do najświetniejszych z jego młodości; bawił się doskonale w Warszawie, bywał pod Blachą i w Jabłonie u ks. Józefa Poniatowskiego, miewał liczne sukcessa; — jak motylek przelatywał z kwiatka na kwiatek, robił też ekskursye do krewnych na Litwę i na Wołyń; bywał w Antoninach u młodego wówczas księcia Eustachego Sanguszki, ożenionego z księżniczką Klementyną Czartoryską, gdzie się w owym czasie dopiero ogród zakładał, i pałac ledwie miał się budować; bywał też i w Korcu u ojca księżnej Eustachowej, u ks. Józefa Czartoryskiego stolnika w. ks. litewskiego, i w Międzyrzeczu u Steckiego chorążego w. k. Jednem słowem, p. Michał Brzostowski był niewyczerpany w swych opowiadaniach o owej epoce, malowniczo opisywał ducha, którym ówczesne towarzystwo było ożywione; niezliczone jego anegdoty stanowią niewyczerpany skarb dla powieściopisarza, lecz z powodu osób żyjących lub ich najbliższych krewnych, niepodobna ich tu umieszczać.

Życie takie, prowadzone świetnie, nieoglądając się na jutro, wyczerpało w krótkim czasie kapitał pochodzący ze spadku po Ogińskich; jako jeden z koryfeuszów ówczesnej młodzieży warszawskiej, nie mógł zmienić trybu życia, brak więc funduszków dotkliwie czuć się dawał, a ojciec, kasztelan zmarły dopiero r. 1821, jakby nie chciał rozumieć tru-

dnego przejściowego położenia finansowego swego jedynaka. On zaś nie miał ani śmiałości, ani ochoty udawać się do ojca bardzo surowego w obejściu, z prośbą o zasitek pieniędzy.

Łatwo pojąć, że takie położenie wpłynęło znacznie na humor naszego p. Michała, zawsze miłego i wesołego w towarzystwie. Damy warszawskie, których był prawdziwym ulubieńcem, spostrzegły to od niejakiego czasu, i kilka z nich śmielszych, na jednej zabawie wręcz się go zapytały o przyczynę tej nagłej zmiany. Z otwartością, która go zawsze cechowała i która podbijała dla niego wszystkie serca, przyznał się najszczerzej, że momentalnie jest zrujnowany, i że nie nie pozostaje, jak wstąpić do wojska, choćby rossyjskiego, bo wiadomo, że wtedy Warszawa była pod panowaniem pruskim. Wzięto go za słowo, i tu na miejscu w sali balowej pod naciskiem dam, które nie chciały wierzyć jego postanowieniu, napisał prozbę po francusku na imię księcia Piotra Wołkońskiego, przyszłego feldmarszałka, a ówczesnego przybocznego i ulubionego generał-adjutanta Cesarza Aleksandra I, i natychmiast odesłał ją na pocztę. Następnie w wirze zabaw, które następowały jedna po drugiej, wicznie zapomniał o swem postanowieniu; lecz jakież było jego zdziwienie, gdy w kilka tygodni potem odebrał najpochlebniejszą odpowiedź od księcia Wołkońskiego, że N. Pan najlaskawiej przychylił się do jego żądania i zgadza się na jego przyjęcie do armii rossyjskiej, i że on, Michał Brzostowski, znajdzie zapewne stosowną sposobność, być osobiście zaprezentowanym Cesarzowi. Sam się nieraz przyznawał, że wtedy już zupełnie odpadła mu ochota do karyery wojskowej; czuł, że z pośpiechu zrobiło się głupstwo, tembardziej, że ani słowem nie uwiadomił o swem postanowieniu ojca, p. kasztelana, z którym bynajmniej żartować niemożna było. W tej pięknej alternatywie udał się do zwykłego swego protektora, księcia Józefa Poniatowskiego, bawiącego podówczas w Jabłonnej. Lecz i ten, pomimo najszczerzych

chęci, nie umiał mu na to poradzić i skierował go ze swym listem do Puław, do księcia Czartoryskiego jenerała ziem podolskich, który jeden był w stanie stanąć mu w przygodzie, przez pozycję syna swego księcia Adama, ministra spraw zagranicznych gabinetu petersburskiego i ówczesnego ulubieńca Cesarza Aleksandra. Stary książę feldmarszałek kazał mu pozostać w Puławach, gdyż właśnie spodziewał się odwiedzin Cesarza, któremu książę Adam naturalnie towarzyszył. Pod Puławami miał się odbyć przegląd armii Michelsohna, stanowiącej aryergardę głównej armii, ciągnącej wtedy na pola austerlickie. Otóż, na jednej z recepcyi pałacowych, książę Adam przedstawił p. Michała Cesarzowi, jako swego kuzyna, gdyż rzeczywiście zachodziła przez Ogińskich koligacya pomiędzy temi dwoma domami. Prezentacya taka odrazu go postawiła bardzo wysoko w opinii N. Pana, przemówił do niego najlaskawiej i po kilku grzecznych frazesach o zamiarze jego służenia pod sztandarami rossyjskiemi, powiedział mu te słowa: — „*Monsieur le comte, vous ferez un superbe ulan ou un magnifique hussard*“ Trzeba było widzieć, z jakim gestem i z jaką intonacyą p. Michał w starości prostując się opowiadał o tej prezentacyi. Z właściwym sobie sprytem odpowiedział zaraz N. Panu: „*Sire, je désirerais avoir l'honneur de servir dans les dragons de Moscou.*“ Pułk ten właśnie należał do armii Michelsohna, i sam głównodowodzący był jego szefem honorowym. Zadowolony z odpowiedzi Cesarz Aleksander zrobił go odrazu oficerem w dragonach moskiewskich, polecając go osobiście jenerałowi Michelsohnowi i prosząc, aby go, jako oficera ordynansowego, przywiązał do swej osoby, w czasie mającej się rozpocząć kampanii. Drugim oficerem ordynansowym był młody podówczas porucznik Paszkiewicz, późniejszy feldmarszałek, książę warszawski i namiestnik Cesarza w Królestwie Polskiem. Jako więc koledzy i towarzysze broni, odbyli marsz za granicę; lecz armia Michelsohna doszła tylko do Białej na Szląsku, zkąd na wieść

o bitwie austerlickiej cofnęła się zaraz w granice państwa. Później odbyli razem, w tymże sztabie, kampanię naddunajską; nieraz słyszeliśmy pana Michała opowiadającego o Bukareszcie, Giurgewo, Silistryi i wielu innych miejscowościach Mołdawii i Wałachii, o których tyle czytaliśmy w relacyach niedawno zakończonej wojny tureckiej. Książę-feldmarszałek Paszkiewicz do ostatniej chwili zachował najmiłsze wspomnienie o swoim towarzyszu broni, przypominającym mu lata młodości, i przez osoby jadące z Warszawy na Wołyń, zawsze przesyłał mu serdeczne ukłony. Do roku 1808 Michał Brzostowski był w sztabie generała Michelsohna, — odznaczał się swą dzielnością i wyszedł ze służby, ozdobiony krzyżem św. Włodzimierza i św. Jerzego na szabli. W r. 1809 ożenił się z Konstancyą, córką Ignacego Krasickiego ze Śniatyna, miejsca słynnego w dziejach naszych z hołdu, złożonego w roku 1415 przez Aleksandra wojewodę wołoskiego naszemu Władysławowi Jagielle. Zaraz po ślubie wyjechał z żoną do Włoch. Przebywając w różnych miastach, starał się i miał sposobność wejścia w najlepsze towarzystwa różnych stolic, których Włochy podówczas tyle posiadały; lecz mimowolnie może, starał się zabierać ściślejszą znajomość z wojskowymi, gdyż, jako świeżo dymisjonowanego oficera, sprawy wojskowe najbliżej go obchodziły. Włochy ówczesne były pod hegemonią Francyi, która pokrajała je na różne państwa i rzeczypospolite, nadając im różne nazwy; wszędzie zaś prawie konsystowały wojska francuskie, co było wynikiem ówczesnej protekcyjnalnej polityki. W Rzymie więc p. Michał poznał się z generałem Petion, ówczesnym komendantem sił zbrojnych francuskich w tej stolicy. Ponieważ generał ten, w czasie wojen na półwyspie apenińskim, miewał pod swą komendą nasze legie włoskie, złożone ze starych i dzielnych polskich wiarusów, ciekawym był p. Michał dowiedzieć się zdania generała o naszych polskich żołnierzach. Odpowiedź generała Petion tak charakterystyczna, że ją tu w całości przytaczamy:

„*Au feu ils ne sont pas plus braves que nous, ils marchent beaucoup plus mal que nous; mais au cabaret ils sont invincibles*“.

Opierał zaś swe zdanie na niedawnym wypadku w Rzymie. Doniesiono mu pewnego dnia, że w jednym z szynków, nazwanych tam osterya, — czterech polskich wiarusów pije już przeszło dobę, — i że, na wezwanie patrolu, nie myślą wracać do koszar. Posłano więc dla ich przyaresztowania silniejszy rond, posyłano później jeden po drugim kilka plutonów, atakowano ich na bagnety, lecz zabarykadowawszy się w osteryi, wytrzymywali formalny atak i wzięcie się nie dali. Byli to starzy konfederaci i sejmikowicze z ostatnich polskich czasów, dla których sławna krzyżowa sztuka była jedyną ich obroną i rzeczywiście robiła ich niezwycięzonymi; obcięli i pokaleczyli mnóstwo francuskich piechurów, — i dopiero, gdy rozebrano dach nad domem i przebito sufit, lejąc na nich wodę, potrafilo Francuzi, przy stokroć przeważniejszej sile, obezwładnić ich, powiązać i zaprowadzić do kordegardy. Miał więc rację co do nich tylko generał Petion, twierdząc „*qu'au cabaret ils sont invincibles*“.

W dalszym swym wojażu włoskim p. Michał był prezentowany w Neapolu Joachimowi Murat, szwagrowi Napoleona I-go, który jakby na uwienczenie swej dziwnej politycznej karyery, ogłoszony został 1-go sierpnia 1808 królem Obojga Sycylii pod imieniem Joachima 1-go Napoleona. Bywał więc u dworu, łaskawie zawsze widziany, — i widać, że go król zapamiętał, bo spotkawszy się z nim na polu bitwy w nadzwyczajnych okolicznościach, zaraz go sobie przypomniał. Wróciwszy do kraju, z rozpoczęciem kampanii 1812 r. pełnił służbę adjutanta przy naczelnym wodzu, księciu Józefie Poniatowskim. Lubiał opowiadać o owej epoce, która w ustach jego i ogólnie wszystkich uczestników tej wojny, przybierała rozmiary epepei heroicznej. Ale opowiadania jego były bardzo przyjemne, żywe, malownicze; czuć było, że prawdziwe, bez najmniejszej myśli dla sprawienia efektu, zupełnie w du-

chu francuskim, którym się przejął za młodu jeszcze, obcując z emigracją francuską, złożoną z członków pierwszych rodzin arystokratycznych, otaczających na wygnaniu Ludwika XVIII, który jak wiadomo, długi czas w Warszawie przebywał pod przybranym nazwiskiem Comte de Lille.

Słuchając Brzostowskiego zdawało się, że się ma przed sobą jednego z owych świetnych muszkietierów Ludwika XIV lub XV, którzy przy całej wykwintności i oglądzie salonowej, umieli być prawdziwie, a częstokroć i do szaleństwa walecznymi. Dlatego musimy tu na zakończenie opowiedzieć jeden epizod, wprawdzie mało znaczący, ale dający miarę o odwadze p. Michała, którą on uważał za rzecz najnaturalniejszą w świecie. W czasie bitwy pod Smoleńskiem w dniu 15 i 16 sierpnia 1812 r. posłany był z jakąś ważną ekspedycją od księcia Józefa Poniatowskiego do króla neapolitańskiego. Szukał go wszędzie po rozległem polu bitwy, znalazł go wreszcie pod samemi murami twierdzy, wystrojonego jak zwykle jaskrawo i teatralnie, i służącego wyraźnie za cel dla pocisków z 200 przeszło armat grzmiących z murów Smoleńska. Cała świta otaczała króla, lecz widać było, że jego szalone męztwo, na nic zresztą tu niepotrzebne, niebardzo przypadło do smaku generałom i oficerom jego świty. Każdy więc krył się potrosze, jak tylko mógł. Jeden tylko król Joachim stał nieporuszony, jakby urągając się niebezpieczeństwu. Gdy Brzostowski do niego podjechał oddając mu raport ks. Józefa, król strasznie się oburzył na to, że go i tu, w takim ogniu szukają; kazał mu natychmiast odjechać, mówiąc, że tu latają nieproszone pociski, lecz spojrzawszy na niego uważniej, poznał go odrazu, przypomniał go sobie z królewskiego pałacu w Neapolu, mówiąc mu z uśmiechem, że tam były ze wszech miar przyjemniejsze okoliczności. P. Michał czekając odpowiedzi, usunął się trochę na stronę; lecz w tejże chwili pada kula armatnia w jaszczyk czyli pulwerkar prochowy, rozrywa go w powietrzu, obala Brzostowskiego, osmala go zupełnie i zosta-

wia go bez przytomności. Wszyscy w świecie króla Joachima mieli go za zabitego; wiadomość ta doszła nawet do księcia Józefa, który rzeczywiście do niego serdecznie był przywiązany. Tymczasem odniesiono go na noszach do jakiegoś ambulansu; z kąd po dwóch dniach dostał się do swego szefa księcia Józefa, czarny jak murzyn, z osmolonemi brwiami i włosami, trochę ogłuszony, lecz zdrow i wesół, a szczególnie gotów do dalszej służby czynnej, i na myśl mu nawet nie przyszło podać się do szpitala wojskowego. Trzeba było slyszec, z jaką werwą to opowiadał, jakby o wypadku najnaturalniejszym.

Wyszedł ze służby w randze podpułkownika i osiadł naprzód w Bobulincach, w Galicyi, w dobrach swej żony; później po śmierci ojca, kasztelana mazowieckiego, w r. 1821, w dziedzicznej Białozórcie, gdzie przez swój humor i miłe obejście był ozdobą całej okolicy. Umarł w lipcu r. 1852, szczerze przez wszystkich żalowany, zostawiając dwie córki: Malwinę, dziś już zmarłą, zamężną z księciem Mikołajem Sapiehą, i Angelę, dotąd żyjącą, za Edmundem Krasickim, dziedzicem dóbr Liska w Galicyi. Z tego, co tu opowiedzieliśmy, przekonać się można, że p. Michał Brzostowski był to typ owej tak zwanej tężyzny rycerskiej, połączonej z najwyszukańszą elegancją i galanterją dla dam. Takich typów zaprawdę dziś już nie spotykamy.

ROZDZIAŁ III.

O Puławach, o hetmanowej Rzewuskiej i o rewii w Hrehorówce.

Pobył trzydniowy N. Cesarza Aleksandra I-go w kwietniu r. 1818 w Hrehorówce u pani hetmanowej Rzewuskiej, był jedną z ciekawych epok Wołynia, gdzie może po raz ostatni zgromadziło się pod gościnnym dachem tej zacnej pani tyle osób należących jeszcze do XVIII wieku, i młodzieży wówczas dorastającej, z których dziś już wszyscy prawie wymarli; ledwie kilku sędziwych starców i matron zostało świadkami tego wspaniałego monarszego przyjęcia. Pani hetmanowa, wdowa po Siewerynie Rzewuskim hetmanie p. k., a matka słynnego Wacława Emir el-Omrah Tadz-el-faher, była jedną z najbogatszych pań w Polsce. Była bowiem córką księżnej marszałkowej Lubomirskiej, a siostrą słynnej ze swej piękności p. Julii Potockiej, matki hr. Potockich, Artura z Krzeszowic i Alfreda z Łańcuta (ojców). Fortuna jej była kolosalna: dobra Staro-Konstantynowskie na Wołyniu, Pikowskie na Podolu, Sawrańskie na Ukrainie, Grzymałowskie w Galicyi w obwodzie tarnopolskim i wiele innych do niej należały. Były to dobra pańskie, strasznie

zamożne, ślicznie zagospodarowane, posiadające ogromne inwentarze, przynoszące znaczne bardzo dochody, bo położone w przepysznej glebie, w kraju płynącym mlekiem i miodem, który był rzeczywiście ziemią obiecaną naszej dawnej Polski. Jużto ani Mazowsze, ani Litwa, ani tembardziej Wielkopolska nie mogły się równać co do urodzajności z tą okolicą Rusi, gdzie dobra p. hetmanowej były położone. Sam klucz Grzymałowski składał się z 26 folwarków, mających każdy peryferyi niemniej jak po parę lub półtrzecia tysięcy morgów ziemi ornej; obecnie, rozprzedany częściowo, stanowi majątki przynajmniej 20 obywateli Podola galicyjskiego, z których każdy za zamożnego uchodzi. Tam się też chowały owe słynne stada tarantowatych koni, znanych w całej Polsce, któremi zwykle jeździła księżna marszałkowa Lubomirska; wiemy z opowiadań jednego z jej krewnych, dotąd żyjącego, a który sporym już chłopakiem odbywał podróże w jej własnej karecie, że z Sawrania na Ukrainie do samego Krakowa były rozstawione cugi sześciokonne pięknych i rosłych tarantów. Żywo zafrapowało to wyobraźnię dziecinną i wbiło się w młodą pamięć, tembardziej, że dziś starzec ten blisko ośmdziesięcioletni dotąd jest wielkim miłośnikiem koni.

W ogóle w epoce, o której piszemy, wszystkie dobra magnackie, ba! nawet zamożniejszej szlachty, obfitowały we wszelkie inwentarze żywotne. Majętności administrowano na rzecz dziedziców, tanie dzierżawy wypuszczane były tylko najzasłużeńszym klientom domu, i uważano to poniekąd za nagrodę wiernej i długoletniej służby, bądź dworskiej, bądź w zawodzie publicznym, przy podtrzymywaniu na sejmikach partyi swego pana. Ztąd też w każdym kluczu hodowano rasę poprawnego bydła; owce zaczynały także wchodzić w modę; jeszcze za panowania Sasów wszędzie też bez wyjątku hodowano konie, gdyż rasa koni polskich szczególnie zdatnych pod wierzch i do boju, była słynna w całym świecie. Koń polski niemało się światu i chrześcijaństwu

zasłużył; on z skrzydlatym husarzem stanowił jakby jedną całość; w nich obudwóch, rzeczywiście, że uosobiła się mitologiczna postać Centaura; dobrze on też był znany całej Europie, a szczególniej Turkom. W czasie obrony Wiednia roku 1683, pod wodzą bohatera naszego Jana III, gdy chorągiew husarska królewicza Jakóba spuszczać się z Kahlenbergu, w szalonej szarży dotarła do samego namiotu w. wezyra, rozbijając jakby klinem cały obóz turecki na dwie połowy i tem stanowczo zapewniając zwycięstwo, być może, że koń polski pod polskim husarzem raz ostatni pokazał światu cywilizowanemu, co może dzielność jeźdźca połączona z siłą i wytrzymałością rumaka. Niedziw więc, że każdy u nas ziemianin z zamiłowania hodował to szlachetne zwierzę! — w niem widział towarzysza swych wypraw wojennych, swych zabaw myśliwskich, zresztą swą chlubę przed sąsiadami, a w potrzebie najwierniejszego sługę, prawie przyjaciela. Tyle u nas pisano o polskim koniu, tak go zresztą pięknie i wyczerpująco opisał w ostatnich czasach ś. p. hr. Maryan Czapski w swem obszernem 3-tomowem dziele, że bynajmniej nie zamierzamy dłużej się nad tem zatrzymywać, lecz musimy tu wspomnieć to, co słyszeliśmy z ust księcia Konstantego Czartoryskiego, gdy opowiadał o gospodarstwie i koniach rodzonego swego dziada po mieczu, księcia Augusta wojewody ruskiego.

Wiadomo zapewne, że był to jeden z największych naszych magnatów. Doszedł do tych niesłychanych bogactw przez ożenienie swe z Zofią, ostatnią z Sieniawskich kasztelanką krakowską i hetmanowną w. k., a wdową po Denhofie hetmanie polnym litewskim, o którą równocześnie konkurowali: Janusz ks. Wiśniowiecki kasztelan krakowski i ks. Janusz Radziwiłł wojewoda wileński; lecz ks. August potrafił odsadzić przeciwników i pozyskać rękę najbogatszej dziedziczki w Koronie i Litwie. Zwycięstwo takie niemało znaczyło; ród Czartoryskich, który przez to zyskiwał ogromne polityczne znaczenie, bo wznosił się ciągle bogatemi

małżeństwami tak, że do niego zastosować można to polityczne przysłowie: „*Et tu felix Austria nube*“, potrzebował dla prowadzenia interesów *familii* wielkich dostatków, nad zbieraniem których ks. August skrzętnie i umiejętnie pracował, gdy rodzony brat jego Michał, od r. 1752 kanclerz w. lit., wziął na swe barki całą polityczną stronę partyi, na czele której obadwaj stanęli. Dobra po Sieniawskich były strasznie rozległe. Ks. wojewoda ruski wkrótce po ożenieniu wybrał się raz w życiu je objechać, obejrzeć i szczerze podług możności zlustrować; rozrzucone one były po wszystkich częściach Polski przedrozbiorowej, od Dniepru i Dźwiny aż po za Wisłę. Nic dziwnego, że podróż taka trwała z górą półtora roku; jednak był wszędzie, nie opuścił ani jednego kłucza, kazał przybocznym sekretarzom, których woził z sobą, pospisywać w swojej obecności szczegółowe inwentarze, aby raz na zawsze uformować sobie dokładne pojęcie o majątkach, w których do końca życia już nie bywał, lecz tym sposobem je znał i choć zdaleka, ze swej rezydencji wilanowskiej, administrował niemi z wielką rządnością i znajomością rzeczy.

Inne rezydencje rodziny były: Wołczyn, otoczony rozległemi willami, Sieniawa, Przybysławice pod Łuckiem na Wołyniu, które weszły w dom Czartoryskich w r. 1729 po ciotce Sapieżynie, nareszcie słynne i głośnie Puławy, które rzeczywiście fundował książę wojewoda ruski; synowa zaś jego księżna Izabela z Flemingów Czartoryska doprowadziła do tego stanu świetności, w którym były znane w kraju i w Europie. Wszak opiewał je Delille, słynny francuski dydaktyczny poeta, a znakomity nasz prymas Woroniecz, poeta i wielki kaznodzieja, w poemacie swym wydanym w r. 1800, opisywał skarby pamiątek narodowych, nagromadzone przez księżnę w nowozbudowanej przez nią wśród ogrodów puławskich świątyni Sybilli. Cesarz Aleksander I nieraz zaszczycał Puławy swą bytnością, przysłał do Sybilli niejednen dar kosztowny. Rotunda z jednej sztuki olbrzy-

miego szkła, pokrywająca samą świątynię Sybilli, była ofiarą tego szczodrobliwego monarchy. Pamiętniki Koźmiana dają nam wiele szczegółów o rezydencyi puławskiej, dokąd za księstwem, gdy opuszczali Warszawę, mnóstwo osób podążało i ciągle się zmieniało. Widzimy tam jasno, jaki duch ożywiało tamtejsze towarzystwo, z kąd cała Polska przykład brała; wśród zabaw bardzo urozmaiconych, szczególnie latem na świeżem powietrzu, i przeplatanych teatrami amatorskimi⁴ żywymi historycznymi obrazami i rozmaitemi siurpryzami, nie zapomniano nigdy o poważniejszym nastroju i celu tych zabaw. Każda krajowa zasługa, każdy popis na polu ojczyściej literatury, a co bardziej jeszcze, każda skryta nędza znajdowały tam swe uznanie i ciche wsparcie. Puławy więc jako rezydencya jednego z zamożniejszych rodów w Polsce były nieraz i wyczerpująco opisywane; lecz nie od rzeczy będzie tu wspomnieć o kilku szczegółach, nigdzie dotąd nieogłoszonych, a które mamy od księcia Konstantego Czartoryskiego.

Póki Puławy nie były zupełnie jeszcze urządzone, jak je widzimy już w pierwszych latach bieżącego stulecia, to jest, póki stanowiły tylko letnie czasowe mieszkanie, gdyż księstwo rezydowali w Warszawie jako stolicy politycznej kraju, rozumie się, że przybywający za nimi goście nie mogli używać tych wszystkich wygod, jakich się doznawało we dworze zamieszkanym przez rok cały. Jednem słowem, dla tej czy dla innej przyczyny, dość, że kursował wtedy po Warszawie rodzaj przysłowia, że w Puławach dają *stare masło i młode wino*, z którego sam książę pierwszy rad z innymi żartował. Do stołu zasiadało codziennie z górą 60 osób. Służbę stołową pełniło 24 granowskich kozaków, smukłych i czarnobrewych Ukraińców, którzy się wywiązywali z tego zadania ze sprytem i zgrabnością wrodzoną Rusinom; tylko za krzesłem samej pani, która niezawsze siadała do stołu, stawał kamerdyner Niemiec, wyłącznie przywiązany do jej osoby. Kuchnia była czysto polska, niewykwintna

lecz smaczna; owo tylko osławione *młode wino* wprawiało w rozpacz prawdziwych amatorów. Książę feldmarszałek nigdy do stołu nie siadał; przychodził tylko do sali jadalnej, gdy już wszyscy swe miejsca zajęli, paląc lulkę z długich antypek, które jedną po drugiej ciągle mu nakładał Turczynek w ślad za nim chodzący, i aloesem podług ówczesnej mody rozpalał. Witał się wtedy z gośćmi, którzy nieraz po kilka tygodni w Puławach bawili, nim się z księciem widzieć mogli; każdemu coś grzecznego powiedział i tym sposobem rozmawiając stoły obchodził. Zdarzyło się więc pewnego dnia, że przyjechał Bernardyn kwestarz, którego gdy z rozkazu księcia obdarzono dla konwentu, zaproszono, jak zwyczaj kazał, do stołu. Był to właśnie piątek, a zatem dzień postny; podawano śledzie przed zupą, do których naturalnie, jako przyprawę, roznoszono oliwę i ocet. Bernardyn siedząc na szarym końcu wprzód już kosztował młode wino, nazwane cienkuszem, stojące na stole, i jako amator z powołania, mocno się skrzywił. Wypadek chciał, że w tej chwili wchodził na salę sam książę, na powitanie którego wszyscy lekko z miejsc się podnieśli. Lecz Bernardyn, ruszając konceptem, porwał za butelkę z winem i zaczął lać ono na śledzie. Co spostrzegłszy książę, zawołał: „Ale co robisz książę kwestarzu? wszak to wino!“ — „Nie móści książę, to ocet, ocet!“ — „Tęgi z ciebie kwestarz, kochany książę, znasz się dobrze na winie, odpowiedział książę, dajcie mu więc starego węgrzyna!“ Co też natychmiast spełniono, ku wielkiej ucieście całego zgromadzenia, a szczególnie Bernardyna.

Gdy w końcu każdego roku ekonomicznego ze wszystkich kas prowentowych zwieziono dochody w gotówce do kassy centralnej wilanowskiej, odbywała się zwykle jedna i taż sama ceremonia. Kassyer główny, otoczony silną eskortą kozaków granowskich, przynosił do apartamentu księcia wojewody dużą żelazną kassę ze złotem, a mniejszą z drobną srebrną monetą. Pierwsza zawierała od trzech do czterech

milionów złotych polskich w dukatach holenderskich, a druga jakie kilkakroć sto tysięcy w srebrze. Wtedy książę wojewoda odsyłał zawsze większą kasę do księżnej jejmości pod eskortą kassyera i kozaków, dając przez to wielki dowód delikatności, gdyż dobra przeważnie były żonine; lecz księżna wojewodzina odsyłała ją natychmiast napowrót do męża i w grzecznych wyrazach kazała dziękować za atencję. Srebro zostawało na drobne potoczne rozchody, lecz summy takie w złocie, odnawiające się co roku, były niemalą dźwignią polityczną w ręku *famili*. Używała go też hojnie, i był czas, że rzeczywiście była wszechwładną w kraju. Lecz dajmy pokój uwagom historycznym i krytycznym nad owemi czasami, zanadto one smutne, i zresztą dość dużo o nich pisano.

Ks. wojewoda ruski hodował bardzo liczne stada we wszystkich swych rozległych dobrach; młodzież, mająca być brana do użytku, utrzymywała się w Międzyrzeczu na Podlasiu. W stajniach jego pałacowych w Warszawie, oprócz koni wierzchowych, stało ciągle 100 cugów po 6 koni — doskonale ujeżdżonych i dobranych. Stajnie pałacowe wolno było każdemu oglądać; nad każdym cugiem oznaczona była na tablicy cena, nienizsza od 50 dukatów, a niewyższa nad 300 dukatów. Były więc konie na każdą kieszeń i do każdego użytku; lecz wiara pomiędzy kupującymi była taka, że kupowano na słowo, bez wyprowadzenia ze stajni lub zaprzęgania koni. Każdy wiedział, że nikt go tu oszukać na koniu nie myśli; ceny były stałe, zastosowane do wyższych lub niższych przymiotów koni. Kupców więc nigdy nie brakło pomiędzy magnatami i szlachtą, — cugi kupione zastępywano natychmiast świeżemi, które dostarczały stada międzyrzeckie, — tak, że zawsze w stajniach pałacowych powinno było być 60 koni cugowych. Konie zaś nie innego nie robiły, jak woziły tylko drwa z Wilanowa do Warszawy na potrzeby kuchenne i pałacowe. Dziś ledwie dwory cesarskie są w stanie utrzymywać taką masę koni; dawniej,

rozumie się, że i prywatne osoby więcej zaprzęgów potrzebowały, bo nie było kolei żelaznych, ułatwiających podróże, choćby z największemi dworami; lecz niemniej podziwiać należy rządność administracyi ks. wojewody ruskiego i tę korzyść, którą tak praktycznie umiał otrzymać z licznych stad, hodowanych w rozległych dobrach, przynosząc przez to rzeczywisty pożytek dla kraju i dla współobywateli. Teraz, choć mamy stada krajowe, ale konie w nich bardzo drogie, a na użytek codzienny koni się dokupić niemożna; dla rozjazdu zmuszeni jesteśmy sprowadzać konie z za Dniepru, które wskutek ostatniej wojny strasznie podrożały, i tam nawet na stepach trudno dobrać dobre cztery konie do szybkiej jazdy, jaką w ogólności lubimy. Chów koni coraz bardziej upada w naszym kraju; rzeczywistość, że to jest fantazyja pańska, drogo kosztująca, a przy terażniejszych warunkach ekonomicznych nieprzynosząca żadnej prawie korzyści: bo koń starannie wychowany, póki dorośnie, kosztuje więcej niż to, co za niego przy najbardziej sprzyjających okolicznościach otrzymać można. Lecz każdy obywatel, choćby wioskowy, powinienby utrzymywać u siebie kilka kłaczy rassy poprawniejszej, aby mieć dobre konie do zaprzęgu, a co lepszego pod wierzch na swój własny użytek. W takim jednak razie, brak pięknych ogierów rozplodowych bardzo czuć się daje, a rząd bardzo mało, tak jakby nie robi na tem polu. Królestwo Polskie, trochę Litwa, a najbardziej jeszcze sąsiednia z nami Galicya, daleko wyżej od nas stoją pod tym względem. U nas na Rusi są tylko dwa słynne stada: książąt Sanguszków na Wołyniu i hrabiów Branickich na Ukrainie, lecz te nie zaspakajają potrzeb ogółu. Posiadamy dwie tylko stacye rządowych ogierów, jedną w Balinie pod Kamieńcem, a drugą w Wierzchowni na Ukrainie w powiecie skwirskim, w dobrach generała adjutanta hr. Adama Rzewuskiego, lecz te dla wielu przyczyn nie odpowiadają zupełnie celowi; zresztą nie są wystarczające na tryz tak obszerne prowincye, jak Wołyń, Podole i Ukraina.

Zasługi więc księcia wojewody ruskiego pod względem chowu koni w drugiej połowie XVIII wieku, są niezaprzeżone. Zostawił on po sobie długotrwałe pamiątki. Stada międzyborskie, gdzie się hodowały konie czystej polskiej rassy, taranty grzymałowskie, które się dostały w sukcesyi księżnej marszałkowej Lubomirskiej, gdy majątek matczyny po Sieniawskich przeszedł do równego działu pomiędzy nią a bratem jej, ks. Adamem Czartoryskim jenerałem ziem podolskich, są jedynie owocami pracy i zabiegów hypiecznych księcia wojewody ruskiego.

Łaskawi czytelnicy wybaczą nam zapewne ten ustęp który nas oddalił od głównego naszego opowiadania; lecz każdy Polak ma żyłkę do konia, i gdy wpadnie na ten przedmiot, mimowolnie staje się gadułą. Wróćmy więc do recepcyi w Hrehorówce. N. Pan przybył tam, o ile wiemy, w towarzystwie księcia Piotra Wołkońskiego, swego przybocznego jen. adjutanta, jen. en szefa Beningsena, mającego dowództwo nad wojskami zebranemi pod Hrehorówką dla rewii, jenerała Witt inspektora całej kawaleryi, jen. Arakcejewą organizatora kolonij wojskowych, które właśnie weszły w życie rokiem przedtem, a mianowicie w roku 1817, i otoczony liczną i świetną świtą jenerałów i fligieli-adjutantów. Wszystkie trzy prowincye tutejsze uwiadomione przez panią hetmanową o monarszych odwiedzinach, wcześniej przygotowały się do tej recepcyi, chcąc powitać na swej ziemi Monarchę otoczonego świetną aureolą zwycięstw i szczerze wówczas kochanego. Hrehorówka bowiem należąca do dóbr Staro-Konstantynowskich, położona jest na samem pograniczu Podola i Wołynia. Cesarz dla wszystkich był najłaskawszego usposobienia, rozmawiał zwykle tylko z damami, zachwycał je swą grzecznością i wykwinnością manier, prowadził z nimi tylko polityczne rozmowy, karmiąc je najśłodsze obietnicami. Autentycznem jest, że w gronie dam odezwał się wtedy: „*Vous devez être contentes de moi, mesdames, car, comme vous voyez, je porte toujours l'uniforme*

polonais.“ Rzeczywiście przez cały swój pobyt w Hrehorówce nosił mundur gwardyi szaserów polskich. Razem z Cesarzem przybyli książę Adam Czartoryski, pan na Puławach, Granowie i Międzyborzu, były minister spraw zagranicznych gabinetu petersburskiego i ówczesny kurator zakładów naukowych polskich, i brat jego Konstanty, generał adjutant cesarski, pan na Klewaniu i Żukowie, a dziedzic Międzyrzecza Podlaskiego, Terespoła i Jarosławia w Galicyi. Do Hrehorówki zjechało się wtedy mnóstwo osób z naszych prowincyj. Nie od rzeczy będzie je tu choć w części wymienić, choćby dla wiadomości przyszłego pokolenia, w pamięci którego fakta takie, jako małoznaczne łatwo się zacierają; rzucają one jednak pewne światło na ową epokę. Zacznijmy od urzędników obywatelskich, występujących tu w charakterze prawie oficjalnym. Widzimy więc dwóch gubernatorów: wołyńskiego, generała Bartłomieja Giżyckiego z Mołoczek z żoną urodzoną Ilińską, siostrą starego senatora Ilińskiego,— i podolskiego, Mikołaja Grocholskiego z Woronowicy z żoną urodzoną Chołoniewską, siostrą znanego w naszej literaturze księdza Stanisława Chołoniewskiego. Trzech marszałków gubernialnych, czyli najwyższych reprezentantów szlachty tych prowincyj: wołyńskiego, księcia Eustachego Lubartowicza Sanguszkę ze Sławuty, kolegę Kościuszki i ks. Józefa Poniatowskiego, z żoną ks. Klementyną Czartoryską z linii Koreckiej i córką, śliczną i powabną księżniczką Dorotą, — podolskiego, hr. Konstantego Przezdzieckiego z Czarnego Ostrowia, ożenionego z Olizarówną, siostrą hr. Gustawa Olizara, która później poszła za Dziekońskiego z Morachwy na Podolu, — i kijowskiego, hr. Henryka Tyszkiewicza, który piastował ten urząd z górą lat trzydzieści.

W gronie gości widzimy panią hetmanową Branicką urodzoną Engelhardt, siostrzenicę Potemkina, a wdowę po Franciszku Ksawerym hetmanie w. k. Dwóch książąt Sapiehów ożenionych z dwoma rodzonemi siostrami Potockimi z linii Tulezynieckiej, córkami Szczęsnego z Mniszchówny

gdyż książę Paweł ożeniony był z Pelagią, a ks. Mikołaj z Krasifowa z Idalią. Rodzonego ich brata, generał-adjutanta hr. Jarosława Potockiego, a zięcia gospodyni domu, gdyż miał za sobą Maryę Rzewuską, siostrę Emira Wacława; syna p. hetmanowej Branickiej, hr. Władysława z Białej Cerkwi z żoną Potocką z linii Tulczyńskiej; panią generałową Franciszkę hr. Dunin Karwicką z Mizocza, z domu Małachowską kancelerzanek w. k., z córką swą, uroczą wówczas panną Anną, a zmarłą w czerwcu r. 1881 w Krakowie; panią Tadeuszową Walewską z synem Kazimierzem pełniącym wówczas służbę szambelańską przy N. Panu; księcia Józefa Lubomirskiego z Dubna, z żoną Dorotą ze Steckich; generała hr. Gabryela Rzysszczewskiego z Żukowiec, b. szefa 12 pułku ułanów b. w. p., z żoną księżniczką Celestynę Czartoryską z linii Koreckiej; Adama Swiejkowskiego z Kołodna, syna Marcina wojewody wołyńskiego, z żoną Krystyną z Kossowskich podskarbianką w. koronną; Hieronima Walewskiego wojewodzica sieradzkiego z Tuczyzna na Wołyniu, z żoną Cecylią Potocką starościanką tłumacką; księcia Maksymiliana Jabłonowskiego z Krzywina na Wołyniu, ostatniego kasztelana krakowskiego, senatora, prezesa heroldyi w Warszawie i mistrza dworu cesarskiego, z żoną Teresą z książąt Lubomirskich; księcia Dymitra Czetwertyńskiego z Medwedówki, z żoną z domu Śliżeń; dwóch książąt Radziwiłłów: Michała z Szpanowa, późniejszego wodza naczelnego, z żoną Aleksandrą ze Steckich, córką Józefa łowczego w. k., i Michała z Berdyczowa i Podłużnego, ożenionego z Worcellówną.

Z mężczyzn zaś byli pomiędzy wielu innymi: Stanisław Worcell ze Stepania b. marszałek gubernialny wołyński; stary senator Iliński Janusz z Romanowa, pierwszy marszałek gubernialny na Wołyniu, któren doznając względów Cesarza Pawła, przyczynił się do uwolnienia więźniów wziętych w r. 1794 do niewoli; brygadyer Adam Walewski z Połonnego, ożeniony z Józefiną Lubomirską, córką księcia

Kaspra a siostrą pani Protowej Potockiej; syn jego Tadeusz wówczas kamer-junkier dworu cesarskiego; książę Stanisław Jabłonowski z Annapola kasztelanie krakowski, ojciec ks. Antoniego i ks. Stanisława niedawno zmarłego w Krakowie; książę Fryderyk Lubomirski z Równego, były wicegubernator wołyński; Filip Plater z Dąbrowicy, wizytator szkół krzemienieckich po śmierci Tadeusza Czackiego.

Rozumie się, że nie jesteśmy w stanie wyliczyć wszystkich gości hrehorowieckich; spisujemy tu tylko obrazki Wołynia, jako nam lepiej znane z opowieści osób, żyjących w tej epoce, lecz wiemy, że i Podole i Ukraina znakomicie tam były reprezentowane. — W świetnem gronie piękności ówczesnych odznaczała się księżniczka Dorota Sanguszkówna, córka księstwa Eustachostwa, jaśniejąca dziwnym urokiem piękności i wysokimi przymiotami duszy i serca, a tak niestety przedwcześnie zgasła w Rzymie w r. 1821. Na rozpacz i żal ojca patrzyła cała generacya nasza. Stary ten i dzielny żołnierz, do samej śmierci, — bez łez nie mówił o ukochanej córce; co dzień chodził się modlić na jej grobie, ufundował na jej intencją piękny kościół w Sławucie. Cichy smutek jego był prawdziwie rozrzewniający i pobudzał go nawet do utworów poetycznych, po przejściu się Young'iem i trenami Kochanowskiego, które pokazywał osobom najbliższej serca jego położonym. Mówiliśmy wyżej, że N. Pan rozmawiał w Hrehorówce li tylko z damami; jeden wyjątek zrobił dla ks. Eustachego Sanguszki i pozwolił go sobie prezentować przez gubernatora Bartłomieja Giżyckiego, będąc uprzedzonym, że książę pragnie syna swego starszego oddać do gwardyi, co też się i stało, bo zmarły w marcu 1881 r. patriarcha nasz, ks. Roman Sanguszko, wstąpił do pułku konnej gwardyi w r. 1819. Nigdzie nie mamy śladów, aby syn hetmanowej, słynny Wacław Rzewuski, pomagał matce w przyjęciu dostojnego gościa i całego obywatelstwa trzech naszych prowincyi. Natenczas właśnie przypada długa jego podróż na wschód. Musiał więc wtedy

koczować po pustyniach Arabii, gdzie przez doskonałą znajomość arabskiego języka, nad którym jeszcze w Wiedniu pracował, a więcej jeszcze przez swoją heroiczną legendową dzielność w dosiadanu najdzikszych rumaków i użycie wszelkiej broni, zyskał pomiędzy koczowniczymi plemionami arabskiego półwyspu zaszczytny tytuł Emira el-Omrah Tadž-el-Faber. Ukraiński pieśniarz, Tymko Padura, nazwał go w swych poezyach: *złotaja boroda*, co wedle niego ma być tłumaczeniem tytułu, którym go Arabowie uczcili.

Na trzeci dzień recepcyi hrehorowickiej wpadł z Petersburga feldjegier donoszący N. Panu przyjście na świat pierwszego syna brata jego W. Ks. Mikołaja. Były to więc urodziny Cesarza Aleksandra II, przypadające na 17 kwietnia 1818 r., zgodne zupełnie z epoką monarszych festynów wydawanych przez panią hetmanową. Zaraz więc na sali balowej N. Pan przyjmował powinszowania od wszystkich obecnych, przez co i cała recepcya nabrała jeszcze większej świetności i blasku.

Przyjęcie takie, urządzone monarchicznie dla tak ogromnej liczby osób zaproszonych, kosztowało strasznie drogo; wiemy bowiem z opowiadania, że przepych w Hrehorówce był wielki; przybudowano osobną salę, ozdobną napisami sławniejszych zwycięstw Cesarza Aleksandra; sale jadalne były przepysznie ustrojone, a u stołu zastawionego starożytnymi srebrami dwóch połączonych domów: Rzewuskich i Lubomirskich, dostojny gość siedział pomiędzy dwoma hetmanowemi: polną Rzewuską, i koronną Branicką. Dla przybywających i zaproszonych mężczyzn ogłoszony był niespodziewanie ceremoniał, żeby wszyscy na pokojach byli pudrowani; nikt się do tego nie przygotował, zresztą i puder zaczął już wychodzić z mody; jeden Brzeziński, kamerdyner jenerała Ryszczewskiego, umiał pudrować i miał wszelkie przybory do tego, był więc przez wszystkich rozrywany; to też przez tych 3 dni zebrał w Hrehorówce 200 dukatów, gdyż każdy z panów za upudrowanie chętnie

mu dawał najmniej dukata w złocie. Rozchody pani hetmanowej były więc ogromne, i powiadają, że od czasu tych fet datuje się początek jej ruiny; tembardziej, że mimo kolosalnej fortuny, lubiła wiele tracić i w kraju, i zagranicą, a bynajmniej nie odznaczała się rządnością i duchem administracyjnym. Około r. 1820 wszystkie jej majątności poszły pod rozbiór, czyli tak nazwaną eksdywizyę, na mocy Statutu litewskiego, obowiązującego ówczesnie w naszych prowincjach. Pani hetmanowa, trapiąca przez wierzcicieli, udała się pod opiekę monarszą; za jej proźbą zaprowadzono też wkrótce potem znaną u nas, staro-konstantynowską komisyę likwidacyjną, trwającą lat kilkadziesiąt, a której z prawa marszałek gubernialny wołyński był prezesem, i do której obierani byli osobni deputaci z grona osiadłych obywateli. Potrafiono tylko ocalić jedną Szawrańszczyznę, dymitowaną przez matkę synowi Wacławowi, i Podhorce w Galicyi w obwodzie złoczowskim, z historycznym zamkiem i innymi pamiątkami po Żółkiewskich, Daniłowiczach i Sobieskich, które, niedawno temu, syn Wacława, hr. Leon Rzewuski, sprzedał ks. Władysławowi Sangusze. Dobra zaś Łanowieckie w Galicyi, położone w obwodzie stanisławowskim, nabył ks. Leon Sapieha. — I tak ta wielka fortuna, stanowiąca część kolosalnego spadku po ostatniej Sieniawskiej, weszła w obce domy, nie z prawa sukcesyi, ale z prawa należności wierzytelnych, pochodzących z nieoględności i niezaradności tej, której jedną ze świetniejszych epok życia opisaliśmy. P. hetmanowa, dziedziczka tak pięknego nazwiska i tak rozległych dóbr, zmarła przed dwudziestu kilku laty w niedostatku graniczącym prawie z nędzą, w Janowie, w domu swego wychowawca, księdza Stanisława Choloniewskiego, do którego się schroniła, gdy już cała fortuna była rozszarpaną, a syn jej Wacław po wypadkach roku 1831 zginął bez wieści. Patrząc na tyle splendorów, które ją otaczały za życia, mimowolnie się powtarza: *Sic transit gloria mundi.*

ROZDZIAŁ IV.

O szkołach krzemienieckich.

Któż nie słyszał o Krzemieńcu, a raczej o słynnych szkołach krzemienieckich, egzystujących w pierwszej połowie bieżącego stulecia. Był to pierwszorzędny zakład naukowy, w którym całe prawie pokolenie nas poprzedzające odbierało zbawienne światło nauki. Pracowali nad tem ludzie zacni i poczciwi, pochodzący z grona obywateli wołyńskich, z zaparciem się samych siebie, z poświęceniem się, a szczególnie z miłością dla uczącej się młodzieży, jakiej już dziś nigdzie nie spotykamy. Nazwiska wiekopomnego Tadeusza Czackiego, Filipa Platera, następnie Jana Wyleżyńskiego i szefa Drzewieckiego, ciasno są związane ze wspomnieniami o Krzemieńcu. Wszyscy ci zacni mężowie byli to Wołyniacy, lecz ich samych, jakoteż całe grono professorów, nawet całe towarzystwo, tak świetnie przez czas jakiś w Krzemieńcu się bawiące, ożywiała jedna myśl, jeden duch; wszyscy tu zebrani na stałe lub czasowe mieszkanie, mieli jedyny cel wytknięty przed sobą, i nigdy z niego nie zoczyli. Celem tym było poczciwe wychowanie młodzieży pod własnym okiem i kierunkiem, zgodnym zawsze ze zwierzchnością

szkolną. Młodzież tu, nieoddalając się prawie z domu, żyjąc życiem rodzinnem, pod wpływem poczciwych matek, dzieląc zabawy i poniekąd nauki z siostrami i najbliższymi krewnymi, zawierała stosunki koleżeńskie z tymi, z którymi później los ich wiązał w dalszych kolejach życia; a po ukończeniu tego pierwszorzędnego zakładu naukowego, nie czuli się obcymi w kraju, którego z prawa i urodzenia stawali się obywatelami. Rzeczywiście, że uczucie koleżeńskie było tu znakomicie rozwinięte; dziś jeszcze, gdy się zdarzy spotkać dwóch dawnych Krzemieńczaków, a niestety coraz ich więcej ubywa, to przyjemnie jest patrzeć, jak się oni serdecznie witają, jak przypominają sobie figle razem płatane, wspólne zabawy w domach pokrewnych, lub wykłady professorów, których ówczesny Krzemieniec miał znakomite grono. Jednym słowem, wynosi się to przekonanie, że wszyscy tam byli swoi, że stanowili jedną wielką rodzinę, ożywioną wszakże najpiękniejszymi i najpocziwszymi uczuciami.

Miał więc Krzemieniec w początkach bieżącego stulecia epokę niezaprzeczonej i zasłużonej chwały. Mimo uroczego położenia, gdyż miasto leży w głębokiej dolinie, otoczonej zewsząd wysokimi górami, z których góra królowej Bony, zawieszona prawie nad miastem, z ruinami zamku, i naprzeciw góra Czereza są najwydatniejszymi: stanowią one bowiem część pasma gór miodoborskich, które z nad brzegów rzeki Smotrycza na Podolu biegną w kierunku północno-zachodnim aż na Wołyń, przechodzą tu granice austriacką, i przez wzgórza ciągnące się w Galicyi w okolicach Podhorzec i Oleska, łączą się z odłamkami Karpat;— mimo więc czarującego położenia, upiękzonego przez samą naturę: bo roślinność wszędzie jest bujna, wzgórza okryte są drzewami i ogrodami owocowemi, rzeczka Irwa niedaleko od miasta wpada do rzeki Ikwy przy królewskim moście, znany dobrze młodzieży ze ślicznych spacerów; — mimo to wszystko Krzemieniec przedstawia dziś najsmutniejszy widok. Dziś jest to jedno z najlichszych miast powiatowych Woły-

nia, zamieszkałe tylko przez ubogie Żydowstwo, trudniące się drobnym handlem i przemycaaniem towarów, do czego bliskość granicy austryackiej bardzo zachęca, i przez niezbędne władze powiatowe, złożone z koronnych urzędników. Konsystuje tu wprawdzie sztab jednego pułku dragońskiego, i w dawnych gmachach policealnych mieści się seminaryum dla alumnów obrządku wschodniego, lecz to bynajmniej nie ożywia miasta niemającego prawie żadnego stałego handlu, mimo swej ludności, liczącej obecnie 11,629 mieszkańców.

Jestto jednak jedna z najdawniejszych osad Wołynia. Niektórzy pisarze odnoszą jej istnienie do czasów przedhistorycznych; była to tak zwana *stacya krzemienna* i ztąd nibyto pochodzi nazwa miasta. Nie naszą rzeczą oceniać prawdziwość tego podania ludowego, na którem jednak wielu poważnych historyków się oparło. Według nas, Krzemieniec mógł być nazwanym od massy krzemieni, które się znajdują na polach go otaczających. Dawniej, gdy w wojskach używano broni skalkowej, kwitł tu wyrób krzemików czyli skałek; rozwożono je w beczkach do różnych składów intendantekich w całej Imperyi. Teraz zaś sam z siebie upadł i ten przemysł. W XIV wieku są już pewne ślady o Krzemieńcu. Kazimierz Wielki, podbiwszy Ruś, nadał go w roku 1340 Jerzemu Narymuntowiczowi księciu litewskiemu; w r. 1366 odstąpiony został Polsce, a w r. 1382 wrócił napowrót do Litwy. Władysław Jagiello nadaje go z początku bratu swemu Dymitrowi Korybutowi, a po jego śmierci, Swidrygielle, który tu w. 1418 wytrzymał długie oblężenie Witolda wielkiego księcia litewskiego. Jest nawet podanie, prawie historycznie pewne, że Witold schwyciwszy ciągle buntującego się Swidrygiellę, osadził go w ciężkiem więzieniu w zamku krzemienieckim, gdzie też przesiedział 8½ lat; dopiero Teodor książę Ostrogskie opanowawszy podstępnie zamek krzemieniecki, uwolnił Swidrygiellę z tej długiej niewoli. Nadanie przez Zygmunta I-go grodu tego żonie swej Bonie, odnosi się do r. 1536; lecz wątpimy, aby dzi-

siejsze ruiny na górze zamkowej pochodzić miały z tej epoki: wydają się bowiem znacznie starsze. Podanie ludowe ochrzciło je jednak imieniem zamku królowej Bony, i tak przetrwały do naszych czasów. Roku 1648 Kozacy zdobyli i zrabowali Krzemieniec, i od tego czasu zaczyna się rzeczywisty upadek miasta. Starostwo tu było grodowe, składało się z samego miasta i z 17 wsi okolicznych. W r. 1771 starostą grodowym krzemienieckim był Józef książę Sanguszko marszałek nadworny w. ks. litewskiego, i opłacał z niego kwarty złp. 7798 gr. 28, a hyberny złp. 405 gr. 24.

Po tej pobieżnej wzmiance historycznej, posłuchajmy co zrobił dla Krzemieńca Tadeusz Czacki, gdyż on to podniósł miasto z tego zapomnienia i stanu upadku, w jakim je zastał początek XIX wieku. Nie mamy bynajmniej zamiaru spisywać biografii tego znakomitego męża, w zupełności poświęconego dobru ogólnemu, a szczególnie wychowaniu młodzieży. Byłoby to zadanie nad nasze siły; wielu zresztą zasłużonych na polu ojczyźnej literatury oddało mu hołd należny. Jedyne dla przekonania, że Wołyń w zupełności ma prawo nim się pochlubić, powiemy, że był synem Feliksa Szczęsnego starosty nowogrodzkiego, znakomitego polskiego statysty, zmarłego w r. 1790 w Brusilowie w dobrach swych kijowskich. Tadeusz zaś rodził się r. 1765 w dobrach ojczyźnych w Porycku na Wołyniu, a zmarł, przedwcześnie niestety, w Dubnie r. 1813. Miejsce urodzenia, życie całe przebyte na usługach publicznych i miejsce zejścia z tego świata, należą więc niezaprzeczenie do Wołynia. Pomijając jego pierwotne wychowanie, początkowo w Gdańsku, a później w Porycku w domu rodzicielskim, pod okiem biegłych nauczycieli, dobranych przez uczonego ojca, — pomijając jego uczone prace nad uporządkowaniem metryk koronnych, dokonane w towarzystwie Albertrandego i Naruszewicza, prace jego w różnych komisyjach, których był czynnym i niezmordowanym członkiem, studia jego w bibliotece Załuskich, owocem których było wiekopomne dzieło

jego o *litewskich i polskich prawach*, i wiele innych zaszczytnie znanych w naszej literaturze, — nie dotykając więc bynajmniej jego dosług literackich, chcemy tu mówić tylko o tem, co zrobił dla szkoły krzemienieckiej i dla młodzieży trzech naszych prowincyj.

Wróciwszy w r. 1803 do Porycka, po wypadkach krajowych, wkrótce wezwany był przez wówczas panującego Cesarza Aleksandra I-go do odnowienia, wspólnie z ks. Adamem Czartoryskim, uniwersytetu wileńskiego. Mianowany zaś został wtedy wizytatorem szkół gubernii wołyńskiej, podolskiej i kijowskiej, przez co stał się naturalnym opiekunem naszej młodzieży szkolnej. Czując, że Wilno zbyt oddalone, powziął zamiar utworzenia wyższej wzorowej instytucji naukowej, i był dość szczęśliwym, że ułożony przez niego projekt, nacechowany gorącą jego miłością dla młodzieży, uzyskał najwyższą sankcyę cesarską w dniu 29 lipca 1805 r. To więc jest rzeczywistą datą narodzin szkoły krzemienieckiej, chlubnie znanej i sławnej w dziejach oświaty narodowej. Z niezmordowaną gorliwością zajął się Tadeusz Czacki zbieraniem funduszków dla przyszłego zakładu naukowego, do czego znakomicie mu pomogło utworzenie wyższej komisyi edukacyjnej, ustanowionej przez rząd za jego staraniem, dla rewindykowania ukrytych lub spornych funduszków pojezuickich, przeznaczonych na publiczną edukacyę. Rozumie się, że sam został pierwszym jej prezesem; składała się ona oprócz tego z trzech komisarzy czyli deputatów, wybranych z grona osiadłych i zacnych obywateli, i sądziła sprawy bezapelacyjnie. Sekretarzem komisyi edukacyjnej był Bilski, później Rudzki, a kassyerem Kruczkowski. Po śmierci zaś Tadeusza Czackiego, prezesem został ks. Dymitr Czetwertyński, a po nim w r. 1826 Feliks Czacki, synowiec Tadeusza, a syn brata jego Michała podczaszego w. k., urodzony z Beaty Potockiej, córki Ignacego, pani wysoko wykształconej. Lecz Tadeusz Czacki nie kontentował się funduszami pojezuickimi, tak nazwanymi edu-

kacyjnemi; powiększał je licznemi składkami, nad zbieraniem których niezmordowanie pracował. Liczne zapisy ciążące na dobrach tych trzech gubernij, a później w r. 1833 przeniesione na uniwersytet Ś-go Włodzimierza w Kijowie, są tego najlepszym dowodem. Uposażenie tak rozległego zakładu naukowego, mieszczącego w sobie 4 klasy gimnazjalne i trzy kursa dwuletnie, gdzie wykład wyższych nauk odbywał się na wzór uniwersytecki, — stworzenie prawie z niczego licznych a później tak bogatych zbiorów naukowych i gabinetów, a szczególnie zabezpieczenie trwałego istnienia tej wzorowej ze wszechmiar instytucyi, było jedyną myślą, jedynym celem tego godnego i szlachetnego męża. Nadwerężył on własną fortunę, zaniedbał rodzinne majątkowe interesa, odbywał bardzo często długie i kosztowne podróże do stolicy, gdzie miał nieraz do zwalczenia wielkie trudności; wszystko to jednak przeniósł, wszystko przezwyciężył, i miał tę pociechę, że widział w końcu ukochane swe dziecię, to jest liceum krzemienieckie, w tym stanie rozkwitu i świetności, w którym je znali współcześni, a którego nam zazdrościły sąsiednie prowincye.

Głównym jego zabiegiem było dobrać grono uczonych, zaenych i miłujących swe powołanie professorów. Dla tego celu nie szczędził ani pracy, ani zabiegów; to też Krzemieniec mógł się z chlubą szczycić nimi. Prefekt Antoni Jarkowski był rzeczywistym ojcem uczącej się młodzieży. Sprawiedliwy, przestrzegający pilnie moralności studentów, surowy lecz nie do zbytku, umiał sobie zaskarbić miłość tych, którzy pod jego przewodnictwem nauki kończyli. Rodem z Krakowskiego, sławny humanista, dawniej professor łaciny, miał zwyczaj polskim słowom dawać zakończenie na *um*; przemawiał więc zwykle do młodzieży *kochankum*, co też zostało po dziś dzień sławnem w podaniach krzemienieckich. Pozwalał studentom bywać na kassynach publicznych i balach u obywateli, gdzie go także zwykle zapraszano, bo szczerze i wysoce był od wszystkich szano-

nowany; lecz na zabawach tych pilnie przestrzegał, aby się młodzież przyzwoić prowadziła. Nie tolerował zabaw i pijatyk studenckich, ganił im palenie fajek, cygara bowiem i cygaretki były wtedy jeszcze nieznanne; nie było więc w Krzemieńcu tych *knajp* studenckich, gdzie się zwykle dziś odbywają hulanki i pijatyki młodzieży. Ledwo czasem pozwalali sobie starsi studenci, z trzeciego kursu, i to pokryjomu, lekki ponczyk, przy poufalej pogawędce wśród dymu tytoniowego; lecz stary prefekt Jarkowski, gdy ich przypadkiem zeszedł przy tej zabawie, z którą, rozumie się, pilnie się kryli, nazywał zawsze samowar używany do ponczu: *perpetuum mobile*. Cybuchy zaś, idąc za miasto na spacer, chowali studenci w rękawy, przyczem spotkawszy prefekta, niepodobna mu było się ukłonić; było też to powodem do różnych pociesznych scen, które dziś jeszcze starzy Krzemieńczanie sobie opowiadają. Po wzięciu emerytury przez starego Jarkowskiego, prefektem został Bokszezanin, lecz ten nigdy nie zdobył sobie popularności swego poprzednika. Rodzony brat prefekta Jarkowskiego Paweł, od samego założenia szkoły, to jest od r. 1805 do jej zamknięcia w roku 1832, był bibliotekarzem licealnym, wykładał później gramatykę powszechną i bibliografią. W r. 1834 powędrował za biblioteką krzemieniecką do Kijowa, gdzie też zmarł w r. 1835, jako bibliotekarz uniwersytecki. Literaturę grecką wykładał Michał Jurkowski, znany filolog polski, były professor języka greckiego w gimnazyum krakowskiem, a literaturę łacińską i polską aż do r. 1824, to jest do wyjazdu swego do Wilna, ksiądz prałat Alojzy Osiński ex-pijar, infulat ołycki, późniejszy rektor rzymsko-katolickiej duchownej akademii wileńskiej, i sufragan dyecezyi łuckiej. Był to mąż wielce zasłużony na polu ojczyściej literatury, a szczególnie nader pracowity; pozostawił po sobie wiele dzieł uczonych, a samych rękopismów, jak powiadają, 102 tomy. Dwa tylko dzieła: *Słownik pisarzy polskich* i *Słownik języka polskiego*, zawierają same 14 grubych tomów. Był to professor uko-

chany od młodzieży; nigdy nikomu przed władzą szkolną nie szkodził, i był pobłażliwym na egzaminach, jeżeli widział, że młodzieniec pilnie wśród roku pracował. Postać to była dziwnie oryginalna; przy strasznie rozumnej twarzy i bystrych oczach, był zgarbiony, pochylony, ledwie niezgięty we dwoje. Po skończonych lekcjach lubił rozmawiać z dorastającą młodzieżą, która go też tłumnie otaczała na galerii. Opierał się, a raczej siadał na swej grubej lasce, która go nigdy nie odstępowała, i wtedy sypały się rozumne żarty i koncepta bez liku. Staruszek zdawał się odmładniać z młodymi, i rad z nimi przebywał codzien jakie pół godzinki. Miał też swe słabe strony, bo któż ich nie ma na tym świecie? a te były pretensye do pięknego głosu i pięknej gry na skrzypcach; wymagał przytem, aby go zawsze nazywano prałatem, tłumacząc chłopcom niby nierozumiejącym co znaczy ten tytuł: „że prałat to tak jak pułkownik, a do pułkownika wszak nie mówisz panie oficerze, a mówisz panie pułkowniku.“ Starsi chcąc go wprowadzić w dobry humor, mawiali mu często: „Jak też to ksiądz prałat wczoraj ślicznie summę śpiewał, wszystkie damy w kościele to uważały i miały lzy rozczulenia w oczach.“ „Jak mi Bóg miły, uważasz pan (zwykle jego przysłowie) to bardzo być może“, odpowiadał przez nos rozradowany figlarnemu chłopakowi. Konceptom takim nie było końca. Gawędka ta na galerii ze studentami nabrała rozgłosu w całym mieście; młodzież, szczerze kochając swego profesora, pilnowała wyjścia jego z audytoryi, a obcując z nim, nabierała gładkości i wprawy w potocznej mowie polskiej; gdyż jako klasyk pilnie przestrzegał czystości mowy ojczystej, i żadnemu studentowi nie darował najmniejszego błędu. Osoby poważniejsze, nie należące do uczącej się młodzieży, zaczęły później uczęszczać na te gawędki z księdzem prałatem, gdyż szczerze był kochany i szanowany przez całe krzemienieckie towarzystwo. W Rzymie wyrobiono mu nawet dyplom na kawalera złotej ostrogi, i deputacya złożona z dam i miejscowych obywa-

teli, uroczyście w czasie wykładu jego lekcji literatury łacińskiej na trzecim kursie, wręczyła mu ten dyplom, jako znak uznania przez Ojca Ś-go zasług jego na polu ojczystego piśmiennictwa. Do łez był rozczulony, i głośno mówił, że nie godzien tego zaszczytu; lecz widać było, że mu to sprawiło rzeczywistą i nieklamana radość. Powtarzał często później: „Uważasz pan, jak mi Bóg miły, i w Rzymie wiedzą o moich skromnych pracach.“

Po nim objął katedrę literatury łacińskiej Maksymilian Jakubowicz, wychowaniec wileński, a później professor uniwersytetu kijowskiego i moskiewskiego, literatury zaś polskiej słynny Alojzy Feliński, autor dramatu „Barbara Radziwiłłówna“, urodzony w Łucku na Wołyniu w r. 1791. Po ukończeniu szkół pijarskich w Dąbrowicy na Polesiu, kształcił się on w Warszawie pod kierunkiem Tadeusza Czackiego i wszystko jemu zawdzięczał. Z tej to epoki pozostał wierszyk, malujący jego dozoną wdzięczność dla mistrza:

„Czacki, którego czułe nademną staranie,
Nigdy zgładzone z serca mego nie zostanie,
A którego zasługi i cnotę niezłomną,
Wdzięczni Polacy zawsze z uwielbieniem wspomną.
Czacki, co chęcią sławy zagrzany szlachetną,
Na usługach krajowych młodość pędził świetną,
Przykładem mi do pracy dodawał ochoty,
Kierował moje kroki do nauk i enoty!“

Półtora roku niespełna, po nagłej śmierci Felińskiego, objął tę katedrę Józef Korzeniowski, znany nasz powieściopisarz, który po skasowaniu liceum krzemienieckiego, przeniósł się do uniwersytetu kijowskiego, i wykładał tam do r. 1838 literaturę polską, historię starożytną i starożytności rzymskie. Matematyki w Krzemieńcu wykładał początkowie J. Czech, znany autor dzieła: *Euklidesa początków geometryi ksiąg ośmioro*, a następnie wyższą matematykę na kursach professor Wyżewski, a algebrę i geometryę Grzegorz Hreczyna. Nauki przyrodnicze i chemię Zienowicz, fizykę Jene i Ablamowicz, język i literaturę rosyjską Alexandrowski,

historię powszechną Józef Uldyński, który przeszedł na tę katedrę z gimnazjum podolskiego z Winnicy, i był do ostatnich czasów jedynym prawie reprezentantem dawnego grona professorskiego, gdyż od wszystkich kochany i poważany, zmarł w Krzemieńcu dopiero w 1863 r. Botanikę i zoologię wykładał znakomity Besser, znany z drogocennych prac, traktujących o florze naszych prowincyj; był później do r. 1837, t. j. do czasu otrzymania emerytury, professorem botaniki w Kijowie, wrócił następnie do ukochanego Krzemieńca, gdzie zmarł w r. 1842, patrząc na zniszczenie wypielęgowanego przez siebie ogrodu botanicznego. Pomagał mu w wykładach niemniej zasłużony na tem polu adjunkt jego Antoni Andrzejowski, który na posadzie profesora niezłyńskiego liceum księcia Bezborodko, dosłużył się emerytury w 1839 r. On to, oprócz wielu dzieł naukowych, wydał w Wilnie w r. 1861 *Ramoty Starego Detiuka o Wołyniu*, rzucające bardzo dobre światło na społeczeństwo nasze w początkach XIX wieku, choć zarzucić mu możemy, że podał wiele fałszywych szczegółów, opierając się wyraźnie na opowiadaniach osób źle poinformowanych. Oprócz tego widzimy jeszcze w gronie profesorów krzemienieckich Michała Chońskiego D-ra filozofii akademii wileńskiej i autora wielu dzieł uczonych, który wykładał prawo przyrodzone i ekonomię polityczną, od 1806 do 1831 r.; D-ra medycyny Karola Kaczkowskiego, późniejszego generał-sztabs-lekarza, który mając rozległą praktykę w mieście i współzawodnicząc z lekarzami: Majewskim, Mathiasem i Sedelmejerem, objął w r. 1823 katedrę higieny ogólnej, zkąd w 1829 r. wezwany był na profesora terapii przy uniwersytecie warszawskim. Języki nowożytne bynajmniej nie były zaniedbane w szkołach krzemienieckich: Lefort i Gerlache wykładali język francuski, Kołpaczkiwicz i Michalski niemiecki, a Mikulski angielski. Lekeye prywatnie języka angielskiego dawał Macdonald, a francuskiego Verdoyen, który

później został księdzem i ze składek wystawił szpital dla ubogich za Bazyljanami.

Tadeusz Czacki dbał wielce o to, aby młodzież wychowująca się w Krzemieńcu, oprócz wykładu nauk ścisłych, miała również sposobność rozwijać wszelkie talenta towarzyskie. Ściągał on ze wszech stron dobrych metrów, jakimi byli: Grabowski Stanisław na fortepianie, Lanzi na skrzypcach, Pitchmann dobry bardzo portrecista i Klembowski rysunku, Russel Francuz fechtowania, który odbył pod Washingtonem wojnę amerykańską, w korpusie francuskim i ciągle o tem na lekcjach opowiadał. Pani Volanges, uczennica sławnego Daport'a z Paryża, dawała po domach prywatnych lekcye tańców. Była szkoła pływania na królewskim moście na Ikwie, w uroczem położeniu. Professor Olszański uczył konnej jazdy, utrzymywał ujeżdżalnię i z górą 50 bardzo dobrych koni wierzchowych dla wynajęcia bogatszym paniczom, którzy nieraz dawali reprezentacye bardzo ładnie ułożonych karuzelów; odbywały się one pod opieką pana szefa Drzewieckiego, byłego legionisty, miejscowego marszałka powiatowego, dbającego o dobrobyt i świetność miasta, które prawie na nowo z gruntów się wznosiło. On to gorliwie zbierał składki na bruk dla Krzemieńca, polecając wszystkim to dziecko w kolebce, potrzebujące opieki. Hr. Karol Mniszech z Wiszniowca, niecierpiący, nie wiadomo dla czego, Krzemieńca, lecz jak sam powiadał, za idee demokratyczne, które podług niego miały tam panować, choć to było jego tylko przywidzeniem, odpowiadał na to z właściwą sobie złośliwością: „Mości Dobrodzieju, nie wychowa się to dziecko, daremne zabiegi, bo ma błoto w głowie.“ Rzeczywiście że błoto w Krzemieńcu było nie do przebycia, gdyż miasto położone jest w dolinie, powozy grzęzły wśród ulic, tak, że jadąc na kassyno, damy z nich często na plecach wynoszono. A mimo to wszystko, jak się tam bawiono! Spojrzawszy na dzisiejszy Krzemieniec, wierzyć się temu nie chce.

Liceum posiadało bardzo liczną i bogatą bibliotekę, przeniesioną po skasowaniu szkół razem ze wszystkimi innymi zbiorami do Kijowa. Zawierała ona cenne i szacowne edyce, pochodzące z biblioteki królewskiej i ozdobione herbami i cyfrą Stanisława Augusta. Zostawała ona pod zarządkiem bibliotekarza Pawła Jarkowskiego, i przyłączony był do niej bardzo szacowny zbiór numizmatów, pochodzących częścią z kolekcji królewskiej, częścią z darów Czackiego i osób prywatnych. Numizmatykę porządkował Rudzki sekretarz komisyi edukacyjnej. Gabinet fizyczny był pod zarządkiem profesora Jenca, a laboratorium chemiczne i gabinet mineralogiczny pod zarządkiem profesora Zienowicza. Przy szkołach otwarty był konwikt na kompletne wychowanie 12-tu geometrów, pod dozorem profesora Hreczyny, i bursa funduszu D-ra Lernetę. Professor Besser chował przy ogrodzie botanicznym zbiór roślin i owadów gubernij południowo-zachodnich Cesarstwa, liczący przeszło 12,000 okazów, kolekcjonowany własną jego pracą i staraniem. Chłubił się nim i rad go pokazywał osobom postronnym. Zresztą, sam ogród wypielegnowany przez tak znakomitego botanika jak Besser, posiadał obszerne cieplarnie, trephauzy, a szczególnie śliczny zbiór palm, jakim każdy ogród stołeczny mógłby się poszczycić. Sam Czacki i następnicy po nim wycieczkowicze nie żalowali więc kosztów na doprowadzenie do świetności zakładu krzemienieckiego, hojnie zresztą uposażonego przez zapisy na majątkach obywatelskich naszych prowincyj. Dawne mury collegium jezuickiego nadarzały się znakomicie na pomieszczenie szkół, zbiorów, gabinetów i na mieszkanie dla wielu profesorów. W wspaniałym kościele pojezuickim, fundacyi ks. Janusza Wiśniowieckiego kasztelana krakowskiego, z r. 1731, solennie celebrował zwykle ks. prałat Osiński, a później, gdy ten wyjechał do Wilna, ks. kanonik Kulikowski. Msze studenckie bywały codziennie, a w niedziele i święta kapucyn ks. Prokop, sławny i porywający mówca, wygłaszał swe kazania, a raczej swe nauki

dla młodzieży. Akta uroczyste odbywały się zawsze solennie w dzień śś. Piotra i Pawła, t. j. 29-go czerwca. Studenci popisywali się z mowami i deklamacją, professorowie czytali swe uczone rozprawy. Sam Tadeusz Czacki, a później jego następcy, przewodnicząc tej uroczystości, rozdawali srebrne i złote medale, accessyta i listy pochwalne celującym studentom, którzy je odbierali wobec całego zebranego obywatelstwa, a szczególnie wobec rodziców, sióstr i młodszych braci, którzy tym sposobem z dzieciństwa do nauk się zachęcali. Niejedna poczciwa łza matczyna zrosiła tu czoło młodego uwieńczonego laureata, i zostawiła niezatarte ślady w dalszych kolejach jego życia; — niejedno westchnienie wzniosło się do nieba, prosząc Boga, aby syn lub wnuk wywołany był publicznie na akcie uroczystym, i niemało tu było głośnych objawów radości ze strony samej uczącej się młodzieży, gdy ich po uroczystem *Te Deum laudamus* do domów na wakacje rozpuszczano, przyczem młodzież zwykle śpiewała „*Te Deum laudamus, do domu hajdamus.*“ Całe społeczeństwo krzemienieckie żywo się zajmowało tem, co tak żywo obchodziło uczącą się młodzież. Pora egzaminów, odjazd i przyjazd z wakacyj, były to epoki dla wszystkich gorączkowe; kwestya, kto odbierze z 3-go kursu złoty medal, a kto srebrny, roznamiętniała całe towarzystwo, do którego wiele sióstr, kuzynek, a szczególnie matek należało. Brano te kwestye na seryo, bardzo poważnie, jakby dziś n. p. kwestye parlamentarne w jakim państwie konstytucyjnym; formowały się partye *pro* i *contra*; lecz przyznać trzeba, że uznanie zasługi, wydane przez zwierzchność szkolną, witane były zawsze na aktach uroczystych z radością i oklaskami: co było najlepszym dowodem jej sprawiedliwości. Wszyscy tu żyli życiem studenckiem i gorąco się przejmowali tem, co młodzież obchodziło; rzeczywiście, podług nas, było to jedną z najpiękniejszych cech wychowania krzemienieckiego, gdyż młodzieniec mając sposobność korzystać z doskonale wykładanych nauk, żył poniekąd życiem ro-

dzinnem i nie był narażony na to zepsucie, które go mogło spotkać wśród wiru wielkiego miasta. Dorosłe osoby, należące do towarzystwa, dzieliły także zabawy z młodzieżą, gdzie grano w piłkę, w metę, w palanta; wspólnie odbywano majówki do Podlisiec, spacery na górę królowej Bony, do sławnej Raczkowskiej na kawę, na górę Czerczę na pierogi i kurczęta do Mińczuczki, na królewski most, zbudowany dla króla Stanisława Augusta w 1787 r. gdy jechał z Wiszniowca do Kaniowa. Tam zwykle odbywały się pikniki wyprawiane dla dam przez młodzież dorosłą, która już od dawna szkoły ukończyła, i z różnych stron Polski tu się zjeżdżała; lecz we wszystkich tych zabawach brali udział studenci z wyższych kursów, asystując damom na koniach własnych, lub wynajętych w ujeżdżalni profesora Olszańskiego.

Wypada tu koniecznie nadmienić, że towarzystwo podówczas bawiące w Krzemieńcu było liczne i dobrane. Zjeżdżano się tu całemi domami na zimę i bawiono do wakacyj, a wracano zwykle późną jesienią. Kojarzyło się tu mnóstwo małżeństw z różnych stron naszego kraju; karnawały bywały nadzwyczaj świetne; bawiono się bardzo ohocho w domach prywatnych, w których zwykle zbierało się poufałe kółko, jak n. p. we wtorki u pani Cecylii z Platerów Ożarówskiej, w soboty u generałostwa Rzyszczewskich, we środy u pp. Adamostwa Orłowskich, we czwartki u księstwa Mikołajostwa Sapiehów, u pani starościny Gałomskiej, u pani Ludwikowej Giżyckiej z domu Sobańskiej, u księżny Józefowej Czetwertyńskiej z domu Chołoniewskiej i w wielu innych domach. Tańczono wiele, ale z daleko większą ochotą jak teraz; na takich prywatnych balikach grywał zwykle sławny skrzypek Kaczkowski ze Lwowa, rodzaj dzisiejszego znanego Lewandowskiego w Warszawie, z akompaniamentem altówki i bassu. W modzie były jeszcze tańce solowe, jak n. p. gawota; nieraz para dobrze dobrana występowała *Mazura solo*; dzisiejszy nawet kontredans, ledwie że cho-

dzony i to najczęściej bez taktu, musiał być wtedy tańczony z zachowaniem wszelkich kroków i *entrechats*; tańczono również angleza, dziś już nieznanego. Pomiedzy studentami, którzy lekcy tańca brali u słynnej pani Volanges, odznaczali się: Tytus Sarnecki, Antoni Pruszyński, Józef Ryszczewski i Ignacy Orłowski; pomiędzy zaś salonową młodzieżą, którzy przyjeżdżali na karnawały do Krzemieńca, dla zabawy lub dla wyszukania sobie stosownej partyi, gdyż Krzemieniec nazywano wówczas małym Paryżem, wymienić możemy: Konstantego Bernatowicza, Witosławskiego z Podola, Karola Chodkiewicza, Konstantego Ożarowskiego, Michała Wielhorskiego, księcia Władysława Sanguszko, Karola Kossowskiego, Józefa i Hermana Potockich, Tadeusza Walewskiego, księcia Karola Jabłonowskiego, Kazimierza Dunin-Karwickiego, Władysława Esterhazego, Jarosława Potockiego, Wacława Rzewuskiego (Emira), Daniela Mężęńskiego i wielu, wielu innych, których pamięcią zasięgnąć nie możemy. Rozgłos zabaw krzemienieckich ściągał nawet gości z dalekich okolic kraju; widywano na balach oficerów b. wojska polskiego, jak n. p. Przemysława Potockiego syna Antoniego, Mieczysława Chodkiewicza, pułkowników Kamińskiego, Błędowskiego i Marcina Tarnowskiego, nawet gości zakordonowych, to jest Galicyanów; z tych pamiętamy: Jana Stadnickiego, Henryka Fredro, Karola Krasickiego, Ignacego Komorowskiego i innych; pamiętamy również Bukowskiego, dawnego oficera austriackiego, mieszkającego tu z żoną z domu Chołoniewską, noszącego tytuł węgierski *Nagy Micheli* od dóbr, które on posiadał w jakimś komitacie. Nosił zwykle mundur huzarski suto wyszywany, jeździł konno bardzo dzielnie, i młodzi studenci tłumami za nim latali, gdy się na ulicach pokazał. Zresztą i sam Wołyń dostarczał nie mały zastęp młodzieży ochoczej do zabaw i tańców, a po większej części byłych wychowanców szkół tutejszych, którzy za każdą sposobnością radzi wracali do ukochanego Krzemieńca. Stary prefekt Jarkowski i ksiądz prałat Osiński traktowali ich

tak, jakby rzeczywiście chodzili jeszcze na kursa. Ksiądz prałat przypuszczał ich nawet do swych ulubionych gawędek ze studentami na galeryi, zapominając zupełnie, że już nimi nie są. Dowodzi to, podług nas, czem była społeczność tutejsza i duch, który ją ożywiał: szkoły i towarzystwo stanowiły tu jedną całość. Dziś z pewnością nigdzie tego nie spotkamy, chyba po małych miastach uniwersyteckich w Niemczech, w Jena, Marburgu, Giessen; lecz tam panuje duch burszowski, pijatyki i częste pojedynki, o których w Krzemieńcu, Bogu chwała, nigdy słyhać nie było. Z liczby dorosłej już młodzieży, która weszła w grono obywatelstwa, wyliczymy: Jana Tarnowskiego z Horochowa, Wiktora Czackiego syna Tadeusza, Jana Stępkowskiego z Łabunia, wnuka znanego regimentarza, i Celestyna Zakaszewskiego, nazwanego zwykle Orestem i Pyladem dla przyjaźni, która ich łączyła, Edwarda Potrykowskiego niedawno zmarłego w Warszawie, Adama Chołoniewskiego, Leona i Ksawerego Sapiehów.

Notującemu sobie takie wspomnienia o Krzemieńcu i znajdującemu dobrze nasze prowincye, mimowolnie cisną się pod pióro smutne i bardzo smutne myśli. Jak mało z osób tu przez nas wymienionych dziś jeszcze żyje; nie wiemy, czy i dwudziestu stanęłoby do apelu — tak strasznie śmierć nieublagana przerzedziła szeregi starych Krzemieńczanów, szczególnie w ostatnich latach kilku. Tak samo dzieje się i ze studentami, którzy w owej epoce do szkół jeszcze uczęszczali i w wiekopomnym zakładzie, stworzonym pracą niez mordowanego Tadeusza Czackiego, kształcili się na przyszłych obywateli kraju. Wymienimy dwóch Zamojskich, Zdzisława i Jana synów Ordynata, trzech Lubomirskich z Równego, Kazimierza i Władysława, i z Krakowca w Galicyi Adama, dwóch Przeddzieckich, Aleksandra męża wielce zasłużonego w ojczyściej literaturze i Mieczysława, Orłowskich Ignacego Aleksandra z Jarmoliniec, Michała i Antoniego z Czajczyniec, Świejkowskich Włodzimierza i Leona, Rzy-

szczewskich Leona i Józefa, Jełowickich Edwarda, Adolfa i Józefa, Nyków Karola i Polidora, Ledóchowskich Janusza i Romualda, Pruszyńskich Mieczysława i Bronisława, Sula-tyckiego Januarego, Komara Mieczysława, Rzewuskiego Ernesta, Piegłowskiego Joachima, i wielu, wielu innych, których tu zbytecznem byłoby wymieniać, a którzy nam na pamięć nie przychodzą w tej chwili. Jednak z całego szeregu młodych wówczas i do życia uśmiechniętych studentów szkoły krzemienieckiej, patrzących na przyszłość przez pryzmę młodości i szczęścia, ledwo pięciu czy sześciu zostaje pomiędzy nami, nie mówiąc już o osobach pierwiej wyliczonych. Jedni pomarli pomiędzy nami, inni zginęli na polu chwały, inni zaś poszli szukać śmierci na wygnaniu, a tych los był najprzykrzejszy, bo z niczem nie zrównaną tęsknotą zwrócili oczy do ukochanego Krzemieńca, który jako niższy zakład naukowy, jeżeli i niedostarczył takiego kontyngensu znakomitości, jak uniwersytet wileński, ale ożywiony był jednym duchem i dał niemało znakomitych obywateli dla kraju i zdolnych literatów, z których imiona Józefa Korzeniowskiego, Słowackiego, Sierocińskiego, Chlebowskiego, Stefana Witwickiego, Sienkiewicza, Olizarowskiego, Felińskiego, Zakrzewskiego przychodzą nam w tej chwili na pamięć. Drukowali swe młodociane utwory w *Rozmaitościach lwowskich*, w *Pamiętniku naukowym*, w *Wandzie*, w *Pamiętniku warszawskim*, w *Pszczółce polskiej* i w innych ówczesnych pismach literackich. Piśmiennictwo nasze nie było wtedy jeszcze tak bogate jak teraz. Ruch literacki zaczął się dopiero ożywiać. Romantyzm stawiał swe pierwsze kroki i musiał walczyć z wszechwładną szkołą klassyczną, reprezentowaną przez zasłużonych pisarzy z epoki Stanisławowskiej. Próby więc literackie młodych Krzemieńczanów są dla tego podwójnie cenne.

Widzimy więc ztąd, że młodzież uczyła się bardzo dobrze i była ożywiona najlepszym duchem; lecz rodziny, które stale mieszkaly w Krzemieńcu, lub osoby, które tu przyjeź-

działy zwabione rozgłosem tak świetnego towarzystwa, protegując nauki i literaturę, niemniej jednak bawiły się znakomicie, nietylko po domach prywatnych, zanadto szczupłych dla liczniejszych zebrań, lecz i na kassynach, protegowanych szczególnie przez szefa Drzewieckiego, ówczesnego marszałka powiatowego, a zatem z porządku rzeczy, miejscowego gospodarza; odbywały się one w dużym drewnianym budynku, którego dziś już i śladów nie pozostało, zupełnie nie wykwintnym, skromnie umeblowanym, w którym jednak przez całą zimę wybornie się bawiono do białego dnia, przy dźwięku wojskowej orkiestry. Powozy grzęzły na ulicach zupełnie nieoświetlonych. Damy wypadało nieraz na plecach z powozu wynosić, a jednak ochota bynajmniej nie ustawała, bo wszyscy się tu znali, wszyscy się tu czuli pomiędzy swojemi, i nie było tych koteryj, które teraz rozdzielają towarzystwo w najmniejszym miasteczku powiatowym.

Żeby mieć pojęcie, czem było ówczesne towarzystwo krzemienieckie, i dlaczego sam Krzemieniec prawie do roku 1830 nazywano małym Paryżem, posłuchajmy choć pobieżnie wyliczenia osób i rodzin, które tu stale prawie zimę przepędzali. Będzie to jakby rzut oka na społeczeństwo wołyńskie przed przeszło 60 laty. Kto z czytelników naszych zna tę prowincję naszą, tak świetnie wszędzie reprezentowaną i posiadającą pomiędzy osiadłem swem obywatelstwem tyle znakomitych historycznych rodów, ten z żalem się przekona, ile to od tego czasu domów poupadało, a niektóre z nich zupełnie prawie wygasły.

Widzimy więc w tym wesołym krzemienieckim kalejdoskopie, zmieniającym się prawie co zimy, niektóre domy stale tu przebywające, i które ledwie na wakacye razem ze studentami wyjeżdżały na wieś. Do tych zaliczyć możemy: panią Tadeuszową Czacką, z domu Dębińską starościnię nowogrodzką; z umysłu wymieniamy ją samą, bo mąż jej p. Tadeusz Czacki, będąc wizytatorem szkół trzech obszernych prowincyj, objeżdżał ciągle zakłady naukowe, gęsto po kraju

rozrzucone, i dla spraw komisji edukacyjnej częste musiał odbywać podróże do Wilna i do stolicy. Był więc jak gościem w Krzemieńcu; lecz zacna jego małżonka, pani starościna nowogrodzka, do samej śmierci stale tu mieszkała. Drugi dom Czackich, Feliksa, synowca Tadeusza, dziedzica Siedlec w powiecie włodzimierskim, a późniejszego prezesa komisji edukacyjnej. Trzy domy książąt Sapiehów, Franciszka, Pawła i Mikołaja, przy których bawili synowcowie Leon i Ksawery, ożeniony później z Sobańską, córką Hieronima. Jenerałowa Michałowa Wielhorska, jenerałowa Krzysztofowa Dunin-Karwicka, jedynaczka po ostatnim kanclerzu w. kor. Jacku Małachowskim, z córką śliczną i uroczą wówczas, panną Anną, zmarłą w czerwcu 1881 r., i ogólnie przez wszystkich szanowaną panią Tadeuszołą Walewską, i z synem Kazimierzem, który zaraz po ukończeniu szkół krzemienieckich obrany był przez obywateli deputatem komisji edukacyjnej. Jenerałstwo Rzyszczewscy z synami i córkami, gdyż sam pan jenerał, Gabryel Rzyszczewski, został marszałkiem krzemienieckim po szefie Drzewieckim. Dla towarzystwa swej siostry, pani jenerałowej, gościła tu także księżna Henrykowa Teresa Lubomirska, z drobnemi wówczas dziećmi i dorastającą córką księżniczką Izą, późniejszą księżną Władysławową Sanguszko, gdyż obiedwie siostry były córkami księcia Józefa Czartoryskiego stolnika W. K. L., dziedzica Księstwa Koreckiego. Mieszkali tu także stale: dwaj Malinowscy, Jakób ożeniony ze Świejkowską i Józef ożeniony z Poletyllówną, *primo voto* księżną Ponińską, która w szkołach tutejszych wychowywała swych synów młodych książąt Ponińskich, spłodzonych w pierwszym małżeństwie. Księżna Michałowa Radziwiłłowa ze Szpanowa z dziećmi; hrabina Chołoniewska z Chołoniowa z córkami i synem Adamem; Swiejkowscy Adamstwo z Kołodna, z córkami i synem Włodzimierzem, który tu szkoły kończył, a którego przedwczesną śmierć w r. 1871 wszyscy na Wołyniu głęboko odczuliśmy, gdyż był to jeden z naszych najdzielniej-

szych marszałków gubernialnych, a co więcej, człowiek nadzwyczaj poczciwy, prawy i wylany dla dobra publicznego. On to rzeczywiście pojmował z pięknej strony urząd, którym go, młodego jeszcze, obywatelstwo zaszczyliło; był bowiem prawdziwym opiekunem wdów i sierot całej prowincyi. Zasadami takimi przejął się w szkołach krzemienieckich. Z rozczeniem prawdziwym patrzyliśmy na cześć i uszanowanie, któremi otaczał sędziwego ojca swojego, pana Adama. Było to w ogóle jedną z pięknych zalet wychowawców krzemienieckich.

Nietylko Wołyniacy osiadali na zimę w Krzemieńcu, sąsiednie Podole i Ukraina miały tu również nie mało reprezentantów, z których wymienimy: pp. Adamostwa Orłowskich z Jarmoliniec, panią starościnię Gadomską z córkami, Mateuszową Zaleską i Sarnecką matką Tytusa; pp. Grabianków, p. Ludwikową Giżycką z domu Sobańską; pp. Rościszewskich z córką późniejszą panią Piotrową Mężęńską; Izidora i Gotharda Sobańskich; pp. Malczewskich z Tarnorudy, których syn Pius tu się wychowywał. Nie mówimy już o dwóch domach jakby zrosniętych z Krzemieńcem, t. j. p. szefa Drzewieckiego z synem Karolem, i p. jenerałowej Cecylii Ożarowskiej, urodzonej Platerówny, o której wyżej wspominaliśmy, a która, wierna tradycyi, do samej śmierci nie mieszkała w sąsiedniej dziedzicznej Horynce, lecz wolała pozostać w Krzemieńcu, gdzie się może zacna ta i bogobojna staruszka karmiła wspomnieniami tak szczęśliwie przebytego lat szeregu. Ona to do ostatnich czasów była żyjącą tradycją dawnego Krzemieńca; wszyscy tu ją odwiedzali, bo wysoce była szanowaną przez całą naszą prowincję. Umarła w Krzemieńcu, przeżywszy z górą lat 90; do śmierci pielęgnowana przez dwie swe córki Maryę i Celestynę. Trzecia Józefa, była poślubiona znanemu w piśmienictwie naszym hr. Gustawowi Olizarowi, także wychowawcowi szkół krzemienieckich, a który w 24 życia roku był obrany marszałkiem gubernialnym kijowskim.

Nie więc dziwnego, że w miasteczku, choć małym, a dziś niestety tak podupadłym, lecz posiadającym wówczas tak dobrane towarzystwo, zabawy, jak prywatne, tak publiczne, doskonale się udawały. Stary prefekt Jarkowski, jak mówiliśmy wyżej, nie wzbraniał starszym studentom brać udział w tych zabawach; przeciwnie zachęcał ich do tego, gdyż czuł, że przez to nabierają poloru światowego, i że rozrywka taka od czasu do czasu, bynajmniej nie przeszkadza pilnemu młodzieńcowi do nauk; ale sam zawsze z obowiązku bywał na kassynach, mając pilne oko nad powierzoną sobie młodzieżą. Bywały czasem i koncerty. Znani artyści spieszyli zbierać tu zasłużone laury, dość suto zresztą opłacane, bo osoby tu zamieszkałe były zamożne i żądne artystycznych rozrywek. Wiemy, iż gościł tu nasz słynny skrzypek Lipiński, p. Szymanowska dawała koncerty na fortepianie, a sławna Katalani w r. 1818 zachwycała Krzemieniec swym śpiewem i zostawiła tu niemały rozgłos. Jedna z ulic brudnej dziś mieściny nosi dotąd jej nazwisko, jakby wspomnienie dawnej, lecz niestety minionej świetności. W czasie postu towarzystwo zbierało się po domach prywatnych; grywano czasem teatru amatorskie, układano żywe historyczne obrazy; lecz w największej modzie były gry umysłowe, układanie różnych końcówek wierszowych, z których inna osoba zmuszona była ułożyć udatny czterowiersz. Nazywają to dotąd „*les bouts-rimés*,” lecz rzadko w jakim domu zabawiają tem swych gości. Dziś towarzystwo męzkie odrazu oddziela się od towarzystwa damskiego. Nieznośny nałóg palenia, gra w karty, a szczególnie lenistwo umysłowe i brak tego sprytu, którym, przyznać trzeba, dawne towarzystwo się odznaczało, stoją temu obecnie na przeszkodzie.

Życie studenckie było bardzo tanie. Na palcach wylizyćby można tych, którzy za synów po sto dukatów za stancję profesorom płacili. Na zwykłych stancyach brano od chłopca po 500 lub 600 złp. rocznie. Mundur był obowiązковым dla studentów: surduty i fraki granatowe z wy-

pustkami czerwonymi i niebieskimi lampasami; był to strój niekosztowny, lecz nieodróżniający bogatszego panicza od biedniejszego chłopca.

W Krzemieńcu wszyscy studenci byli nadzwyczaj solidarni pomiędzy sobą; duch koleżeński wysoko był rozwinięty, każdy miał sobie za moralny obowiązek przestrzedz po cichu kolegę, jeżeliby ten miał spełnić coś nagannego; bedele zaprowadzeni byli dopiero w ostatnich czasach istnienia szkół krzemienieckich, za czasów prefekta Bokszezanina. Dawniej nie uznawano ich potrzeby, gdyż pilne oko ukochanego prefekta Jarkowskiego i duch wiekopomnego założyciela szkół, Tadeusza Czackiego, czuwały nad Krzemieńcem i nad uczącą się młodzieżą.

Szkoły tutejsze były więc przez 25 lat z górą ogniskiem, około którego skupiało się całe życie intelektualne, nietylko Wołynia, ale i dwóch ościennych gubernij. Młodzi ludzie, którzy tu nauki pokończyli, chcąc się wszechstronnie wykształcić, lub obrać jaki specjalny zawód, bądź prawny, bądź medyczny, przechodzili zwykle do uniwersytetu wileńskiego; lecz synowie obywatelscy tutejszych trzech gubernij, i inni możniejsi z ościennych prowincyj, poprzestawali zwykle na ukończeniu liceum krzemienieckiego, w którym odbierali wykształcenie humanitarno-encyklopedyczne, zastosowane do pojęć i potrzeb pierwszej ćwierci bieżącego stulecia. Szkoły tutejsze były słusznie renomowane z powodu doskonale wykładanych nauk przez znakomitych professorów, których tu w części wymieniliśmy, a szczególnie z powodu poczciwej, moralnej, że tak powiem, rodzimej tendencji, odznaczającej tutejszych wychowawców. Jednym słowem, szkoły te były w modzie. Obywatele z za kordonu, z Księstwa Warszawskiego i późniejszego Królestwa Polskiego, oddawali tu swych synów. Jedna Litwa, mając bliżej do Wilna, słabo była reprezentowaną w Krzemieńcu, choć w gruncie jeden duch poczciwy i obywatelski ożywiały obydwie te pierwszorzędne zakłady naukowe; bo rzeczywiście

kierunek w nich był jednakowy, zaszczipiony przez dwóch serdecznych przyjaciół i kolegów na tem zaszczytnem polu pracy, t. j. przez księcia Adama Czartoryskiego i Tadeusza Czackiego, którym, jak mówiliśmy wyżej, jeszcze w r. 1803 powierzony był kierunek wychowania młodzieży polskiej w tych prowincjach.

Bynajmniej nie mamy tu na myśli umniejszać zasług wszechniecy wileńskiej; wydała ona tylu znakomych ludzi i rzuciła zbawienne światło zdrowej nauki na całe ówczesne pokolenie, a co bardziej jeszcze: rozbudziła zamiłowanie literatury ojczyściej w ówczesnem społeczeństwie; lecz śmiało mówimy, że liceum krzemienieckie było pod każdym względem jej młodszą siostrą, jeżeli nietyłe rozwiniętą, co starsza, ale równie pocziwą, równie zacną i tak samo pojmującą wysokie zadanie, przekazane jej przez wiekopomnego fundatora i organizatora swego Tadeusza Czackiego. Następcy jego Filip Plater, Jan Wyleżyński, a następnie Kazimierz Moniuszko, przeprowadzony z Wilna, spełniając bardzo ważny urząd wizytatorów szkół tutejszych trzech gubernij, kierowali się zawsze duchem przekazanym przez czcigodnego ich poprzednika; lecz trzeba oddać sprawiedliwość, że całe społeczeństwo godnie im do tego dopomagało. Nigdy nie było głuchem na żadne wezwanie i szciodrą ręką niosło ofiary dla podtrzymania świetności zakładu naukowego, w którym synowie i najbliżsi krewni tak pocziwie się wychowywali. Godnem jest także uwagi, że nie wychodzili ztąd niedowiarki, atensze, jakich dzisiejsze szkoły wydają pod nazwą pozytywistów, realistów, darwinistów, zresztą socyalistów i nihilistów. Nie było ani jednego wypadku samobójstwa lub otrucia się, tak często zdarzających się obecnie pomiędzy studentami, a nawet gimnazystami; nie by o nawet pojedynków, nie dla tego, że były srogo w Krzemieńcu wzbronione, bo gdzież zresztą są pozwolone lub nawet tolerowane, ale dla tego, że młodzież tutejsza nie odgrywała rolę ludzi dorosłych, obrażających się za najmniejsze

słowo, powiedziane przez zwierzchnika, a tem bardziej przez kolegę, — a szczególnie dla tego, że idee religijne głęboko były wkorzenione, że wszyscy głośno i wspólnie odbywali praktyki religijne, że codzien cała ucząca się młodzież na rannej mszy studenckiej wznosiła gorące modły do Boga, aby naukom pobłogosławił, — że lekcyja w każdej klassie i na każdym kursie zaczynała się od modlitwy głośno odmówionej przez celującego ucznia, noszącego tytuł audytora. Młodzież dobijała się o ten zaszczyt, i największą karą było odebranie przez prefekta tej prerogatywy, piastowanej zwykle przez cały rok szkolny. Kaznodzieja ksiądz Prokop w swych niedzielnych ślicznych i pociągających naukach, ksiądz prałat Osiński, a następnie ksiądz kanonik Kulikowski, kierowali moralnością młodzieży; każdy student obowiązkowo dwa razy do roku spowiadać się musiał, a spowiedź taka nie była bynajmniej czezą formalnością. Zresztą prowadzono tu życie rodzinne. Nietylko zwierzchność szkolna, lecz i osoby należące do towarzystwa znały każdego studenta; wszyscy więc w tej małej mieścinie byli pod kontrolą opinii publicznej, bynajmniej niepobłażliwej, pod względem prowadzenia się i moralności.

Ztąd wyradzał się stosunek dziwny, niepojęty już dziś, ale w rzeczy samej prawie rozczulający. Młodzież kochała szkoły krzemienieckie, kochała swą zwierzchność szkolną, i zacnych swych professorów. Pochodziło to ztąd, że i pierwsi wychowañcy krzemienieccy, którzy po ukończeniu kursów weszli w skład tutejszego obywatelstwa, otaczali swą ukochaną *Alma Mater* prawdziwą czezą i miłością. Z ich grona wybierano zwykle deputatów czyli członków komisyi edukacyjnej, a był to urząd zaszczytny, otoczony ogólnem poszanowaniem. Po ukończeniu więc szkół wielu z nich kolejno i z urzędu przebywać musiało w Krzemieńcu, którego stawali się prawdziwą ozdobą, łączącą serdecznym węzłem szkoły z towarzystwem.

Nie więc dziwnego, że wiadomość o skassowaniu szkół krzemienieckich i o przeniesieniu biblioteki, gabinetów i zbiorów naukowych do nowo zakładającego się wówczas uniwersytetu św. Włodzimierza w Kijowie, jak gromem poraziła tutejsze społeczeństwo. Od tego czasu i samo miasto, stanowiące ognisko zjazdów i zabaw obywatelstwa tych trzech prowincyj, zaczęło szybko klonić się do upadku, i doszło nareszcie do stanu, w którym je obecnie widzimy.

Parę razy jednak zabłysło tu jeszcze chwilowo wprawdzie, życie towarzyskie. Pierwszy raz w r. 1835, gdy generał Kreutz, dowódzca IV korpusu armii czynnej, miał naznaczoną w Krzemieńcu swą główną kwaterę. Generał Litders, późniejszy dowódzca 2-giej armii w czasie wojny krymskiej, a następnie przez krótki czas mianowany na posadę namiestnika w Warszawie, był szefem sztabu IV korpusu. Adju-tantem przy dowódcy korpusu był markiz Paulucci, którego wielu jeszcze wdzięcznie na Wołyniu wspomina. Oprócz tego, generała dowodzącego otaczało świetne grono oficerów bardzo dobrze wychowanych; łączyli się oni z miejscowem obywatelstwem, dzielali jego zabawy; bywały wówczas w Krzemieńcu świetne bale, na których ochoczo się bawiono.

Następnie gdy w r. 1847, wskutek rewii pod Łuckiem, Najjaśniejszy Cesarz Mikołaj I wydał rozporządzenie ściśle wykonane przez ówczesnego generał-gubernatora Bibikowa, aby młodzież obywatelska tutejszych prowincyj obowiązkowo wstępowała do wojska, na prawach junkrów z uwzględnieniem wszakże stopni naukowych z uniwersytetu, i gdy z powodu spodziewanej wojny węgierskiej rozkwaterowano na Wołyniu bliżej ku granicy austryackiej, 4-tą dywizyę lekkiej jazdy, mnóstwo młodzieży zaciągnęło się do szeregów pułków kawaleryi. Sztab dywizyi zostającej pod dowództwem generała adjutanta Zassa, stanął w Krzemieńcu, a przy nim pułk huzarów pawłogradzkich J. C. W. Następcy Tronu, komendantem którego był z początku generał Ejnanten, a później generał Michał Paszkowski. Inne pułki tej dywizyi rozkwa-

terowane były w pobliżu, a mianowicie: huzary iziumscy pod dowództwem generała Poradowskiego w Wiszniowcu, ulani olwiopolscy pod wodzą pułkownika Kazlaninowa w Radziwiłowie, a ulani wozniesieńscy pod wodzą generała Loewenhagena w Horochowie. Wtedy rzeczywiście zabłysła dla Krzemieńca przez lat parę do 1849 roku nowa świetna epoka; — zdawaćby się mogło, że wróciły dawne wesołe czasy, gdy tu jeszcze liceum egzystowało. Tylko zamiast studentów, widać było wszędzie w towarzystwie świetnych i młodych buzarów i ulanów, synów tutejszych obywateli, którzy ulegając duchowi czasu, wywołanemu przez nowe rozporządzenie, cisnęli się do szeregów, znajdując w nich najserdeczniejsze przyjęcie, najlepsze dla siebie towarzystwo, a szczególnie zasłużone uznanie dowódców, za wzorowe pełnienie służby wojskowej. Duch koleżeński wysoce był pomiędzy tą młodzieżą rozwinięty, uczucie honoru pojmowali oni doskonale, z przejęciem się, prawie z zamiłowaniem oddawali się ćwiczeniom wojskowym, ściśle spełniali przykre nieraz obowiązki regulaminu kawaleryi, i te kilka lat służby spędzone w dobranem gronie kolegów, były dla nich doskonałą szkołą. Z nich to miała 4-ta dywizya lekkiej jazdy najświetniejszych swych oficerów, ludzi gładkich, ślicznie wychowanych, przytem doskonałych jeźdźców, czem się zawsze rodacy nasi odznaczali; przyczyniała się też nie mało do tego dzielność ich koni wierzchowych. Każdy ojciec starał się o ślicznego wierzchowca dla swego syna; jako ludzie zamożni, mogli sobie dogodzić tej fantazyi, wiedząc przytem bardzo dobrze, że to jest najlepszą rekomendacyą dla kawalerzysty, szczególnie wóczas, za panowania Cesarza Mikołaja, gdy tyle dbano w kawaleryi o dzielność, piękność i dobór koni.

Mnóstwo domów obywatelskich mających synów w szeregach dywizyi tu konsystującej, zamieszkało znowu w Krzemieńcu. Bawiono się doskonale, urządzano bale, spacery, pikniki, fajerwerki. Wtedy to oficerowie wydali świetny

wieczór składkowy dla dam, u stóp góry zamkowej rzeźbie oświeconej, a na pamiątkę wzniesli na ruinach starej warowni krzyż kamienny, który służy dotąd na pamiątkę tej krótkiej i efemerycznej świetności miasta. Krzemieniec stał się znowu na czas krótki ogniskiem, do którego każdy podążał, chcąc się dobrze zabawić i przyjemnie czas spędzić w miłym towarzystwie. Jenerał Zass i inni jenerałowie i wyżsi oficerowie zostający pod jego dowództwem, dawali pierwsi przykład do tych zabaw i do tej łączności, która była szczera z ich strony, gdyż każdy z tych panów miał sobie za honor być przyjętym w domach naszych obywatelskich. Skojarzyło się nawet w tym czasie kilka małżeństw na Wołyniu; dały one powód do nowych zabaw i uczt weselnych na wsi, w których, rozumie się, oficerowie jako krewni lub kolidaci, udział brali. Zdarzyło się nam później, w lat dwadzieścia kilka rozmawiać z jenerałami i innymi wysokimi dygnitarzami, którzy wówczas byli młodymi oficerami w tej dywizyi; z zachwyceniem wspominają dotąd o tych czasach krzemienieckich i zapewniają, że nigdy już później nie zdarzyło się im tak dobrze, szczególnie tak ohocho się bawić. Taki to urok ma zawsze nasze polskie towarzystwo dla każdego, kto miał szczęście do niego być przyjętym.

Jakie losy spotkają jeszcze Krzemieniec — nie wiemy; — lecz zapewne nigdy nie odżyje już on tem życiem, które tu w dwóch epokach tego stulecia się skupiało.

ROZDZIAŁ V.

O Tadeuszu Czackim.

Mając sposobność w ostatnich czasach przebyć dni kilka z jednym z najstarszych wychowalców zakładu krzemienieckiego, który wstąpił tam do klas najniższych przy otwarciu szkół w r. 1805, i ukończył je dopiero w r. 1815, i którego rodzina zachowywała najbliższe stosunki przyjaźni z Tadeuszem Czackim, wstrzymać się nie możemy od chęci podzielenia się temi szczegółami, które nam się zebrać udało, aby zachować je dla wspomnień o przeszłości, gdyż ten okres czasu jest to chwila rozbudzonego w pełni życia umysłowego, stanowiąca, podług zdania naszego, jedną z najpiękniejszych epok Wołynia. Sprawiedliwie się nią poszczycić można, gdyż ówczesna ofiarność Wołyniaków na cele naukowe jest prawdziwie zdumiewającą. Badając tę epokę nie z dzieł wydanych o tym czasie, lecz z opowiadań starców, których zręcznie zachęcać trzeba, aby sobie przypomnieli, co mianowicie robili dla zakładu krzemienieckiego i wogóle dla szkół tutejszych prowincyj spółcześni obywatele, jakie to zapisy na dobrach i dary w gotówce sypały się przy każdej zdarzonej okoliczności, przy każdym dorocznym

zjeździe, jak n. p. na kontraktach dubieńskich i kijowskich, lub imieninach osób ogólnie szanowanych: — to rzeczywiście, że w porównaniu z dzisiejszą epoką, wierzyć się temu nie chce. Dziś gazety nie przestają ogłaszać sprawozdań ze składek zbieranych na stypendya, mające ogólną narodową doniosłość, kilka lat potrzeba dla zebrania niewielkiej względnie summy; — wtedy w krótkim czasie składano miliony, wyraźnie miliony, gdyż same zapisy hypoteczne na liceum krzemienieckie wynosiły dwa miliony sześćkroć kilkadziesiąt tysięcy złp., oprócz jednorazowych ofiar w gotówce i cennych darów w naukowych przedmiotach.

Widzimy więc z tego, jaki to przeważny i zbawienny wpływ na całą prowincyę wywrzeć może jeden mąż cnotliwy i prawy, całym sercem i duszą oddany pięknemu celowi wychowania publicznego, któremu wszystkie siły ducha poświęcił. Takim to mężem dla tego kraju był niezaprzeczenie wiekopomnej pamięci Tadeusz Czacki. Z coraz większą czcią należy nam przed nim uchylać czoło, skrzętnie zbierać najdrobniejsze szczegóły o jego niezmordowanej działalności, w której doznawał tyle zgryzot, tyle zawodów, a co najboleśniej, że od własnych rodaków. Nie ze wszystkimi szczegółami możemy się z czytelnikami podzielić, zbieraliśmy je z opowiadań starca bardzo wiekowego, będącego z nim dawniej w bliskich stosunkach, i który ówczesną ofiarności obywateli ziemskich uważał jako rzecz zupełnie naturalną: bo wówczas wszyscy bez wyjątku zagrzani byli tym szlachetnym duchem, który nieraz Tadeusz Czacki stosownem przemówieniem, płynącym prosto z serca, potrafił w prawdziwy zapal zamienić. Towarzystwo prześcigało się na droższe dary dla Krzemieńca i innych zakładów naukowych na Rusi; chwile takie zapewne były najpiękniejszą nagrodą dla zanego naszego wizytatora; — ale ileż to ciężkich chwil miał do przebycia? ileż trudności do zwalczenia, od których los i istnienie szkoły krzemienieckiej zależało, a szczególnie ile bolesnych zawodów doznał od swoich: — to rzeczywiście

nie do uwierzenia. Widać, że ludzie zawsze i wszędzie są ludźmi, że pod tym względem nie się nie odmieniło, i że zazdrość i prywata krzyżują zawsze najpiękniejsze zamiary, najszlachetniejsze dążności.

Powtarzamy raz jeszcze to, co mówiliśmy w poprzednim rozdziale, że bynajmniej nie zamierzamy kreślić życiorysu Tadeusza Czackiego, lecz potrafiliśmy powziąć o nim tyle drobnych szczegółów mało komu znanych, że nie od rzeczy będzie je tu zamieścić. Czacki mawiał zawsze, że pierwszym i jedynym jego nauczycielem, jak w Paryżu, tak i w Gdańsku, gdzie czas jakiś, ale bardzo krótko, do szkół uczęszczał, był ksiądz Faustyn Grodzicki jezuita. Grodzickiemu winien był wszystko, co umiał, bo on pierwszy potrafił rozbudzić w nim, od lat najmłodszych, zapal do nauk i zamiłowanie do książek, a zbieranie ich było zawsze najmilszym zajęciem p. Tadeusza; z wiekiem wyrodził się w nim nawet rodzaj passyi bibliograficznej, i niemożna mu było zrobić większej przyjemności, jak ofiarując egzemplarz jakiej zatraconej edycji. W młodym wieku był już wszechstronnie wykształconym, wszystkie gałęzie wiedzy ludzkiej żywo go zajmowały, choć z największem zamiłowaniem oddawał się prawu, historii i nauką ekonomiczną. W bardzo młodym wieku zwrócił już na siebie uwagę króla Stanisława Augusta; nie dla zasług ojca, lecz dla osobistych jego zalet, a raczej dla nieprzewyciężonej chęci do pracy, mianował go też król w roku 1784, a zatem ledwie 19 lat liczącego młodzieńca, do zasiadania w sądach nadwornych, w roku 1785 członkiem komissyi kruszcowej, a w roku 1786 członkiem komissyi skarbu koronnego. Chociaż stosunki jego z Albertrandym i Naruszewiczem, i ciągle prace jego w bibliotece Załuskich, rozwijały w nim zamiłowanie do bibliografii, chociaż pracował nad układaniem metryk koronnych, jednak jako członek komissyi skarbu, wziął się z młodzieńczym zapałem do rozwiązania najzawilszych kwestyj ekonomicznych i politycznych kraju naszego, który, jak wiadomo,

nie odznaczał się niestety wzorowem urządzeniem. Prace jego dokonane w krótkim czasie, są rzeczywiście zdumiewające; i kto wie, czybyśmy nie mieli w Tadeuszu Czackim znakomitego ministra finansów i handlu. Bóg chciał inaczej. W lat kilkanaście wszystkie karyery publiczne zostały zamknięte; zresztą i kraj trapiiony nieustannemi klęskami nie mógł się oddać spokojnie szerokim reformom administracyjnym na polu przemysłu i handlu, które Czacki dla niego projektował. Nie znosząc bezczynności, przerzucił się na inne pole działalności, oddał się całkiem wychowaniu publicznemu, i zaprawdę położył tu, jak każdemu wiadomo, nieocenione zasługi.

W tym więc okresie młodzieńczej swej działalności potrafił sobie zdobyć Czacki wydatne bardzo miejsce. Był prawą ręką podskarbiego koronnego Kossowskiego i najczynniejszym członkiem komisyi skarbu. Król oceniając jego prawdziwe zasługi, mianował go starostą nowogrodzkim i ozdobił orderem Św. Stanisława i Orła białego.

Czacki wyrobił wówczas u sejmu potrzebne fundusze, dla wysłania kilkunastu młodych ludzi pod przewodnictwem Mioszewskego do Węgier na naukę górnictwa, bo wiedział, że posiadamy niezwyčajne bogactwa mineralne, leżące odłogiem dla braku fachowych i wykształconych górników. Chcąc zaś osobiście zbadać zasoby całego kraju pod względem rolniczym, handlowym, przemysłowym i górnictwem, przedsięwziął własnym kosztem podróż naukową, która mu kilka lat zajęła. Zaczął od Litwy, Wołynia i Podola, dotarł aż do Multan, gdzie odwiedził hospodara Ipsylantego, chcąc z nim w imieniu rzeczypospolitej uregulować handel solą i wódką, bardzo ożywiony wówczas pomiędzy Polską i Multanami. Zbadał naukowo przebieg Dniestru, robił projekta nad uregulowaniem jego koryta, i ożywieniem żeglugi po tej rzece, szczególną zwrócił uwagę na stan portów i kwarantan, na splawność rzek naszych i na wpływ ich na handel krajowy. Owocem tej podróży była mappa hydrograficzna

i orograficzna Polski i Litwy, którą własnym kosztem i pod swym kierunkiem wykonać kazał, i złożył w komissyi skarbu, zwracając uwagę na system wodny tak bogaty w naszym kraju, i kierujący się ku dwom morzom, Czarnemu i Bałtyckiemu, oraz na góry i kierunek dróg handlowych, któreby uwzględnić należało. Znajdujemy ślady, że wysoka płaszczyna położona pomiędzy Brodami, Złoczowem i Zbarażem, której punktem najwyższym jest góra Zamkowa w Starym-Oleksińcu, obecnej posiadłości hr. Aleksandra Ryszczewskiego, z kąd się rozchodzą rzeki Bug, Ikwa i Horyń, mające w tej okolicy swe źródła i należące do systemu morza Bałtyckiego, i Seret dążący ku morzu Czarnemu, zwróciła baczna uwagę Tadeusza Czackiego pod względem hydrograficznym i rozdziału wód naszych na północ i południe. Rzeczywiście, że okolica ta i dziś czarująca ze ślicznych widoków, pięknych lasów grabowych i urodzajności swej gleby, mogła zachwycać każdego poważnego podróżnika.

Uroczu jest położony Poczajów, gdzie już w XIII w. zakonnicy reguły Św. Bazylego mieli swą kaplicę, i gdzie w r. 1597 Anna z Kozińskich Gojska złożyła obraz Bogarodzicy, słynny cudami, który otrzymała od metropolity z Carogrodu, zrobiwszy przytem zapis, którym nadała klasztorowi pola i licznych poddanych. W roku 1602 zeznała w ziemstwie krzemienieckim zapis Poczajowa, Orli i Kozina na rzecz swych siostrzeńców Jana i Jędrzeja Firlejów, z czego później wynikły długoletnie spory pomiędzy klasztorem i tą przemożną rodziną. W dzisiejszej Urli (dawniej Orli), położonej pomiędzy Poczajowem a Bereźcami, dzisiejszej posiadłości hr. Jana Amora Tarnowskiego, widać jeszcze nad stawem resztki starożytnej baszty, pochodzącej z dawnego zamku Firlejowskiego. W r. 1771 położono w Poczajowie kamień węgielny na wspaniałą z kamienia ciecowego świątynię, do dnia dzisiejszego egzystującą, gdzie w głównym oltarzu mieści się cudowna stópka Matki Boskiej, z kąd pielgrzymi czerpią wodę uzdrawiającą i roznoszą ją w butele-

czkach po najdalszych okolicach kraju. I teraz jeszcze widzimy w główne święta Matki Boskiej niezliczone tłumy ściągające do Poczajowa. Zawsze się tu spotkać można z tak nazwanymi bohomolcami z głębi Rosyi, z oddalonej północy a nawet i z Syberyi. Wspaniały kościół i klasztor wybudowany został przez Mikołaja Potockiego starostę kaniowskiego, który tu jako pokutnik zmarł w 76 roku życia nader burzliwego, i z wielką okazałością pochowany został 13 kwietnia roku 1782. Dobra te od Firlejów przechodziły następnie do Wiśniowieckich i Radziwiłłów, jako posagowe księżniczki Urszuli Wiśniowieckiej zaślubionej Michałowi Radziwiłłowi h. p. l. W r. 1774 widzimy je w posiadaniu Jana hr. Amora Tarnowskiego kasztelana konarsko-łęczyckiego, i w rodzinie tej pozostały do ostatnich czasów; dziś zaś należą do skarbu państwa. W Poczajowie mieli OO. Bazylianie własną księgiarnię i drukarnię, i tu rezydował prowincyał czyli protoarchimandryta prowincyi polskiej pod opieką Najświętszej Bogarodzicy, tak jak prowincya litewska była pod opieką Trójcy Przenajświętszej.

Z galeryi otaczającej kościół poczajowski, widać gołem okiem Podkamień położony dziś w zakordonowej Galicyi u samych źródeł Ikwy, w zachwycającej okolicy na wysokiej skale, nazwanej górą Św. Różańca, wśród gęstwiny leśnej. I tu, równie jak w Poczajowie, jest łaskami słynący i licznie nawiedzany wizerunek Bogarodzicy, ukoronowany 15 sierpnia r. 1727 staraniem miejscowego dziedzica Cetnera starosty korytnickiego i Michała Potockiego wojewody wołyńskiego, przez Stefana Rupniewskiego biskupa łuckiego. Kościół zostaje dotąd pod opieką OO. Dominikanów. Wy-murowanie jego przypisują Piotrowi Cebrowskiemu, który w r. 1464 osadził tu zakonników reguły Św. Dominika, mieszczących się dotąd w drewnianym klasztorze i kaplicy. Tatarzy zniszczyli go zupełnie w r. 1240, a w listach kardynalskich udzielających odpusty Podkamieniowi, zwą go po łacinie *Sublapidensis*. Są ślady, że za czasów Zygmunta I,

Podkamień należał do dóbr stołowych królewskich, później przeszedł w dom hr. Cetnerów.

Wiszniowiec położony nad Horyniem i mający tyle pamiątek historycznych i bibliograficznych, nie uszedł baczności Tadeusza Czackiego. Widzimy go tu w czasie tej naukowej podróży goszczącego u Michała Mniszcha marszałka w. k., ówczesnego dziedzica dawnej tej wołyńskiej posiadłości Dymitra Korybuta księcia siewierskiego, który wyzuty ze swej dzielnicy przez Witolda, miał w r. 1395 założyć zamek tu-tejszy. Ród ten nieraz zajaśniał w dziejach krajowych najczystszej blaskiem, i dobrze się zasłużył ojczyźnie; o nim tak pięknie powiedział ś. p. hr. Aleksander Przezdziecki: „Imię to przypomina ród sławny w kraju naszym, plemię Olgierdowe, którego purpura książęca zacerwieniła się nieraz krwią szlachezną na polu bitwy, a gronostaje na tronie spoczęły.“ Sławny nasz wódz Jeremiasz Wiśniowiecki wojewoda ruski, w r. 1640 zamek zupełnie przebudował i należycie obwarował. Po opanowaniu Podola przez Turków, zdobyty został zdradą żydowską przez niewiernych w roku 1672, a dowódzca załogi Borkowski i wielu z okolicznej szlachty w pień wycięci. W skutku czego Jan III, pragnąc Wiszniowiec, należący wówczas do ks. Dymitra Jerzego Wiśniowieckiego wojewody bełskiego, h. w. k., podźwignąć, i aby miasto *post clades* mogło *respirare, ab omnibus oneribus reipublicae* do lat 12 zwalnia. Ostatni potomek tego wielkiego rodu Michał Serwacy wojewoda wileński, h. w. l. zmarł w Merezcu na Litwie w r. 1744, i pogrzebiony u Karmelitów w Wiszniowcu. W zamkowej zaś cerkwi obrządku wschodniego spoczywają zwłoki Michała Wiśniowieckiego starosty owruckiego i żony jego Reginy Mohylanki, córki hospodara wołoskiego. Po wygaśnięciu linii męskiej, wszystkie ogromne dobra odziedziczyły córki Michała Serwacego, Anna Ogińska wojewodzina trocka i Elżbieta Zamojska wojewodzina wileńska; córka zaś ostatniej wydana za Michała Mniszcha marszałka w. k., wniosła w posagu dobra wiszniowieckie,

rozdzielone później w połowie bieżącego stulecia pomiędzy dwóch synów hr. Karola Mniszcha, to jest Jerzego ożenionego z Hańską urodzoną z Rzewuskiej, i Andrzeja ożenionego z Potocką córką Leona. Sprzedane przez niego księżnie Abameluk, przeszły drogą kupna w posiadanie Włodzimierza hr. de Broel-Platera, w ręku którego miasto Wiszniewiec z przyległemi folwarkami po dziś pozostaje. Drugą zaś połowę czyli schedę hrabiego Jerzego Mniszcha, a mianowicie klucz Wierzbowiecki nabył niedawno hrabia Adam Rzewuski, brat znanego w piśmiennictwie naszym autora Soplicy i Listopada, hr. Henryka Rzewuskiego.

Dzisiejszy pałac, zbudowany na miejscu dawnego zamku na wyniosłej skale w podkowę, z ciosowego kamienia, z przeszlicznym tarasem, z kądem roztacza się czarujący widok na całą okolicę — lesiste wzgórza, rzekę Horyń, stawy przez nią sformowane, miasto leżące u stóp jego, obecnie zrujnowany wspaniały klasztor i kościół OO. Karmelitów bosych i trzy cerkwie wschodniego obrządku, wzniesiony został w r. 1720. Tu król Stanisław August gościł w marcu i maju r. 1787, jadąc do Kaniowa i wracając ztamtąd, zawsze gościnie, z przepychem podejmowany przez zacnych gospodarzy. Ks. biskup Naruszewicz historyograf królewski opisał wszystkie szczegóły tych recepcyj w swym dyaryuszu podróży, ciekawych więc odsyłamy do tego źródła; lecz mówiąc o Wiszniewcu, pominąć nie możemy wspomnienia o polach łopuszańskich, gęsto zasianych mogiłami pod wsią Łopuszną o półtorej mili od Wiszniewca w stronie południowej blisko miasteczka Wyżgródka położoną. Wszak i Strykowski opiewał te błonia, które po dwakroć krwią naszych przodków gęsto zroszone zostały. Tu w jesieni r. 1494 garstka Polaków srodze porażoną została przez Tatarów; lecz jakby w odwet za poniesioną klęskę, w 18 lat później, a mianowicie 28 kwietnia r. 1512 w tem samym miejscu rycerstwo nasze uwiadomione przez Lanckorońskiego starostę krzemienieckiego o zjawieniu się Tatarów carzyka perekopskiego,

odniosło nad nimi świetne zwycięstwo pod wodzą Konstantego z Ostroga hetmana litewskiego, walczącego na czele własnych nadwornych hufców, i Mikołaja Kamienieckiego hetmana i wojewody krakowskiego, przewodzącego wojsku polskiemu. Dziś zapewne nikt zaręczyć nie może, czy liczne mogiły na polach łopuszańskich pochodzą z bitwy tak świetnie wygranej, gdzie przodkowie nasi potrafili oswobodzić tylu braci z więzów pogańskich, gdyż jak twierdzi Bielski, odbito w tej potrzebie 16,000 więźniów, — czy też z porażki, którą ponieśliśmy w r. 1494; najwymowniej one jednak świadczą, że naród nasz był przedmurzem chrześcijaństwa, że bronił Europę od nawału Tatarów, i że miał przez Opatrzność jasno wytkniętą dla siebie misję rycersko-chrześcijańską, z której w owej epoce właśnie wywiązywał się z niezaprzeczoną chwałą. Obydwie te potrzeby musiały być bardzo krwawe, pola okoliczne napłyły się dosyta krwi pogańskiej i naszej; — do dziś jeszcze włościanie pracując w polu, wyorują kołczany, strzały, sajdaki, misiurki i inne ryszunki bojowe, nierozumiejąc bynajmniej, z jakich czasów one pochodzą, ale czując, że na nie należy się patrzeć ze czcią i rozrzewnieniem, jako na zabytki dawno minionej świetności.

Rzucając okiem badacza przeszłości na strony tutejsze, trudno przemilczeć o Zbarażu, położonym obecnie tuż za kordonem w Galicyi, lecz będącym rodowem gniazdem dobrze zasłużonego w kraju, domu książąt Zbaraskich. Założenie zamku przypisują Dymitrowi Korybutowi w r. 1393, a ród cały pochodzi od jednego z synów ks. Wasyla Korybuta, który ks. Semenowi w roku 1481 nadał Zbaraż, spustoszony w początku XV wieku przez Tatarów. Ostatni Zbaraski Jerzy kasztelan krakowski zmarł w Krakowie w r. 1631, a rozległe jego dobra przeszły w dom spokrewnionych z nim książąt Wiśniowieckich. Ze zgrozą czyta się relacyę o oblężeniu, które rycerstwo nasze pod wodzą Jędrzeja Firleja kasztelana bełskiego, Stanisława Lanckoroń-

skiego kasztelana kamienieckiego i Mikołaja Ostroroga podczaszego koronnego, do których się przyłączyli książę Jeremi Wiśniowiecki wojewoda ruski i Aleksander Koniecpolski chorąży koronny ze swymi hufcami nadwornymi, wytrzymało w liczbie niewiecej jak 10,000 w okopanym obozie pod Zbarażem przeciw 200 tysięcznemu nawałowi Kozaków Chmielnickiego i sprzymierzonych z nim Tatarów. Najstraszliwsze szturmowanie tej hordy odbijane były z niezwykłą walecznością, od 10 lipca po 20 sierpnia r. 1649 przez tę garstkę bohaterów, mężnie wyczekujących sukursu od stanów rzeczypospolitej i od króla Jana Kazimierza. Na myśl im nie przyszło się poddać, choć położenie było ze wszech miar rozpaczliwe: jako prawdziwi rycerze chrześcijańscy z wiarą w Boga i Opatrzność śmiało bronili powierzonego im posterunku, piersiami własnymi zasłaniając kraj, a tem samem i Europę od nawału tej dziezy. Nareszcie król po dwudniowej bitwie potrafił skłonić hana Isłama Gireja, że odstąpił Kozaków i zdjął ze swymi Tatarami oblężenie obozu zbaraskiego. I tu więc równie jak pod Łopuszną, ziemia obficie zroszona najszlachetniejszą krwią przodków naszych. Po wygaśnięciu książąt Wiśniowieckich Zbaraż dostał się z tytułem księstwa w dom Potockich, o co jednak przez długie lata trwały nieskończone spory prawne. Z trzech klasztorów, Bazylianów, Trynitarzy i Bernardynów, pozostał tylko ostatni fundowany w r. 1627.

Mała miejscina Wyżgródek położona dziś nad samą granicą austriacką, była w posiadaniu ks. Zbaraskich, a mianowicie Fedora, który ją objął z działu familijnego w r. 1481. Następnie posiadali go książęta Porycecy, po kądzieli przeszedł po ostatniej księżniczce Poryckiej w dom Koniecpolskich, następnie do Wielopolskich, Zaborowskich, a w posagu dostał się w r. 1694 po Katarzynie Zaborowskiej kasztelance wołyńskiej, Wojciechowi Czackiemu chorążemu wołyńskiemu. Z prawa kupna przeszły te dobra w dom Potockich, a w r. 1758 Franciszek Salezy Potocki

wówczas wojewoda kijowski sprzedał dobra Wyżrodeckie Wojciechowi Rzyszczewskiemu łowczemu wołyńskiemu. Widzimy więc ztąd, że nasz p. Tadeusz Czacki starosta nowogrodzki, a ówczesny członek komissyi skarbu, miał sposobność w swej naukowej podróży oglądać niejednen skarb z naszej przeszłości historycznej, spotykał się nawet z pamiątkami po własnej rodzinie, jak to widzimy w Wyżgródku. W Wiszniowieckim zamku z zajęciem przepatrywał szacowny księgozbiór złożony z rzadkich dzieł, pierwszych druków i ważnych rękopismów; lecz zajęcia te bynajmniej nie odrywały go od celu, dla którego z komissyi skarbu był wydelegowany. My zaś mimowolnie odstąpiliśmy od naszego przedmiotu, lecz wspomnienie o podróży naukowej Czackiego na chwilę odłoniło nam przeszłość, — bezwiednie przenieśliśmy się myślą do jego prac naukowych, do wrażeń, których doznawać musiał zwiedzając te miejsca tak nam dobrze znane, a mające tyle historycznych wspomnień, do tego Wołynia, tak przez nas ukochanego, którego przeszłość ulotnie odtwarzamy, a którego niejedną piękną i rycerską kartę chcielibyśmy otworzyć przed czytelnikami. Najmocniej ich za to przepraszamy i z całym zajęciem wracamy do przerwane go toku opowiadania.

Powróciwszy z tej podróży, napisał Czacki śliczne sprawozdanie, z obszernym planem rozwinięcia handlu krajowego z Turcyą przez morze Czarne i innemi ościennemi państwami. Wykazał przytem bogactwo objechanych niedawno prowincyj, ich zasoby naturalne, gatunek ich gleby, lasów a nawet skarbów mineralnych. Wycieczka ta zajęła mu dwa lata, lecz choć w wieku młodym, w którym inni tylko o zabawie myślą, widzimy, że bynajmniej czasu nie tracił.

W tym samym celu zwiedził w następnych latach Wielką i Małą-Polskę, Kujawy, Mazowsze, Poznań, Gdańsk, Gniezno, Toruń, Malborg, Frauenburg i t. d. Lecz badając te miejsca w charakterze członka komissyi skarbu, nie mógł

się pozbyć wrodzonej żyłki bibliograficznej. Przejrzał tajne archiwum w Królewcu, nie był w stanie oderwać się od bibliotek na Łysej-Górze i Tyńcu, spędzał tam noce nad starymi i rzadkimi dokumentami, nagromadzonemi jeszcze przez Benedyktynów, a wkońcu był tak szczęśliwym, że odszukał grób Kopernika, stwierdzając niezbitemi dowodami jego pochodzenie polskie. Sprawozdanie o tej wycieczce naukowej ledwie że było podane do komisji skarbu, ledwie że potrafił trochę uporządkować skarby naukowe, które zdobył w tej podróży, aliści już powierzono mu nową missyę,— to jest przejrzanie i uporządkowanie skarbcza królewskiego na Wawelu. Miał sobie dodanych dwóch delegatów, Jana Horaina i Tomasza Wawrzeckiego, z którymi blisko półtora roku pracował ze zwykłą sobie gorliwością. W czasie po bytu swego w Krakowie poznał bliżej przyszłą swą żonę, Barbarę Dembińską córkę starościny wolbromskiej. Ks. Krasński biskup kamieniecki, przyjaciel i koligat obydwóch domów, gorąco patronował staraniu się młodego i uczonego starosty, i sam pobłogosławił jego związkowi małżeńskiemu. Pierwsze chwile szczęścia spędził Czacki w Galicyi w domu pani starościny wolbromskiej. Coraz bardziej zasępiający się horyzont polityczny nie dozwolił mu już wrócić do Warszawy, nie brał też czynnego udziału w ostatnich wypadkach krajowych, lecz na równi z innymi przebył chwile bardzo ciężkie, tembardziej że wszystkie jego dobra na Wołyniu i Ukrainie zostały mu skonfiskowane. Wkrótce zwrócono mu Poryck, a oddano klucz Brusilowski w posiadanie generała Tiutiulmina. Wykolejony niejako z życia publicznego, któremu się od lat najmłodszych oddawał, osiadł Czacki spokojnie na wsi i z podwojoną energią oddał się pracy, do czego szacowny i bogaty księgozbiór porycki, liczący 12,000 tomów ksiąg polskich, 4000 rękopismów i 60,000 sztuk różnych autentyków, nagromadzony jeszcze przez jego ojca i znakomicie przez niego samego dopełniony, był mu niemałą pomocą. Księgozbiór ten został wcielony

później do zbiorów puławskich. W usilnej i niezmordowanej pracy znalazł uspokojenie po tylu przebytych nieszczęściach: nie tak bowiem nie goi duszy, nie tak nie odrywa od smutnych wspomnień, jak wdzięczne studia literackie; szczęśliwy zaś ten, który z pogodnym umysłem może się im w każdym czasie oddawać.

Do tego okresu jego życia należą najcenniejsze jego dzieła, jakoto rozprawy: o Żydach, Karaimach, Cyganach, o dziesięcinach, o prawie obywateli wolnego szynkowania, i inne wydane wprawdzie później między r. 1802 i r. 1805, lecz napisane w Porycku, zresztą pomnikowe jego dzieło, świadczące o głębokiej i nadzwyczajnej jego erudycji: *O litewskich i polskich prawach, o ich duchu, źródłach, związku i o rzeczach zawartych w pierwszym statucie dla Litwy r. 1529 wydanym* (Tomów 2, Warsz. 1800—1801). W zaciszu domowym otoczony spokojem i ukochaną rodziną, oddawał się z zamiłowaniem studjom, które go kompletnie absorbowały. W Moskwie w czasie koronacji Cesarza Pawła, Stanisław August, który mu zawsze był bardzo przychylny, przedstawił go Monarsze i obdarzył bogatym zbiorem rękopismów dotyczących historii polskiej. Dar taki był niezmiernie cenny dla Czackiego, marzył bowiem wówczas o opracowaniu historii narodowej podług źródeł nowych, skrzętnie przez niego zbieranych. Nie ziściło się to, jak i wiele innych najszlachetniejszych jego marzeń, gdyż od czasu podróży do Moskwy rozpoczyna się nowy okres publicznego życia starosty, w którym studia literackie ukochane przez niego, grają już podrzędną rolę; oddaje się im tylko w chwilach wolnych, całe zaś życie poświęca posłudze obywatelskiej i przeważnie wychowaniu publicznemu młodzieży tutejszych prowincyj. Oddano mu klucz Brusilowski, i kilka innych majątków na Ukrainie osobom, za któremi Czacki osobiście przemawiał.

Przeznaczeniem jego było nigdy nie zaznać spokoju; marzenia jego o możności oddania się cichej pracy literackiej w Porycku, spełzły na niczem, gdyż ledwie wrócił

z Moskwy, wybrany został przez obywatelstwo tutejszych prowincyj, aby wraz z Bystrym zasiadali jako delegaci w komissyi naznaczonej od trzech dworów do obrachowania i rozstrzygnięcia sporów między wierzycielami upadłych banków warszawskich. Kto lepiej od Czackiego gruntownie obznajmionego ze skarbowością i przemysłem dawnej Polski, mógł odpowiedzieć temu trudnemu zadaniu? nie wahał się więc ani chwili; z żalem opuścił na nowo swój ukochany Poryck, rodzinę, tudzież bogactwa bibliograficzne tu nagromadzone, i niedokończywszy nawet swego wielkiego dzieła „*O litewskich i polskich prawach*“, pospieszył do Warszawy, gdzie rok cały przebył na usłudze publicznej i wiele się przyczynił do założenia Towarzystwa przyjaciół nauk.

Wtedy właśnie tworzone w Rossyi ministeryum oświecenia publicznego. Powierzono trudne to zadanie uczonemu hr. Zawadowskiemu. Pierwszą jego czynnością było podzielenie całego Imperyum na tyle okręgów naukowych, ile kraj wówczas posiadał uniwersytetów. Kurator miał zawiadywać całym okręgiem, a do pomocy dodani mu byli wizytatorowie z prawem kontroli i nadzoru nad wszystkimi szkołami, rozproszonemi po kraju.

Właściwa Ruś przyłączona została do okręgu naukowego wileńskiego, kuratorem którego zamianowany był książę Adam Czartoryski. Głos ogółu powoływał na posadę wizytatora naszego p. Tadeusza, gdyż wszystkie urzędy obywatelskie były wówczas obieralne. Cesarz Aleksander znał go jeszcze z koronacyi Cesarza Pawła w Moskwie, w długiej rozmowie potrafił go należycie ocenić, uczone missye jego za czasów rzeczypospolitej, i ostatnie tak świetnie dokonane w Warszawie, za które był zaszczycony tytułem rady tajnego. Wszechstronne Czackiego wiadomości, zamiłowanie jego do prac literackich, a przeważnie stanowisko, które zajmował wśród obywateli, uwydatniały go dostatecznie, tak, że gdy na proźbę księcia Adama ofiarowano mu w r. 1803 wizytatorstwo zakładów naukowych na Wołyniu, Podolu

i Ukrainie, nie wahał się ani chwili, przyjął skwapliwie powierzoną sobie misję; opracował zaraz gruntowny plan zupełnego przekształcenia u nas wychowania publicznego, czując instynktem rozumnego człowieka, a szczególnie sercem gorąco kochającym swych rodaków, że na tem polu potrafi im oddać największe usługi.

Spojrzyjmy jednak na to, czem było wychowanie publiczne u nas przedtem, i jakie przeciwności miał Czacki do zwalczania. Rozpatrzywszy się szczerzej po kraju, okazało się właściwie, iż nowy wizytator nie ma co wizytować, a wszystko rzeczywiście wypadało na nowo stwarzać. Szkół tak jakby nie było, a te, które kraj posiadał, były w jak najopłakawszym stanie. Po kasacie zakonu Jezuitów i ich konwiktów, berło oświaty narodowej na Rusi dzierżyli z ramienia komissyi edukacyjnej ustanowionej w r. 1773, przeważnie OO. Bazylianie. Lecz młodzieniec po ukończeniu ich szkół ledwie był zdolnym wstąpić do palestry, lub prowadzić rejestra gospodarcze, to jest ledwie umiał trochę łaciny, czytać, pisać i siako tako rachować. Kilka szkół świeckich wydziałowych rozrzuconych po całym obszarze kraju, prowadzone były w tym samym kierunku. Moźniejsi więc wychowywali swe dzieci w domu przez guwernerów Francuzów, których nam emigracya francuska niemało dostarczała. W modzie było wtedy mieć na wsi przy synach arystokratycznego *l'abbé*, który dzieci Bóg wie czego uczył, lecz zachwycał rodziców prawdziwą pronuncyacją francuską. W wyższych klassach społeczeństwa wkradła się pomiędzy dziećmi dziwna miękkość obyczajów, pieszczotliwe wygody i drobiazgowość staranie o powierzchowność i toaletę. Zagraniczni nauczyciele nie dozwolali swym uczniom grać w piłkę, bić się na palcaty lub hasać konno, uważając to jako rozrywki plebejuszowskie. Zupełny brak emulacyi i domowe paniczekostwo sprowadziły wychowanie domowe na najgorsze tory. Stan zaś mieszczański, a tem bardziej włościański, zupełnie był pozbawiony dobrodziejstw tak skąpo udzielanej w kraju

publicznej edukacji, gdyż szkoły dostępne były jedynie dla szlachty.

Tadeusz Czacki jednym rzutem oka objął ten stan nader niepokojący. Zaczął od obmyślenia środków finansowych dla szkół, które stworzyć zamyślał. Nowe ministeryum oświecenia publicznego mogło tylko wyznaczyć po rs. 5300 na każde gimnazjum gubernialne. Wielkich rzeczy z tem dokonać było niepodobna. Udał się do ofiarności publicznej, i ta rzeczywiście go nie zawiodła. Przybrawszy za sekretarza Józefa Kruczkowskiego, objechał domy obywatelskie naszych trzech prowincyj, i w istocie dokonał prawie cudu, gdyż oprócz datków doraźnych na szkoły powiatowe i parafialne, które za jego inicjatywą otwierano w każdym znaczniejszych dobrach, nazywając je szkołkami funduszowymi, potrafił zebrać w tej kilkomiesięcznej kwestarskiej podróży z górą *dwanaście milionów złotych* kapitałów hipotecznych zapisanych, od których szósty procent regularnie wypłacany, zabezpieczał początkowe utrzymanie wyższej szkoły w Krzemieńcu i dwóch gimnazyów w Winnicy i Kijowie. Średnie szkoły miały być w Międzybórz, Humanu, Berdyczowie, Lubarze i Lubieszowie na Polesiu wołyńskim; oprócz tego zajął się bezzwłocznie uporządkowaniem i rozszerzeniem szkoły bazylikańskiej w Barze i pijarskiej w Międzyrzeczu koreckim. Udał się później do Warszawy, odnowić swe stosunki w Towarzystwie przyjaciół nauk, którego był jednym z założycieli, i zawezwać je do wspólnej na tem polu pracy, czerpiąc pomiędzy uczonymi naszej dawnej stolicy siły do ciężkiego zawodu, któremu się w zupełności poświęcił. Zawsze jednak celem jego szlachetnych marzeń była wyższa szkoła krzemieniecka, dotąd jeszcze nieotwarta, ale dla której starał się nagromadzić największy zapas skarbów naukowych i zabezpieczyć jej najlepszych professorów. Tu więc w Warszawie poumawiał tych nauczycieli, o których wspominaliśmy, tu się porozumiał z Józefem Czechem, z obydwojema braćmi Jurkowskimi, z Chońskim, jednym słowem,

z całym prawie składem pedagogicznym pierwszych lat Krzemieńca. Oprócz tego nabył od ks. Józefa Poniatowskiego bogate zbiory numizmatyczne, mineralogiczne i piękną bibliotekę po królu Stanisławie Auguste, liczącą do 15,000 tomów, która stała się pierwszym zawiązkiem bogatej biblioteki licealnej; wypisał z Paryża całkowity gabinet fizyczny i rzadką naówczas maszynę astronomiczną, naśladującą obrót ziemi i ruch planet.

Po powrocie swym z Warszawy zajął się Czacki opracowaniem planu nauk, programem wykładów, oraz szczegółowem wewnętrznem i zewnętrznem urządzeniem przyszłej szkoły krzemienieckiej. Szczęśliwe okoliczności nadarzyły mu w sąsiedztwie Krzemieńca znakomitego doradcę. Był nim ksiądz eks-podkanclerzy Hugo Kollątaj, który w 1802 r. dzierżawił wieś Stołpiec, a następnie w 1806 r. Tetylkowce. Mąż ten wielkiej i wszechstronnej nauki, przed oddaniem się w zupełności zawodowi politycznemu, co dopiero nastąpiło w roku 1786, poświęcił się początkowo, po powrocie z Rzymu, wychowaniu młodzieży, a w roku 1777 wysłany był nawet przez komisyję edukacyjną jako wizytator szkół do Krakowa, w celu przekształcenia podług nowoutworzonego planu akademii tamtejszej, która go w r. 1782 obrała na lat trzy swym rektorem. Jako doświadczony pedagog i organizator szkół, podał niejedną zdrową i praktyczną radę staroście, który go często w Stołpcu odwiedzał i czerpał u niego zachętę i cenne bardzo wskazówki. Miał zamiar nadać szkole krzemienieckiej nazwę instytutu lub liceum, lecz napotkał w tem wielkie trudności ze strony rektora uniwersytetu wileńskiego księdza Hieronima Strojnowskiego, zazdrosnego o los swojej wszechnicy: obawiał się bowiem, aby zakład krzemieniecki nie odciągnął znacznej liczby studentów lub nie uszczuplił funduszy, które rząd dla Wilna przeznaczył. Nie chciał wierzyć, że Krzemieniec najwięcej miał zawdzięczać swój byt ofiarności miejscowych obywateli. Zarzucano nawet staroście, że uzurpuje władzy, gdyż

nie wchodziło w zakres czynności wizytatora stwarzanie nowych szkół, lecz wizytowanie już egzystujących, jednym słowem, w początku odzywała się prywatna, więcej powiem niechęć. Czacki wolał więc ustąpić i pozostać na początek przy skromnej nazwie gimnazjum wołyńskiego, z zachowaniem jednak programów wyższych nauk, które pierwotnie określił. Jeden ks. Adam Czartoryski szczerze go popierał; za jego też protekcją otrzymano potwierdzenie rządowe dla szkoły, i przystąpiono natychmiast 1 października r. 1805 do solennego otwarcia zakładu krzemienieckiego. Rozpoczęto od pasterskiego błogosławieństwa i solennej konsekracyi gmachów przez biskupa łuckiego Cieciszowskiego, w asystencji infułata sufragana Podhorodeńskiego, wobec reprezentanta uniwersytetu wileńskiego doktora Jana Lerneta, delegatów Towarzystwa przyjaciół nauk umyślnie przybyłych z Warszawy hr. Aleksandra Chodkiewicza i Jana Wyleżyńskiego i licznie zgromadzonego obywatelstwa i młodzieży.

Pierwszą lekcję literatury łacińskiej w klassach wyższych miał ks. prałat Osiński, a literatury i wymowy polskiej — ojciec Juliusza naszego wieszczki narodowego, Euzebiusz Słowacki, który w r. 1811 objął taką samą katedrę w Wilnie, i tam też zmarł w r. 1814. Do pierwotnego składu professorów krzemienieckich, którzy objęli swe katedry przy otwarciu zakładu, wymienimy jeszcze, jako opuszczonych poprzednio: Ściborskiego professora algiebry i niższej matematyki, Szejdta wykładającego początkowo chemię, — przeszedł on później na dyrektora gimnazjum podolskiego do Winnicy, a zastąpił go Tadeusz Szostakowski ślicznie wykładający swój przedmiot, i znany w literaturze z wzorowego przekładu Horacyusza p. t. *Pieśni i anakreontyki*, — Zaliwskiego professora mechaniki, Witwickiego professora fizyki, ojca zaszczytnie znanego w piśmiennictwie naszym Stefana, który w Krzemieńcu nauki kończył, Mirowskiego historii polskiej, Lindau'a numizmatyki, Pawła Jarkowskiego gramatyki i bibliografii. W parę lat później przybyła jeszcze ka-

tedra prawa cywilnego i rzymskiego, powierzona Iguacemu Ołdakowskiemu późniejszemu professorowi prawa uniwersytetu wileńskiego. Była to więc uroczystość wielka dla całej prowincyi, święto rodzinne, podające najpiękniejsze nadzieje dla przyszłości, która przepeliła radością czcigodnego naszego starostę i tych wszystkich, którzy mu w tem pięknem dziele dopomagali.

Panowało wówczas zgubne przekonanie w zamożniejszej klasie społeczeństwa naszego, że synom niemożna było bez ubliżenia godności rodzicielskiej zasiadać na jednej ławie szkolnej z synami ekonoma lub prowentowego pisarza. Cóż więc mówić o mieszczanach i dzieciach stanu włościańskiego? dla nich i elementarna nauka była niedostępną. Komissya edukacyjna ustanowiona w końcu przeszłego stulecia, mimo najszczerzych chęci ludzi pracujących nad oświatą narodową, nie mogła przelamać tych kastowych uprzedzeń. Starosta Czacki bolał nad tem niezmiernie, i postanowił sobie, dopuścić do dobrodziejstw oświaty wszystkie bez wyjątku stany, rozumiejąc doskonale, że tym tylko sposobem potrafi je uzacnić i zrobić z nich w przyszłości godnych obywateli kraju. Dlatego też nie nazwał szkoły krzemienieckiej instytutem szlacheckim, jak mu to doradzano, ponieważ powstać miała z ofiar samej szlachty, ale przeciwnie zgodził się na skromną nazwę gimnazjum wołyńskiego, przekształconego później w liceum, i zrobił ją dostępną dla wszystkich stanów, dla każdego chcącego się uczyć, bez względu na jego pochodzenie, a razem starał się ułatwić wstęp do niej i najuboższym, tworząc liczne stypendya i odpowiednio urządzone konwikta. Zaraz przy utworzeniu szkoły znalazło w nich bezpłatne utrzymanie 50 uczniów, w parę lat później, w miarę wzrastających funduszków, liczbę ich podniesiono do stu. Starosta nie żałował na to nakładów, pojmując bardzo dobrze, że tylko bezpłatnem udzielaniem nauki, a bardziej jeszcze utrzymania, potrafi rozszerzyć wykształcenie pomiędzy najniższymi warstwami społeczeństwa, i zachęcić ubogich ro-

dziców do umieszczania swych synów w szkole krzemienieckiej. Miał tu przeważnie na myśli ubogą klasę prywatnych ofycjalistów, mieszczan i włościan. Konwikta dzieliły się na funduszowe i wolne. W pierwszych otrzymywał uczeń stancję, stół, ubranie, słowem kompletne utrzymanie z funduszków szkolnych; nie potrzebowano żadnych dowodów, żadnych legitymacyj, prawdziwa niemożność rodziców płacenia za syna, stwierdzona przez osoby wiarogodne, szczególnie dobra nota z nauk i moralne sprawowanie się chłopca, były jedynym wymaganiem przy udzielaniu tego wielkiego dobrodziejstwa, jakim jest bezpłatne wychowanie z grosza publicznego. A było to rzeczywiście dobrodziejstwem, nie podług pojęć tegoczesnych, bo po ukończeniu edukacji nie wymagano od ucznia żadnego zwrotu kosztów, żadnych „wysług“, któreby później krępować mogły jego wolność, lub przeszkadzać w obraniu zawodu, który upodobał. W konwiktach funduszowych opłacano po 300 złp. rocznie. Uczniowie korzystali tam ze wszystkich skromnych i niewykwintnych wygód młodzieży szkolnej, mieli prawo do bezpłatnej nauki, lecz rodzice musieli sprawiać dla nich odzież, która, jakśmy powiedzieli wyżej, była mundurową, a zatem zupełnie niekosztowną. W każdym konwikcie mieściło się od 8 do 10 uczniów z dozorcą osobno opłacanym po 10 złp. miesięcznie z kassy szkolnej, i wybieranym przez zwierzchność z liczby starszych i celujących uczniów. Dozór zaś nad wszystkimi konwiktami miał tak zwany regens. Godność tę bardzo przez uczniów szanowaną piastował początkowie Chlebowski, podobno ojciec zaszczytnie znanego dziś artysty malarza. Czacki przeciwny był zgromadzeniu wszystkich uczniów funduszowych w koszarach lub bursie; przy systemie konwiktów dozór był łatwiejszym i moralność wielce na tem zyskiwała; kilkanaście biednych rodzin osiadłych w Krzemieńcu, znajdowało sposób do życia z utrzymania uczniów. Uboga celująca młodzież wybierana na dozorców, znajdowała bezpłatne wykształcenie, nieciążące na budżecie szkolnym, łączyła się z synami

możnych obywateli i zawiązywała z nimi stosunki koleżeńskie i przyjacielskie, tak nieraz potrzebne w życiu. Dawne uprzedzenia kastowe powoli się zacieraly, nietylko pomiędzy młodzieżą, bardzo skłonną do wszelkiego nowatorstwa, które się jej zresztą zupełnie naturalnem wydawało, lecz i pomiędzy rodzicami, którzy się przekonywali, że zwierzchność szkolna wyróżnia tylko pilność, pracę i moralność uczniów, i że tem jedynie można się wyszczególnić w gronie towarzyszy. Należy oddać sprawiedliwość zwierzchnikom szkoły krzemienieckiej, że nawet po śmierci Czackiego nastąpionej jak wiadomo w r. 1813, rządzieli się zawsze tym samym duchem przekazanym przez nieodżałowanego fundatora. Przez kilkanaście lat następnych, aż do samego zwińnięcia zakładu, nie dało się słyszeć najmniejszej skargi; zresztą sama młodzież stała na straży tej tak pięknie i szlachetnie pojętej sprawiedliwości.

Po pierwszej swej bytności w Petersburgu w r. 1807 otrzymał Czacki pozwolenie założenia w Krzemieńcu szkoły geometrów, w której 36 uczniów funduszowych się utrzymywało, obok niej szkoły mechaników, pod dyrekcją profesora Zaliwskiego. Kraj nasz przeważnie rolniczy, sprowadzać musiał dotąd każde choć trochę ulepszone narzędzie rolnicze z zagranicy, — jeżeli się ono zepsuło, literalnie nie było go komu u nas naprawić; wszystkie więc młocarnie, wialnie, młynki, pługi lepszej konstrukcyi, choć za drogie pieniądze sprowadzane, stawały się poprostu nieużytecznemi. Czacki pragnąc rozpowszechnić oświatę pod jej najpraktyczniejszymi formami, uczuł ten brak i postanowił wychować dla kraju specjalistów, którzy w krótkim czasie po ukończeniu 3-letniego kursu rozbiegli się po naszych prowincjach i ledwie podolać mogli obstalunkom w różnych dobrach obywatelskich. Podczaszy Olizar zrobił szczodry zapis na instytut akuszerki i chirurgów wiejskich; zajął się starosta natychmiast jego urządzeniem, równie jak i szkoły guwernantek, na którą osobne fundusze potrafił zebrać z niewy-

czerpanej zaiste wówczas ofiarności naszych obywateli. Wiemy z opowiadań ludzi współczesnych blisko stojących obok naszego czeigodnego wizytatora, i dobrze świadomych jego pięknych i poczciwych zamiarów, że oprócz tego pragnął otworzyć seminaryum nauczycielskie, aby być w możności powiększyć liczbę niższych szkólek; miał nawet gotowy projekt na szkołę rolniczą i na wydział techniczny przy liceum. Senator Iliński projektował otworzyć instytut dla głuchoniemych u siebie w Romanowie, — stanął już był układ pomiędzy nim a Czackim, że nowy ten zakład pedagogiczny, nacechowany gorącym miłosierdziem dla bliźnich, miał być otwarty w Krzemieńcu, jako w ognisku, około którego wszystkie siły intelektualne kraju się skupiały. Słusznie więc minister oświecenia hr. Zawadowski nazwał Krzemieniec, w jednym ze swych listów do Czackiego, w którym winszuje mu tak niesłychanego powodzenia, nowemi Atenami na ziemi wołyńskiej. Dr. Jan Lernet zrobił zapis hipoteczny z rs. 35,000, nazwany funduszem lernetowskim, na kompletne utrzymanie w Krzemieńcu, wysyłanie za granicę dla ukończenia nauk, a następnie na stosowne wyposażenie 4-ch ubogich uczniów pochodzących ze szlachty wołyńskiej. Zapis ten dotąd oparty jest na wsi Młodawie położonej obok miasteczka Warkowicze w powiecie dubieńskim, lecz odsetki od niego od dawna mają już inne przeznaczenie. Księżna Teofila Sapieżyna ofiarowała dla szkoły bogaty księgozbiór; graf Koczubej minister spraw wewnętrznych duplikaty z cesarskiego mineralogicznego gabinetu; szambelan Sosnowski gabinet historii naturalnej i piękny bardzo zbiór konch; petersburski kupiec Silników zbiór drogich kamieni, a Cesarzowa Matka dwie piękne i cenne kolumny z lapis lazuli w kształcie piramid, prawie na półtora łokcia wysokie, przeznaczając je wyraźnie do wielkiego ołtarza kościoła gimnazjalnego. Ostatnie te dary przywiózł starosta z podróży swej do Petersburga, którą zmuszony był odbyć w końcu 1807 r. Jednem słowem, nie szczędził ani prac, ani zabiegów

w zbieraniu darów dla ukochanej szkoły, naśladował skrzętność pszczoły, żadną najmniejszą ofiarą nie gardził, w organizowaniu składek stawał się nawet nieraz natarczywym, lecz wybaczano mu to chętnie, przez wzgląd na szlachetny cel, który go do tego pobudzał. Dla ludzi, których szanować nie mógł, bywał nawet nieraz dość cierpkim, gdy szło o zrobienie przez nich zapisu na szkołę funduszową w ich dobrach, lub o ofiarę na wychowanie publiczne; od takich wymagał zwykle podwójnej kwoty. W towarzystwach i przy liczniejszych zebraniach obawiano się potrosze pocziwego p. Tadeusza, gdyż napewno nie opuścił dobrego zdarzenia i musiał wystąpić z propozycją składki, tego grosza wdowiego, jak go nazywał, na oporządzenie swej biednej sieroty, to jest szkoły krzemienieckiej. Miała ona zaprawdę w nim gorliwego opiekuna, stanęła jedynie dzięki jego gorliwości i ofiarności publicznej, o jakiej dziś już pojęcia mieć nie możemy.

Wewnętrzne urządzenie szkoły pod względem moralności i rozwinięcia szlachetnych uczuć młodzieży, było rzeczywiście zdumiewające. Żaden brzydki i niehonorowy uczynek nie splamił nigdy jej wychowawców. Starosta zaprowadził studenckie sądy honorowe, których podobieństwo widzimy teraz w korporacjach studentów uniwersytetów niemieckich prowincyj nadbałtyckich; lecz w Krzemieńcu miały one charakter bardziej swojski, rodzinny: wybierano sędziów za wiedzą władzy szkolnej, która jednak w niczem nie mieszała się do ferowania dekretów, odznaczających się zawsze bezwzględną sprawiedliwością i dziwnie wykształconem pomiędzy młodzieżą uczuciem honoru i godności osobistej. Każda z 3-ch wyższych dwuletnich klas, nazwanych kursami, wybierała po dwóch sędziów; wszystkie zaś razem wotowały na prezesa. Ośmnastoletni syn Tadeuszostwa Czackich, Józef, młodzieniec wielkich zalet i nadziei, i tak przedwcześnie zgasty w wieku młodzieńczym, jednomyślnie obrany był pierwszym prezesem sądów honorowych studenckich. Starosta

nie chciał wyboru tego potwierdzać, obawiając się, żeby jego własne stanowisko nie wpłynęło na wybór młodzieży. Ta zaś nie chciała od swego wyboru odstąpić i zaproponowała, aby powtórnie ciche złożono wota. Nie mógł się temu starosta sprzeciwić, i gdy po skończonem głosowaniu okazało się kilkaset głosów za, i ani jednego przeciw, uległ woli ogółu, wybór potwierdził i ze łzą w oku ucałował syna, przedstawiając przytem całemu sądowi honorowemu, jakiego wielkie obowiązki biorą jego członkowie na swe barki, gdyż sądzić powinni wykroczenia swych współkolegów nietylko z bezwzględną sprawiedliwością, lecz i z całym umiarkowaniem i wyrozumieniem dla młodego wieku, i dla zwyczajów koleżeńskich, bez względu na stan, do którego rodzice studenta należą. Śliczna ta instytucya, którą dziś nigdzie już nie spotykamy, czynną była do samego zamknięcia szkoły krzemienieckiej, i wywarła najzbawienniejsze skutki na całe pokolenie, które się tam wychowało.

Młodzi sędziowie pod kierownictwem swego prezesa umieli zachować całą powagę ludzi dojrzałych, nigdy się nie unieśli najmniejszą stronnością, nie zdarzało nam się słyszeć, aby kiedykolwiek wyrok ich podległ słusznej krytyce. Mógł się niejednemu wydać dziwnym, niezgodnym w zupełności z prawami krajowemi; lecz nie sądzono tu podług praw i statutów, a podług uczucia honoru, solidarności koleżeńskiej mocno rozwiniętej w całej szkole.

Rozrzewniającym był także obrzęd powtarzany co roku po rozdaniu nagród na publicznym popisie w dzień Św. Piotra i Pawła, jakim starosta żegnał studentów opuszczających mury szkolne po ukończeniu kursów. Po wymownej, ale prosto do serca trafiającej nauce kapucyna ks. Prokopa, Czacki przywoływał do siebie z kolei każdego z młodzieńców, i żądał, aby wobec Boga, władz szkolnych, pozostających kolegów i zgromadzonych obywateli, obiecał solennie: że nigdy wiary ojców nie odstąpi, złym postępkami się nie splami, że nie sponiewiera nabytej nauki, że myśl dobra

społecznego zawsze mu przewodniczyć będzie, że w pracy naukowej nie ustanie, i że wreszcie pamięć tej szkoły i braterską miłość dla kolegów nazawsze w wdzięcznem sercu zachowa. Młodzieniec stwierdzić to musiał podpisem w osobnej na to zaprowadzonej księdze, poczem Czacki przyciskał go z rozrzewnieniem do piersi i błogosławił na dalsze życia koleje. Bardzo już dziś jest niewielu, którzy uczestniczyli w tym rozczulającym obrzędzie; — powtarzali go i później następni wizytatorowie, przejęci duchem Czackiego, lecz żaden z nich nie był tak ukochany przez młodzież, jak p. Tadeusz. Trzeba było widzieć tego męża pełnego nauki, mającego tak poważną i łagodną postać, o rysach szlachejnych, twarzy bladej, nosie orlim i oczach trochę przymrużonych z powodu krótkiego wzroku, gdy otoczony studentami grał z nimi na galeryi w piłkę — *w kaszkę* lub *ściankę*, jak dla krótkiego wzroku nieprędko mógł piłkę złapać, ani dobrze w *tapę palnąć*, i jak prosił, aby bynajmniej go nie oszczędzano. Każda partya chciała go mieć pomiędzy sobą, porywano go, chwymano za poly długiego tabaczkowego surduta, całowano po rękach, żeby się do partyi przyłączył, aż póki zmęczony nie potrafił się pokryjomu wymknąć. Była to prawdziwa miłość dzieci dla ukochanego ojca, nie taka jaką dziś młodzież szkolna swą zwierchność wynagradza. Dziś wprawdzie przełożeni nie troszczą się, co młodzież porabia za obrębem murów szkolnych, na jakich zabawach czas rekreacyjny przepędza; pełnią oni swe obowiązki jako urzędnicy koronni, dbali tylko, aby wysłużyć emeryturę. Dawniej inaczej i zupełnie inaczej bywało. Korporacya nauczycielska składała jakby jedną rodzinę z młodzieżą szkolną; dbano o jej rozwój moralny zarówno, a może więcej jeszcze jak o rozwój naukowy, który później dopełnić można, byle chęci do nauki nie brakło; raz zaś spaczony za młodu charakter, strasznie trudno naprowadzić znowu na właściwe tory. Ale co to o tem mówić, po co narzekać na czasy obecne, gdy jesteśmy mocno przekonani, że to do niczego nie posłuży.

Mówiliśmy już o komissyi edukacyjnej ustanowionej z woli Monarchy, bardzo łaskawego wówczas dla starosty i dla pięknych zamiarów, które miał w życie wprowadzić. Pierwszym jej prezesem mianowany został naturalnie Tadeusz Czacki. Po jego śmierci krzesło prezesowskie zajął Michał Sobański, po nim książę Dymitr Czetwertyński, a na koniec Feliks Czacki synowiec starosty. Z liczby jej członków wymienić możemy: Filipa hr. Olizara podczaszego koronnego, Aleksandra hr. Chodkiewicza, Wacława Borejkę, księcia Maksymiliana Jabłonowskiego, szefa Józefa Drzewieckiego, Adama Bilskiego, Ludwika Raciborowskiego z Podola, Kazimierza hr. Dunin-Karwickiego z Mizocza, Jana Stempkowskiego, Celestyna Zakaszewskiego, Żurowskiego, hr. Mniszcha, hr. Platera, Romualda Steckiego. Urzędowali oni z kolei; nie wszyscy nam w tej chwili przychodzą na pamięć, lecz należy i te nazwiska przynajmniej zachować dla pamięci przyszłych pokoleń: wybierano bowiem ludzi prawych, enotliwych, powszechnie szanowanych i nieposzlakowanej uczciwości, gdyż atrybucye komissyi edukacyjnej były, jak wiadomo, bardzo rozległe, rozstrzygała ona sprawy bez apelacyi. Posady prezesa, członków, wszystkie prawie urzęda wyborowe były naturalnie bezpłatne, a na utrzymanie licznej kancelaryi wyasygnował rząd z dochodu dóbr edukacyjnych po 4000 rs. rocznie. Plenipotentem tej jurysdykcyi był początkowo Borkowski, którego obowiązkiem było wykazywać fundusze edukacyjne i przedstawiać je do rozpatrzenia i decyzji komissyi. Pierwszymi jej sekretarzami byli Józef Kruczkowski i Michał Chajęcki.

Mimo swych licznych zajęć nie przestawał Czacki organizować i inne szkoły prowincjonalne, — jak tylko fundusze mu na to pozwalały. Oprócz gimnazyum w Kijowie przeznaczonego dla Ukrainy i jeszcze nieotwartego, zajął się gorliwie gimnazyum podolskiem otwartem w Winnicy, które w krótkim czasie nabrało tu sławnego rozgłosu. Kierownictwo jego powierzył uczonemu księdzu eks-pijarowi

Michałowi Maciejowskiemu, który przedtem przez lat kilkanaście był rektorem szkoły białostockiej; katedry zaś oddał: Ignacemu Jagielle profesorowi literatury łacińskiej, Bielskiemu profesorowi matematyki, Styczyńskiemu profesorowi literatury polskiej i wymowy, Miładowskiemu nauk przyrodzonych i t. d. Czas swój dzielił pomiędzy Krzemieniec, gdzie stale z rodziną rezydował, i gdzie się wówczas, jak mówiliśmy pierwej, zbierał na zimę kwiat tutejszego towarzystwa, i wszystkie przez siebie otwarte lub do nowego życia pobudzone gimnazya, szkoły powiatowe, a nawet parafialne szkółki funduszowe. Objeżdżał je więc z kolei, słuchał wykładu nauk, osobiście dzieci egzaminował i pobudzał do większej pilności. Ciągłe był prawie w podróży, całkowicie był oddany posłudze publicznej, — zaniedbywał własne interesa, które mocno nadwreżył z powodu tych ciągłych peregrynacyj, które odbywał, rozumie się, własnym kosztem; często też bardzo, gdy funduszów publicznych zabrakło, a potrzeba była nagle, forszusował z własnej szkatuły niemałe summy, i o zwrot onych się nie dopominał, ciesząc się, że projektowana reforma już jest przeprowadzona.

Któż patrząc na to jego życie pełne poświęceń, mógł się spodziewać, że obok niego, prawie pod jego bokiem, wyrosła najczarniejsza intryga, spowodowana zazdrością tej wziętości, którą potrafił pozyskać w sferach rządowych, w gronie swych współobywateli, za wskrzeszenie oświaty publicznej w naszych prowincjach. Podano do rządu zaskarżenie, że gimnazjum krzemienieckie wzrosło nie w miarę złożonych na nie przez ofiarność publiczną funduszów, i że ofiarodawcy podejrzewają poprostu różne malwersacye. Oskarżono więc tem, nie samego tylko Czackiego, lecz i całą komisyę edukacyjną, zarządzającą funduszami, a która co roku najporządniejsze rachunki drukiem ogłaszała. Dla honoru i czei prowincyj naszych wolimy nie wymieniać nazwisk oskarżycieli, choć je mamy przed sobą; oni właśnie nie dali ani grosza na edukacyę publiczną, i nikt ich do tego hanie-

bnego kroku oskarżenia nie upoważniał. Starosta dowiedziawszy się o tem, zabolął mocno, lecz sam prosił o wyznaczenie komissyi, do której weszli: książę Karol Jabłonowski, rzeczywisty radca stanu Bystry, hr. Fryderyk Moszyński i Szczastny „sowiecik“ rządu gubernialnego wołyńskiego — a gubernator wołyński generał Komburlej został mianowany jej prezesem. Komissya ta zjechała do Krzemieńca w r. 1810. Po ścisłem sprawdzeniu wszystkich rachunków, egzaminie uczniów i przejrzeniu całej szkoły w najdrobniejszych szczegółach, złożyła do rządu najchlubniejszy raport dla całego zakładu i czcigodnego jego założyciela. Mimo wszakże tak świetnej rehabilitacyi, Czacki uczył ten cios głęboko, bo wiedział, że był zadany ręką rodaków. Przedtem w r. 1807, póki nie dał się jeszcze dostatecznie poznać władzom administracyjnym ze swych szlachetnych i prawych zamiarów, proszono go, aby z polecenia rządu wprost z kontraktów kijowskich pojechał wizytować uniwersytet charkowski, dokąd przybywszy oświadczone mu najgrzeczniej, że nie ma prawa z miasta się wydalać. Równało się więc to wygnaniu. Udało mu się ledwie za pomocą swych rozległych stosunków uzyskać pozwolenie pojechania do Petersburga, gdzie po należytem wytlómaczeniu się, przyjęty był z nadzwyczajnemi honorami przez ministra oświaty narodowej, i bardzo łaskawie przez samego Monarchę, który przy pożegnaniu obiecał swą najwyższą opiekę nad publiczną oświatą w naszych prowincjach.

Po roku niebytności, wrócił Czacki tryumfująco prawie do Krzemieńca; powrót jego był najpiękniejszą owacyą: młodzież na rękach wniosła na główne schody swego ukochanego zwierzchnika, którego już oglądać się nie spodziewała. Całowano go po rękach, rzucano się sobie na szyję z radości, a uczniowie ledwie nie oberwali staroście po od jego długiego tabaczkowego surduta. On zaś z głębokiego wzruszenia słowa nie mógł przemówić, lzy radości spływały mu po licach, i jedna ta chwila z pewnością sownie mu

wynagrodziła wszystkie doznane przykrości. Wracał ze stolicy z bogatemi darami dla swej ukochanej szkoły, lecz najbardziej cieszyła go obietnica, że będzie mógł wkrótce nadać jej oficjalną nazwę liceum wołyńskiego, co w części uprawniało wszystkie reformy naukowe, które zamierzał jeszcze wprowadzić. Nie doczekał się jednak tej pociechy, gdyż dopiero w pięć lat po jego śmierci, w r. 1818 kurator książę Adam Czartoryski doręczył osobiście dyplom cesarski sankcjonujący tę zmianę, i mianował dyrektorem zakładu powszechnie szanowanego Alojzego Felińskiego.

Wiedział bardzo dobrze starosta, że cała ta burza wywołana była niechęcią ludzi zupełnie mu obcych, i że potrafi w zupełności rozproszyc chmury, które się nad Krzemieńcem na chwilę zebrały. Inaczej działo się w r. 1810. Zły przykład raz już był dany, denuncyacye tajemne się mnożyły, gdyż wiadano, że tą tylko drogą można dokuczyć poczciwemu panu Tadeuszowi, lecz przez to i cały zakład zaczął być w wyższych sferach źle widzianym. Mimo więc bytności kuratora okręgu naukowego ks. Adama Czartoryskiego, który w końcu roku 1810 zwiedził Krzemieniec i wszystkie szkoły naszych prowincyj, i złożył o tem najbardziej uspakajający raport, wyznaczona została w r. 1811 nowa komissya, która wszakże równie jak i poprzednia złożyła władzom najprzychylniejsze sprawozdanie o czynnościach starosty.

Nastąpił rok 1812 brzemienny wypadkami. Głównodowodzący armią południową rossyjską, książę Bagration kwaterujący w Łucku, z namowy gubernatora wołyńskiego Komburleja, potajemnie niechętnego staroście, mając sobie nadto powierzoną władzę prawie dyktatorską, mógł nanieść szkole cios stanowczy. Czacki wiedząc o grożącym niebezpieczeństwie, postanowił na czas jakiś zwinąć szkołę i młodzież rozpuścić do domów. Nie chciał jednak to uczynić bez wiedzy księcia Bagrationa. Udał się więc do Łucka, gdzie był z początku przyjęty bardzo cierpko, i głównodowodzący pomiędzy innemi zarzutami wymawiał mu, że młodzież krzemieniecka nie gar-

nie się pod cesarskie sztandary. Zaprzeczył temu najsmielej starosta, mówiąc, że ma właśnie takich, którzy służyć pragną, i że prosi księcia o wydelegowanie do Krzemieńca oficerów dla wysłuchania ich egzaminu. Ułagodziło to Bagrationa zupełnie, wkrótce wysłał komisyję złożoną z kilku inżynierów i oficerów generalnego sztabu, pod przewodnictwem pułkownika Jermołowa, słynnego później bohatera kaukaskiego. Naturalnie, że egzamina wypadły świetnie, bo młodzież rzeczywiście była doskonale wykształconą; oprócz nauk ścisłych popisywali się z literatury rosyjskiej, rysunków topograficznych, fechtunków i konnej jazdy. Cała komisyja była zachwyconą. Kilku starszych studentów wstąpiło do szeregów; pamiętamy, że opuścili wtedy mury szkolne Studziński, dwaj bracia Zagórscy, Gorłow i kilku innych, którzy wkrótce oficerami zostali. Potrafił więc Czacki swym taktem i właściwem znalezieniem się odwrócić grożące niebezpieczeństwo. Ks. Bagration został przejednany i najlepiej usposobiony dla Krzemieńca, przekonawszy się, jakie praktyczne wychowanie młodzież tam odbiera; lecz niemniej starosta obstał przy swym zamiarze, za zezwoleniem księcia zwinął czasowie szkołę, młodzież rozpuścił do domów i otworzył publiczne wykłady dopiero wtedy, gdy się horyzont polityczny zupełnie rozjaśnił.

Tyle ciosów, tyle bolesnych wrażeń nadwreżyło mocno zdrowie Czackiego, zaczął często niedomagać, system jego nerwowy silnie był podrażniony. Nie opuszczał wszakże swych zwykłych zajęć, z podwojoną może energią im się oddawał. Czuł, że go siły opuszczają, a wiedział, ile mu jeszcze pozostaje do zrobienia, ile nowych reform w szkołach potrzeba jeszcze przeprowadzić. Zadziwiającą była jego energia pod tym względem: gdy się dowiadywał, że trzeba zmienić którego z nauczycieli lub profesora, nigdy nie pojechał na podanym sobie raporcie, zawsze sam osobiście się przekonał o sposobie jego wykładu, o jego stronie moralnej, zjeżdżał niespodzianie wśród lekcji, i dopiero wtedy z czy-

stem sumieniem zgadzał się na zdanie miejscowej zwierzchności szkolnej lub je absolutnie odrzucał. Nie zrywał też stosunków rodzinnych i przyjacielskich, nieraz służył radą tym, których kochał: mamy ślady, że w ostatnim roku swego życia odwiedzał często w Mizoczu chorego swego krewnego, generała b. wojsk polskich Krzysztofa hr. Dunin-Karwickiego, z którym go najserdeczniejsza przyjaźń łączyła.

Solenne otwarcie gimnazjum kijowskiego w pierwszych dniach r. 1813, było ostatnią urzędową czynnością Tadeusza Czackiego. W drodze do Kamieńca dostał nerwowej gorączki, wracając chciał odpocząć w Mizoczu, lecz tu zastał swego przyjaciela p. Krzysztofa na katafalku. Cios ten dobił go do reszty, ledwie pocieszył trochę wdowę i pozostałe sieroty, spieszył już do Krzemieńca do swoich, gdyż czuł się bardzo niedobrze. W Dubnie, 8 lutego roku 1813, w domu doktora Lerneta, mając niespełna lat 48, zakończył żywot pełen zasług i chwały, całkiem poświęcony dla dobra ogólnego.

Niepodobna opisać, jakie przerażające wrażenie wiadomość ta sprawiła w Krzemieńcu. Rozległ się jeden okrzyk pełen boleści: — umarł! umarł! nasz dobroczyńca, nasz opiekun! kto go nam potrafi zastąpić! Ze śmiercią jednego zabrakło jakby życia wszystkim. Żał po nim był szczerzy i nieklamany, podzielały go wszystkie bez wyjątku warstwy społeczeństwa; lecz duch jego opiekował się i nadal szkołą krzemieniecką, którą tak ukochał. System pozostał ten sam, cały zakład rozwijał się i później po jego śmierci: — wszyscy bowiem byli przejęci tradycją, którą nieodżałowany starosta przez niespełna lat ośm potrafił tam zaszezepić.

Ofiarność publiczna, do której Czacki pobudzał wszystkich za życia, i którą rzeczywiście u nas rozbudził, nie zawiodła go i po śmierci. Majątkowe jego interesa okazały się mocno nadwężone przez służbę publiczną; był jego rodziny mimo rozległych posiadłości, był poniekąd zachwiany. Za szlachetną inicjatywą księcia Adama Czartoryskiego, mar-

szalkowie gubernialni Wołynia, Podola i Ukrainy zrobili odezwę do swych współobywateli, aby należności swoje za dostawę prowiantów dla armii podczas ostatniej wojny, ustąpili na uregulowanie interesów pozostałych po starości. Jednogłośnie wszyscy na to się zgodzili, dając tem dowód, że umieją cześć zasługi wielkiego męża, który dla dobra ich dzieci własną fortunę nadwerężył. Rząd zaś nadał na lat 12 dochód ze starostwa na Litwie przynoszącego 60,000 złp. rocznego dochodu. Serce Tadeusza Czackiego, podług ostatniej jego woli, złożono w urnie w zakrystyi kościoła gimnazjalnego w Krzemieńcu. Z tem, co najbardziej ukochał za życia, to jest z uczącą się młodzieżą naszą, nie chciał rozstać się i po śmierci.

ROZDZIAŁ VI.

Wspomnienia o Sławucie.

Świeżo odbyty w Sławucie na Wołyniu pogrzeb nieodżałowanego i ogólnie szanowanego naszego patryarchy, J. O. księcia Romana Lubartowicza Sanguszki, oprócz lży serdecznego żalu, którą uczciliśmy jego trumnę, wywołał w nas jeszcze tę smutną uwagę, że z nim tracimy jeden z tych drogich dla nas typów, które się nieczem zastąpić nie dadzą, że z jego śmiercią znikną też z widowni wołyńskiej te resztki staropolskiego Sanguszkowskiego dworu, które się około jego osoby do ostatniej chwili skupiały. Śmierć niełitościwa przerzedziła szeregi tych starych sług, a raczej dawnych książęcych dworzan, klientów i domowników. Zналиśmy ich wszystkich prawie, i żywo one odbiły się w naszej młodocianej pamięci. Przywiązanie ich do rodziny książęcej było najwybitniejszą ich cechą; kontentowali się małym, służyli wiernie całemi pokoleniami, szczerze dzielili smutki i radości swych panów, i na myśl-by im nigdy nie przyszło zamienić służbę, choćby dla najkorzystniejszych warunków; stanowili, że tak powiem, jedną prawie rodzinę z domem książęcym. Najlepszym dowodem, jakimi uczuciami wzglę-

dem swych oficyalistów był ożywiony ś. p. ks. Eustachy Sanguszko, zmarły w 1844 r. w Sławucie, była jego odpowiedź, dana któremuś z obcych doradców. Gdy ten jasno mu dowiódł cyframi na papierze, iż wypuściwszy w dzierżawę, oprócz państwa Tarnowskiego w Galicyi, wszystkie swe folwarki w kluczach: Sławuckim, Białogródeckim, Antonińskim, Szepetowieckim, Zasławskim, Piszczowskim, Sattanowskim, Stężyckim i Ilinieckim na Ukrainie, równie jak w dobrach położonych na Białej-Rusi, podwoi, a może i potroi swe dochody; rzekł mu książę bez najmniejszego wahania się: „Dali-Bóg, powiem panu, że kombinacya aćpana jest może niezłą, ale cóż się stanie ze wszystkimi rodzinami starych oficyalistów, którzy od tak dawna wiernie służą memu domowi? Musiałbym się z nimi rozstać, a djable mi się nie chce ich losu od mojego oddzielać. Dajmy więc temu pokój!“ Tym więc sposobem projekt, choć finansowo bardzo dobrze obmyślany, spełził na niczem.

Na czele pięknych tych postaci sławuckich, których pamięcią zasięgnąć mogę, wymienić trzeba generalnego plenipotentą wszystkich dóbr książęcych, p. Zacheusza Wojtkiewicza. Posada to była niemałej wagi, sądząc z rozległości dóbr wyżej wymienionych; pracy też było ogrom, bo niedość, że gospodarstwo rolne przeważnie na siebie prowadzono, lecz prócz tego przed reformą włościańską i policya dominialna była w ręku dziedzica. Odbycie jednego poboru wojskowego, czyli tak nazwanej u nas rekruckiej powinności, było nielada zadaniem; rząd bardzo srogo do tego się odnosił, a wszelka odpowiedzialność spadała na zarząd dóbr dziedzica, wówczas bowiem gmin włościańskich na Wołyniu jeszcze nie było, — zaprowadzono je zaledwo w 1862 r., po dokonanej emancypacyi włościan. Wojtkiewicz niewielkiego był wzrostu, łysy, zawiedły, ubrany zawsze bardzo skromnie, a widziano go ciągle na wózku, objeżdżającego rozległe włości, albo pilnującego spraw książęcych w powiecie lub gubernii; ale to literalnie na wózku, bo kolei

żelaznych jeszcze w kraju nie było, a starszek nie pozwalał sobie wygodnego kocza, jak to dziś zwykli czynić panowie pełnomocnicy jedno-wioskowych nawet dziedziców. Cóż, myślicie, pobierał taki generalny plenipotent magnackiej fortuny? oto początkowo, przy dostatecznej ordynacyi i wygodnem pomieszkaniu, 1500 złp. rocznie, jakowa renumeracya po latach kilkunastu podniesioną była przez księcia pana do 2000 złp. (Wyraźnie dwa tysiące złotych polskich, czyli 300 rs. na dzisiejszą monetę; dziś za te pieniądze niemożna mieć i prostego kancelisty). Oprócz tego w czasie rozjazdów miał prawo do pobierania pięciu złotych polskich diurnego na sufficyencyą, lecz nie nadużywał tego pozwolenia: woził przez oszczędność zapasy z sobą w bryczce, i sam go widziałem kiedyś w Żytomierzu, który, jako miasto gubernialne, posiadał porządne restauracye, jak kazał chłopcu gotować dla siebie kaszkę na mleku na obiad. Za to w danym razie umiał podtrzymać splendor domu swego pryneypała, i gdy potrzeba wypadła, suto podejmował w imieniu księcia zaproszonych urzędników. Wysoce też ceniono jego zasługi: niedawno zmarły ks. Roman Sanguszko osobiście przybył na jego pogrzeb do Mizocza i wystawił mu piękny marmurowy grobowiec na skromnym wiejskim cmentarzu. Matka zaś jego z Czartoryskich księżna Klementyna, mówiła nieraz: „Rodzina nasza traci w Wojtkiewiczu prawdziwego przyjaciela.“ Słowa te, wychodzące z ust takiej pani, choć uprzejmej dla podwładnych, lecz przejętej wysokością swego rodu, są w każdym razie wiele znaczące.

Po Wojtkiewiczu nastąpił Sabatyn, mający swój własny majątek na Ukrainie. Człowiek ten wielkiego rozumu, z dziwnie charakterystyczną łysiną i ogromnym sprytem do interesów, jako bywalec salonowy i ślicznie wychowany, nie może być zaliczony do tych dawnych staropolskich postaci, które tu sobie przypominamy. Zmienił go też Ignacy Fudakowski, następnie Tytus Michałowski, Józef Michalski, w końcu Jan Romański. Wszyscy oni znakomicie, pod oso-

bistym kierunkiem samego ś. p. księcia Romana, zarządzali interesami majątkowymi i licznymi fabrykami, któremi te dobra od innych się wyróżniały; tradycya rodowego przywiązania do domu książęcego była zawsze największym bodźcem; lecz powtarzam, nie były to już te dawne staropolskie postacie, które chciałbym zachować dla pamięci następnego pokolenia. Dlatego wspomnieć muszę o Paczuskim, generalnym ekonomie klucza Sławuckiego; o doktorze Zastreyu, znakomitym lekarzu wszechnicy krakowskiej; szczególnie zaś o Tomaszu Moszyńskim, koniuszym stajni sławuckiej, który przez księcia Eustachego posyłany był kilka razy, bo w 1816, w 1822 i 1841 r., na Wschód do Arabii za kupnem oryentalnych ogierów, i miewał sobie powierzane znaczne summy w złocie. Każdy powrót Moszyńskiego wyglądany był z niecierpliwością niemal gorączkową przez księcia Eustachego, który wyliczał dnie i godziny od ostatniego listu, odebranego z Alepu lub Damaszku, niecierpliwił się, bywał chmurny, i nikt mu dogodzić nie potrafił. Za to stawał się innym prawie człowiekiem, gdy konie oczekiwane z takim upragnieniem stanęły na miejscu; wtedy nie wychodził prawie ze stajni, i koniuszy Moszyński musiał nieraz w czasie obiadu, który podawano zawsze o drugiej w dolnej sali pałacowej, wobec dam i gości, objechać stół na jednym z ulubionych arabów, na białym *Hajlanie* albo na srebrno-siwym *Nezdym*, przyczem nieraz sam książę wnosił zdrowie i rumaka, i jeźdźca. Charakterystyczna też to była postać! Niewielkiego wzrostu, w krótkim granatowym surducie, z koleczykiem w lewym uchu, latem i zimą w wysokim cylindrze na głowie i ze szpicrutem w rękę. Tak też jest przedstawiony obok przepysznego arabskiego ogiera, *Batran-Agi*, na olejnym obrazie, wiszącym do ostatniej chwili w salonie ś. p. księcia Romana, na pawilonie stajennym sławuckim, pędzla włoskiego malarza Giuseppe Baticci, który bawił lat kilka w Sławucie około 1840 r. Ten sam malarz restaurował wtedy obraz olbrzymich roz-

miarów, znajdujący się dotąd nad schodami we wchodowym przedsionku pałacu sławuckiego. Ś. p. książę Eustachy przedstawiony na nim siedzący na przepysznym karym *Szumce I*, sławie Sanguszkowskiego stada, tak jak go wszyscy jeszcze pamiętamy: w krótkiej burce, w czerwonym fezie na głowie, a na szyi z szalem perskim kaszmirowym; dzielny zaś rumak okryty pianą i osadzony na zadzie, pod bogatym rzędem i siodłem. Brat starszy tego konia, równie piękny i dzielny, lecz trochę mniejszy, darowany był 1810 r. przez księcia Eustachego księciu Józefowi Poniatowskiemu, który prawie zawsze na nim jeździł i na nim był malowany.

W ostatnich latach swego życia nie mógł książę Eustachy, z powodu trapiącej go podagry, dosiadać koni swego stada; musiał się więc kontentować, że mu je przeprowadzano, lub że je przed nim przejeżdżał koniuszy Moszyński, który z swych częstych podróży do Arabii nabrał zupełnie sposobu jeżdżenia wschodniego: siedział strasznie na zadzie, na krótkich strzemionach; konia nadzwyczaj osadzał, wypuszczał go chwilami z kopyta, lecz więcej nim zataczał, zwracał go na miejscu na tylnych nogach, nie potrzebując bynajmniej do tego wielkiej przestrzeni, tak, że często, nie wyjeżdżając z kurytarza stajennego, w przepysznej stajni sławuckiej widnej i szerokiej, konia spoconego i okrytego pianą oddawał jednemu ze starych kozaków, Harasymowi lub Szerewerze, którzy z nim do Arabii po konie chodzili. Wtedy książę Eustachy odzywał się do niego z zadowoleniem: „Dali-Bóg grackoś się aspan spisał!“ a Moszyński brał się do świeżego konia. Sprowadzono też wtedy dla księcia Eustachego, który, mimo zakazu lekarzy, nie chciał się wyrzec konnej jazdy, dwa niewielkie koniki z gór karpackich, rassy huculskiej, na które mógł wsiadać z łatwością. Lecz czyż taka jazda na spokojnych stępakach mogła zadowolić towarzysza broni księcia Józefa Poniatowskiego i legendarnego Mohorta, żołnierza z pod Zieliniec, Możajska i Borodino, co na dzielnych wierzchowcach ze swego stada szedł

później w zawody o lepsze ze słynnym Emirem Rzewuskim, z którym zawsze co do koni rassy wschodniej rywalizował. Pisał bowiem do niego w styczniu 1819 roku: „Prawdę powiem Panu Grafowi, że w naszym kraju ani oko nie widziało, ani ucho nie słyszało o takich koniach arabskich, jakie ja mam teraz: wszystkie z samego Dezertu.“ Są to słowa skopiowane z autentycznego listu księcia Eustachego; wtedy bowiem świeżo był wrócił Moszyński z pierwszej swej wyprawy do Arabii i przyprowadził dziewięć ogierów arabskich i jedną klacz, które w ogóle kosztowały 33,534 lewy w zlocie. O ile wiem, Waclaw Rzewuski sprowadził w jednym transporcie do Sawrania na Ukrainę więcej oryginalnych wywodnych Arabów, które sam w puszczy, nieraz z narażeniem życia, kupował, niż ich mieli wtedy w Sławucie jeszcze od czasów ojca księcia Eustachego, to jest księcia Hieronima Sanguszki wojewody wołyńskiego, zmarłego w 1812 roku. Ale cóż z tego? ten gorączkowy pośpiech, kosztujący krocie tysięcy, do czego posłużył? jaki przyniósł pożytek krajowi? Stado Emira Waclawa Rzewuskiego tak jakby nie egzystowało. Starzy ludzie pamiętają tylko śliczne okazy prawdziwych arabskich wierzchowców, które Emir za sobą wodził, z którymi obozował pod namiotami w stepach sawrańskich, chcąc sobie odtworzyć koczownicze życie w pustyni, którem, wyegzaltowawszy się pomiędzy Arabami, na wskrósł przesiąkł. Stada zaś we właściwym znaczeniu tego słowa, to jest koni zrodzonych na miejscu w kraju i mogących w swych rodowodach pokazać kilka tutejszych pokoleń, przy zachowaniu czystości krwi, w Sawranii zupełnie nie było. Jakaż różnica w Sławucie! Od ostatnich lat zeszłego stulecia, a zatem niespełna od lat stu, widzimy oto czwarte pokolenie Sanguszkowskie, sumiennie i umiejętnie pracujące nad podniesieniem u siebie rassy koni wschodnich, które już ogromnie na wzroście zyskały, i zachowując wszystkie cechy nieporównanej piękności, doskonale się u nas zaaklimatyzowały. Co lat kilka sprowadzano oryginalne

ogiery arabskie z Pustyni; sam pamiętam jeszcze takie wyprawy, które się w Sławucie sztyftowały pod wodzą koniuszego Moszyńskiego, z dodaniem mu podkoniuszego i kilku wiernych Kozaków. Pisywano do niego do Alepu lub do Damaszku, gdzie miał znajomych sobie agentów: Araba Syryjczyka nazwiskiem Arutin, którego książę Eustachy przez lat kilka stale opłacał, a później Anglika Rawsona, osiadłego w Alepie i ożenionego z Arabką, która w 1844 r. gościnnie podejmowała u siebie księcia Romana, gdy ten odbywał pielgrzymkę do Ziemi Świętej. Trzeba było widzieć, gdy stary Moszyński wpadłszy w zapal, opowiadał o tych wschodnich podróżach, mieszając słowa francuzkie, włoskie, arabskie i Bóg wie nie jakie, i dowodząc z największą flegmą, że to jest język używany w całym Lewancie.

Za życia księcia wojewody odbywały się również podobne wyprawy. W 1803 r. wysłany był w tym celu początkowo do Stambułu koniuszy Kajetan Burski, lecz już listem datowanym 3 listopada 1803 r., donosi księciu wojewodzie, że się ryzykował puścić do Arabii: „gdyż wszyscy się tu zgadzają, że tam tylko można dostać dobrych koni. Pragnę ja zrobić tak, jak sługa szczerze przywiązany do pana, *ryzykować życie moje, aby uczynić dość woli pańskiej, czego drudzy nie robią.*“ Właściwe stado sławuckie składa się z trzech oddzielnych stad, należących do książąt Sanguszków: Czerkaskiego (gdyż to starostwo naddnieprzańskie przez kilka wieków bez przerwy było w ich rodzinie), Klembowieckiego czyli Zaslawskiego, i właściwego Chrestowieckiego czyli Sławuckiego na Wołyniu, które się wypasało w Chrestówce, Tarnówce, Polachowie, wsiach należących do klucza Białogrodeckiego. Właściwie niepodobna określić daty jego założenia, bo książęta Sanguszkowie przeszedłszy z Litwy i osiadłszy na Wołyniu i Ukrainie, jako magnaci polscy, zawsze hodowali piękne rassowe konie, a wyprawy na Turków i Tatarów dawały im możność mieć zawsze ogiery arabskie i czerkieskie, jako zdobycz wojenną. Ztąd

zapewne pochodzi stado Czerkaskie, położone na kresach. Po uspokojeniu kraju od najazdów muzułmańskich, wypadało już ogiery wschodnie kupować za gotowe pieniądze. Słusznie więc księcia Hieronima wojewodę wołyńskiego uważać należy jako założyciela Sanguszkowskiego stada; widzimy jego pod tym względem zakres, a z autentycznych dokumentów przekonać się można, że od r. 1798 sprowadzono do Sławuty 67 oryginalnych wschodnich ogierów, doskonałych reproduktorów, które zostawiły śliczne i dzielne potomstwo i wyrobiły tę słynną Sanguszkowską rasę, znaną w kraju i bardzo cenioną w Cesarstwie i za granicą. Wszyscy trzej książęta — dziad książę Hieronim wojewoda wołyński, ojciec ks. Eustachy, i wnuk przed miesiącem ledwo zmarły, ks. Roman starszy, byli to wielcy konessorzy koni i umieli dobierać ludzi, których wysyłali do Arabii za kupnem ogierów; prawnuk zaś ks. wojewody, książę Roman, obecny dziedzic Sławuty i właściciel połowy stada, które pozostało w Chrestówce, umiejętnie bardzo i z zamiłowaniem je prowadzi, przywiązując do tego, i słusznie, pewną tradycję rodową. Jest więc nadzieja, że i młody hrabia Józef Potocki, syn J. Ex. hrabiego namiestnika Galicyi, zrodzony z księżniczki Maryi Sanguszkowny, któremu dziad, ś. p. ks. Roman, ostatnią swą wolą przekazał całe stado, znajdujące się obecnie w Satanowie na Podolu, potrafi godnie ocenić tę spuściznę dziadka, wkładającą na niego pewne dla kraju obowiązki.

Nieboszczyk ks. Eustachy często dojeżdżał ze Sławuty do Chrestówki, gdzie, jak mówiliśmy wyżej, znajdowała się stadnica, i gdzie się chowały matki z loszętami i młodzież stadna. Kilkadziesiąt tych wiorst odbywał zawsze na prostym wózku, i rad był bardzo, gdy mógł z sobą kogo z krewnych albo gości zabrać. Stawiano wtedy w nogi do bryczki kosz z kilku butelkami szampana, które nazywał chłodzącą limonadką, i popijając ją powoli, zagryzał chlebem razowym z świeżym czosnkiem. Przejechawszy z górą wiorst ośm-

dziesiąt kilka, wracano na obiad do Sławuty, często w czasie piekącego upału. W Chrestówce prezentował klacze i młodzież koniuszy stadny Świerczyński. Długie z nim miewał książe rozmowy, a dobieranie dla klacz właściwych arabskich ogierów było przedmiotem ich głębokich narad, opartych na sumiennej znajomości każdej matki i loszęcia, które pierwej już dała. Budyńki stadnicy były prześlizne, jak w ogóle wszystkie w dobrach Sanguszkowskich; wypasy wyborne, hodowla umiejętna i prowadzona z całą znajomością i zamiłowaniem. Syn jego, ś. p. książe Roman, być może, że jeszcze więcej poświęcił dla stada, czasy bowiem i stosunki krajowe się zmieniły: co dawniej, przed emancypacją włościan przychodziło za pół darmo, to później trzeba było kupować za grube pieniądze. Ogromne więc summy szły na kupno owsa i siana; etat stajenny i stadny kosztował daleko więcej; konie na Wschodzie w Arabii ogromnie podróżowały, wyprowadzanie ich stało się rzeczą bardzo trudną i kosztowną. Jednak nie było roku, aby książe Roman nie nabył do swego stada jakiego oryginalnego wschodniego reproduktora; miewał swych agentów, którzy mu w tem dopomagali. Ileż to pieniędzy wybrał u niego słynny Zimmermann handlarz koni wschodnich! Wiedział doskonale o każdym celniejszym koniu arabskim, który się pojawił na kontynencie europejskim, i póty się nie uspokoił, póki go nie zobaczył, a jeżeli wart był tego, poruszał niebo i ziemię, aby go nabyć dla swego stada. Tym sposobem dostały się do Sławuty *Aghil-Aga*, *Jemri*, *Hadudi*, *Hemdani*, dwa *Kohejlany* i wiele innych; wszystko to były pierwszorzędne ogiery, które zostawiły sławne potomstwo. Bawiąc u kąpieli morskich w jesieni 1868 r. w Tryeście, odebrałem od ks. Romana list ze Sławuty, uwiadamiający mnie, że mają przez Tryest prowadzić konie arabskie z Egiptu dla króla szwedzkiego. Obligował mnie jak najusilniej, abym je opatrzył i dał mu o nich swe zdanie. Kazałem przeto śledzić konie wylądowujące z okrętów. I rzeczywiście dowiedziałem się, że agent

wice-króla egipskiego, Demirdżian-Bej, prowadzi w darze od niego cztery klacze i ogiera wschodniego gniadego z pokolenia *Obejanów*, do Sztokholmu dla króla szwedzkiego. Konie te nie przedstawiały nic nadzwyczajnego; Sławuta posiadała daleko lepsze okazy. Napisałem o tem najszczerzej; lecz niemniej podziwienia jest godnem, że ks. Roman wiedział o nich, nim jeszcze nogą stanęły w Europie. Często pośredniczył mu przy kupnie koni Sefer-Pasza (Kościelski), żyjący dotąd i liczący się w służbie egipskiej, a serdeczny przyjaciel ś. p. ks. Romana.

Oprócz Moszyńskiego i Swirczyńskiego, był jeszcze młodszy koniuszy, Czerniawski, który po śmierci Moszyńskiego w 1858 r. objął zarząd stajni sławuckiej. Jeździł także nadzwyczaj dzielnie, po polsku, na sposób wschodni. Była to również bardzo charakterystyczna postać; wąsaty, z ogromną brodą, lubił udawać Beduina, bo i on odbył podróż na Wschód, o ile pomnę w 1857 r., i przyprowadził ztamtąd parę pierwszorzędných Arabów, z których jeden szczególnie, *Anazy*, popielato-siwy, prawdziwy syn pustyni, dotąd mi stoi przed oczyma. Gdy ks. Roman, rozumiejąc wymaganie swego czasu, zaczął sprowadzać berejterów z Wiednia, trzeba było widzieć poczciwego Czerniawskiego, jak udawał malkontenta, jak chodził chmurny przed stajniami, ćmiąc fajeczkę na krótkim cybuszku, i jak narzekał na Niemców, którzy mu konie psują, szczególnie na Anglika Robinsohna, używanego do tresowania koni kursowych. Rozpogadzał się wtedy tylko, gdy wypadło kazać założyć jedną z dzielnych czwórek rozgonnych do długiego szarabana, nazwanego *klimbrem*, podobno od nazwiska fabrykanta, którym zwykle książę odbywał swe dalsze podróże. Dzielne bo to były bieguny stepowe, chodzące ogromnego klusa; a dziarsko powozili niemi tędzy furmani, ubrani z kozacka. Koń, który kiedykolwiek zaskoczył w klusie, był natychmiast z czwórki wyrzucony; a gdy książę w dobrym humorze, siedząc obrócony na bok na nadzwyczaj trzęskim szarabanie,

powie czasem, uśmiechając się: *straszne konie!* i krzyknie jeszcze do fornała *ruszaj!* to rzeczywiście jechało się daleko prędzej, niż dziś pocztowym pociągiem kolei nadwiślańskiej. Czerniawski do ostatnich lat swego życia siadał zawsze do książęcego stołu, bo był to stary i wierny sługa, bez którego mimo niemej jego protestacyi przeciw nowym zagranicznym porządkom w stajni, książę obejść się nie mógł. Wziął więc w swe ręce nadzór nad końmi powozowemi; tu się czuł wszechwładnym, nie znosił żadnej obcej interwencyi, i ledwo że czasem przypuszczał do narady p. Henryka Zapolskiego, zarządzającego kluczem Szarogrodzkim (wielkiego ulubieńca ś. p. księcia Romana), który jako ex-Balagula, dostarczał zawsze dzielnych, wyklusowanych biegunów do czwórek rozgonnych, z Podola na Ukrainę.

Wspomnienie o stajni, o koniach sławuckich i o ludziach, którzy je wychowywali, może mnie za daleko zawiodło; ale dziwić się temu nie można: w Sławucie mimowolnie każdy stawał się amatorem koni, niemal że nie koniarzem. Patrząc na te najszlachetniejsze okazy, zrodzone u nas na Wołyniu, i tak umiejętnie wyhodowane ku potrzebie kraju; szczególnież widząc, że rozmowa o koniach rozpogadzała zawsze pochmurne nieraz czoło naszego ukochanego księcia Romana, który z powodu swego kalectwa, t. j. nieuleczalnej głuchoty — choć otoczony przyjaciółmi i licznym dworem — żył samotnie, zamknięty w sobie: to wyraźnie czuło się, że koń, ten prawdziwy przyjaciel człowieka, tak zrosły z naszą polską naturą, odgrywa tu w Sławucie pierwszorzędną rolę.

Nie godzi się też nie powiedzieć słów kilka o karle, p. Jakóbie, prawdziwym przyjacielu domu Sanguszkowskiego, zmarłym w Sławucie przed kilkunastu laty w późnej bardzo starości, a którego i książęta i domownicy wysoce bardzo szanowali, bo ze wszech miar zasługiwał na to, i mimo swego dziwnie małego, fenomenalnego prawie wzrostu, nie małe miał znaczenie u dworn. Był nie wyższy od zwykłego

trzy-letniego chłopczyka, a przytem nadzwyczaj kształtny: miał drobne rączki i nóżki, zgrabną główkę, żadnego prawie zarostu, ruchy zupełnie swobodne, mimo wieku sędziwego; — twarz tylko pomarszczona świadczyła o jego głębokiej starości. Głowę miał doskonałą, i mógł wiele wypić; wody nigdy nie używał za napój, a wieczorem, za życia księcia Eustachego, pijał z nim zawsze aromatyczny, ananasowy ponczyk, który im ukochana wnuczka księcia, księżniczka Marya, a dziś hr. Alfredowa Potocka namiestnikowa Galicyi, przyrządzała. Miał swe miejsce u stołu; stary lokaj ogromnego wzrostu, Jan Pliskowski, podnosił pana Jakóba, jak małe dziecko, i sadzał go na dwóch poduszkach, przy czem nikt z obecnych u stołu nie powinien się być nawet uśmiechnąć, bo się mocno za to obrażał, równie jak za każdą alluzją do swego drobnego wzrostu. Gdy n. p. chciał sprawić sobie nowe ubranie, nabierał w magazynie sukna, jak na dorosłego mężczyznę; pozostałość była własnością krawca, któryby się miał z pyszna, gdyby coś o tem wspomniał. Miał zwyczaj, że na nowy rok występował w kompletnie nowym garniturze. Nawet szpilka u halsztucha i tabakiereczka powinny były być zupełnie nowe. Tabakierczek zaś malusieneczkich, misternej często roboty i drogocennych, miał ogromną kolekcją; każda z dam bywających w Sławucie, starała mu się tem przypodobać. Chodził zwykle na rano w długim surducie tabaczkowym i w czapce rogatywce; podpierał się zaś laseczką z siekierką, a na obiad występował we fraczku granatowym ze złotymi guzikami i w bogatej aksamitnej kamizelce w różne desenie; nosił zaś na błękitnym paciorkowym sznurku ogromny srebrny zegarek, repe-tyer, którym my dzieci lubiliśmy się bawić. Utrzymywano dla niego na stajni parę kucyków karych i żółtą karyoleczkę, którą codziennie odbywał spacer; lecz wieczorem gdy było mroźno lub wilgotno, lokaj nosił go na ręku z salonu do oficyny, gdzie miał swe dwa pokoiki na rogu, i gdzie hodował kanarki i inne ptaszki śpiewające. Dla nich też na

gniazdka zabierał jedwab z drezlowanych złotych galonów. Była to zwykła wieczorna robota księżnej Eustachowej, w której jej p. Jakób najpoważniej dopomagał, siedząc przy okrągłym stole, na wysokim krzeselku. Stary książę Eustachy, który podochociwszy sobie, rad z niego żartował, powiadał, że zabierał ten jedwab nie dla ptaszków, lecz dla siebie na materace. W opowiadaniach swoich książę Eustachy często wspominał o porywczosci pana Jakóba, jak on, rozgniewawszy się, palnął w twarz ogromnego hajduka tak, że mu wybił dwa zęby i powalił go o ziemię, a kończył zwykle: „dali-Bóg, powiem aspanu, nie zarywaj z panem Jakóbem, bo to sztuka nielada!“

W czasie imienin księżnej, lub kogo z osób familii, wysadzano pana Jakóba na stół, gdzie z ogromnym kielichem węgryna podchodził do solenizantki, wymijając zgrabnie całą zastawę stołową, i toast jednym haustem gładko wychylał. Nie pamiętam, aby ks. Roman pozwolił sobie jakiego żartu z panem Jakóbem, którego nigdy nawet Jakóbciem, jak ojciec, nie nazywał; szanował go też, jak starca, przyjaciela rodziny; zgon jego mocno odczuł; a hr. Alfredowa Potocka, którą p. Jakób „moja ty serdeczna Maniusiu“ nazywał, wystawiła mu na cmentarzu sławuckim piękny pomnik, dokąd za każdą swą bytnością jeździła się modlić za spokój jego duszy. P. Jakób był nadzwyczaj pobożny i zwykle do kościoła lub kaplicy pałacowej przychodził z ogromną książką do nabożeństwa, niestósowną do jego wzrostu.

W kilka lat po nim, zmarł w Sławucie, lecz równocześnie żył z nim na dworze książęcym, ksiądz Pischulgiani, Ormianin, wyznania rzymsko-katolickiego, którego ś. p. księżna Eustachowa Sanguszkowa przywiozła na kapelana pałacowego z Wenecyi, ze słynnego ormiańskiego klasztoru w Murano. Słusznego wzrostu, silnej budowy, cery zupełnie śniadej, czarnych jak węgiel oczu, zwracał uwagę każdego swemi charakterystycznemi rysami, które się mocno

odbijały od zupełnie białych, gęstych włosów. Był to bogobojny kapłan, głęboki teolog, doskonały spowiednik i kaznodzieja; władał francuskim i polskim językiem, lecz z silnym ormiańskim akcentem, który po polsku odznaczał się zakończeniem wszystkich czasowników na formę żeńską. Mimo to występował nieraz z kazaniami w sławuckim parafialnym kościele, których ze zbudowaniem można było słuchać, byle się przyzwyczaić do jego cudzoziemskiej wymowy. Za życia księcia Eustachego spełniał przez czas jakiś urząd marszałka dworu, ale że był oszczędny, a książę Eustachy dziwny gorączka, dochodziło nieraz do ostrych sprzeczek za jakąś potrawę niedobrze przyrządzoną. Książę kazał przywoływać kuchmistrza Rządковского; ten zaś tłumaczył się, że ksiądz marszałek mało kazał wydać ze spiżarni. Ś. p. księżna Klementyna łagodziła męża i zwracała jego uwagę na charakter kapłański czcigodnego Abbé. Później mieszkał jakby na gracyi, w oficynie naprzeciw p. Jakóba. Jako Ormianin, miał w sobie ducha handlowego; założył w Sławucie blich świec woskowych, i dobrze na tem wychodził. Miewał Mszę św. po ormiańsku w kaplicy pałacowej, czasem i w kościele; nieraz mu do niej służyłem, odpowiadając ministranturę po łacinie. Szanowany był przez rodzinę książąt Sanguszków i całą okolicę; umarł w głębokiej starości, przekazawszy swój fundusz na cele dobroczynne, a część z niego polecił przesłać do swego klasztoru w Murano.

Obok niego przedstawia się nam postać poczciwego księdza Jana, kapłana z konwentu OO. Bernardynów Zasławskich, który administrował parafią sławucką. Był to śliczny typ prawdziwego Bernardyna staropolskiego. Pobożny, bogobojny, ogrzany duchem prawdziwej wiary, która cudów dokazuje nad prostaczkami, katechizujący dźwiatwę, strofujący starszych, lecz pobłażliwy na ułomności ludzkie; przytem jowialny, trochę rubaszny, sławny konessor koni, — bo któż nim nie był w Sławucie? — okrągłej tuszy i porządnego brzuszka, który mu się często trząsał od serdecznego

śmiechu. To też ksiądz Jan, mający donośny głos i posiadający sekret dawnego kantu bernardyńskiego, niezmiernie był lubiany przez swych parafian.

Kustowski, marszałek dworu, którego tylko cbwilowo zmienił Abbé, był mistrzem w swem rzemiośle. Wszystko szło u niego jak z płatka, po cichu, poruszało się samo bez krzyku i hałasu; on tylko, siadając na szarym końcu do książęcego stołu, rzucał okiem i dawał od czasu do czasu nieme rozkazy. Służba składała się z sześciu lokai ogromnego wzrostu, siwych jak gołębie, w skromnych błękitnych liberyjnych frakach, ze złotymi herbowemi guzikami. Żadnych galonów i błyskotek nie było, bo ich oboje księstwo nie cierpieli, tylko na porcelanie koreckiej i na szklach stołowych widziałeś podwójną Pogoń litewską, jako połączony herb książąt Czartoryskich i ks. Sanguszków, tych dwóch szczepów Gedyminowych. Stare weneckie lustro, w formie tarczy herbowej, z taką Pogonią, przystrajały salon na dole; meble bardzo skromne, staroświeckie, mahoniowe z bronzami, kryte czerwonym safianem; w kącie koło kominka głęboki fotel, zdaje się, bez sprężyn, pokryty amarantową flanelą w czarne prążki, na którym ks. Eustachy po obiedzie zawsze się zdrzemnął, paląc z długiej trzcinowej rurki cygara z domorosłego tytoniu, które mu jego własny kamerdyner, Jagielski, przynosił. Nie wolno było wówczas przerywać gwarnej nieraz poobiedniej rozmowy, bo się książę raptem przebudzał, i gotów był wszystkich ostro zbурzeć. Obiad podawano zawsze punkt o drugiej, lecz damy przejezdne, znając zwyczaj księcia, musiały być zawsze z toaletą gotowe na południe; bo nieraz się zdarzało, że książę, wstający o świcie, po objęździe jednego albo i dwóch folwarków, zlustrowaniu stajni, rozmowie z oficyalistami, czuł już koło południa głód dokuczliwy, — co, jak wiadomo, każdemu Polakowi strasznie zgubnie wpływa na humor, bo powiadają, i bardzo słusznie: „że Polak, gdy głodny, to zły.“ Wtedy przychodził do sali jadalnej; kazał sobie podawać wódki

i karasia suszonego; niepostrzeżony od nikogo, otwierał szafowy gdański zegar z kurantami, stojący w kącie za fortepianem, i laską posuwał indeksa na trzy kwadransy na drugą; a potem hałasował, dlaczego do stołu nie nakryto, i kazał prosić księżną i gości, gderząc, że też nigdy panie nie mogą być w porę! aż dopiero po zupie się uspakajał. Kuchmistrz zaś, znając księcia, zawczasu do tego był przygotowany. Przy stole widywano także starego kamerdynera księżnej pani, Peczeniego, obnoszącego półmiski; cukiernika Białoczewskiego, doskonałego w swym kunszcie; a czasem też wołany bywał piwniczy Masłowski, karzeł, lecz nie tak drobny, jak pan Jakób, którego Sławuta odziedziczyła wraz z Zaslawiem i starymi winami węgierskiemu po księciu Karolu Sanguszcze.

Sama księżna Klementyna, mimo sędziwego już wieku, nigdy nie mieszkała w głównym korpusie pałacowym; — było to *votum*, które sobie zrobiła po stracie ukochanej córki jedynaczki, ks. Doroty. Gdy dwór przejeżdżał na letnią rezydencją do Antonin, osiadała w dworku, położonym wśród ślicznego ogrodu i otoczonym krytą galeryą; a w Sławucie apartamenta jej były w oficynie żółtej na prawo, gdzie dziś gościnne pokoje. Lecz bynajmniej nie były to apartamenta książęce, godne sędziwej matrony tak dostojnego rodu; — były to skromne pokoiki, które zajmowała do śmierci ze swą ulubioną wnuczką, księżniczką Maryą, córką ks. Romana, będącego wtedy na wygnaniu. Meble najprostsze, staroświeckie; podłoga wybita prostem szarem żołnierskim sukmem; po rogach stały choinki świerkowe, których balsamiczny zapach był jej ulubiony; pokoje codziennie rano wykadzano bursztynem. Jak to dziwnie odbija od dzisiejszych ubrań salonów i budoarów damskich, szczególnie u ludzi, którzy sobie nie mogą pozwolić tych zbytków, a jednak czują się do nich zobowiązanymi przez głupie względy światowe. *Sed mutantur tempora et nos mutamur in illis* — prze-

rywam więc na tem, nie chcąc uchodzić za starego i nudnego gderę.

W ogóle życie w Sławucie, przy całym dostatku pańskiego, a raczej magnackiego dworu, było nader skromne. Zdaje się, że te lat czterdzieści kilka, w które się pamięcią cofamy, nie mogły wywrzeć tak przeważnego wpływu na społeczeństwo; a ileż jednak zwyczajów, na któreby dziś sarkano, wydawały się wówczas zupełnie naturalnymi. Każdy, choćby wioskowy szlachcic, chce dziś mieć przed oknami trawnik zasiany angielskim rajgrasem, i klomby zieleni, gustownie ugrupowane, i to mu się pochwała: bo cóż piękniejszego nad żywą naturę, która niewiele kosztuje, a na charakter człowieka tak dobroczynny wpływ wywiera. Wówczas jednak pałac sławucki stał jakby na wydmie piaseczystej: nie było żadnych szlachet; pod starą sosną, dziś jeszcze egzystującą pomiędzy pałacem i stajniami, wznosiła się szubienica (wieszadło) na zwierzynę, zapelniona zawsze dzikami i sarnami, — nieraz się tu i łosć pojawił. Obok niej ustawiano w długich szeregach, jako zapas na zimę, sęgi drzewa opałowego, pomiędzy którymi książę Eustachy lubiał się przechadzać. Sztuczne ogrody z pięknymi oranżeryami i trejbhauzami utrzymywano w Antoninach i Klimówce pod Zasławiem, zkąd co tydzień, w czasie pobytu księstwa, przywożono do Sławuty przepyszne owoce i jarzyny, jakich już dziś nie zdarza się widzieć, mimo drogo opłacanych ogrodników niemieckich. Robiono z tego, równie jak i ze zwierzyny dostawionej przez leśnictwa kluczowe, piękne wystawy w ogromnej sieni pałacowej, co zaciekawiało wszystkich domowych i gości.

Ś. p. książę Roman, wróciwszy z wygnania, namiętnie oddawał się polowaniu, utrzymywał liczne psiarnie i wielki etat myśliwski. Po kilkakrotnem odebraniu mu kosztownej broni, w czasie ostatnich wypadków krajowych, zniechęcił się kompletnie do polowania, a ze wszystkich łowczych i strzelców, których dawniej znałem, został się jeden stary

Bielecki, pełniący do dziś dnia obowiązek kredencera w dworku sławuckim, to jest skromnej ustroni, gdzie ś. p. ks. Roman przyjmował swych gości, i gdzie mieszkała ulubiona jego synowica, hrabianka Pelagia Potocka, córka Hermana, urodzona z Mokronowskiej, która przez ostatnich lat 20 z dziwną pieczołowitością i anielską dobrocią pielęgnowała stryja. Dworek ten należy do ostatnich wspomnień sławuckich, nie tu więc może miejsce o nim mówić; lecz kto tylko znał i cenił nieodżałowanego naszego ks. Romana, którego w przeszłym miesiącu złożyliśmy do grobów kościelnych w Sławucie, temu żywo stoi w pamięci ta cicha ustron, położona wśród gaju dębowego, otoczona budynkami gospodarskimi i starannie pielęgnowanym sadem, gdzie nie brakło kilku pni pasieki i małej stajenki, mieszczącej w sobie faworytalne młode klacze arabskie, które się do karyolki najężdżały. Powiecie może, że taki skromny dworek dla człowieka mieszkającego w pałacach, była to sobie pańska fantazya. Przeciwnie, nie była to fantazya, lecz konieczność, wywołana interesami familijnymi. Sławuta bowiem z główną rezydencją w pałacu dostała się z działu rodzonemu synowcowi księcia, to jest synowi brata Władysława, ks. Romanowi młodszemu.

Książę Roman starszy zachował tylko dożywotnie pomieszkanie dla samego siebie w pawilonie nad stajniami, gdzie z górą 50 lat przemieszkał. Dla swoich zaś gości i dworzan urządził ten dworek, gdzie każdego rad podejmował, i który w naszej pamięci zostanie, jak uosobniona tradycya po tym mężu wielkich zasług, przodującym nam zawsze przykładem w niez mordowanej pracy i w silnej wierze w Opatrzność Boską. Tu się krzątał koło srebra stołowego stary jego Bielecki, który nigdy nie zrzucił barwy strzeleckiej; tu marszałkował wierny jego Widort, syn słynnego teorbanisty Widorta, co to był jeszcze na dworze Emira Rzewuskiego. Dla rozweselenia gości nieraz we dworku zawodził Widort, z akompaniamentem teorbanu, tęskną dumkę

Padury, czarował wszystkich swym ślicznym męzkim głosem, szczególnie gdy śpiewał pieśń o *Kniazu Romanie Koszyrskim*. Słuchaczom często łza się zakręciła, a biedny nasz książę Roman, nie słysząc naturalnie melodyi, z zajęciem śledził po twarzach swych gości wrażenia, wywołane przez znajome mu pieśni, które w duszy sobie dośpiewywał. W dworku też często wieczorami po herbacie, zebrani koło okrągłego stolika, przy blasku lampy przyćmionej zieloną umbrą, zachwycaliśmy się odczytami historycznymi czcigodnego Leona Bożawola Romanowskiego, konserwatora archiwum Sanguszkowskiego, który umiał połączyć ścisłą erudycją z zajęciem literackim, gdy ślicznym, jędrnym stylem opisywał historią zamków Zasławskiego, Ostrońskiego, Dubieńskiego, Koreckiego i innych, monografią Sławuty i wielu sąsiednich miejscowości Wołynia. Były to zaiste uroczystości duchowe; przewodniczyła na nich zawsze hr. Pelagia Potocka, która była jakby aniołem opiekuńczym tego cichego ustronia. Nie zapomnę nigdy modlitw wieczornych, wspólnie odmawianych przez nią w maju z całym dworem, tak męzkim, jak i kobiecym, błagających o opiekę Najświętszą Pannę, tę Matkę sierot i strapionych.

Lecz miewał dworek i głośniejsze dzieje. Tu, o ile pamiętam, na św. Romana 1859 r. przyjmował nasz książę najstarszego patryarchę wołyńskiego, hr. Marcina Amora Tarnowskiego, pułkownika z czasów Napoleona I, i szefa pułku 16-go ułanów W.Ks. Warszawskiego, który to pułk Tarnowski własnym kosztem wystawił. Przyjmował go też książę solennie, bo w skutek różnych, niezależnych od niego okoliczności, pierwszy raz witał pod własnym dachem tego Nestora naszych prowincyj. Przybywał on od siebie z Bereziec z pod Krzemieńca, razem ze swym sąsiadem, Teodorem Bobrem, b. marszałkiem szlachty gubernii wołyńskiej, i zięciem jego, hr. Juliuszem Dzieduszyckim, wielkim amatorem koni, i posiadaczem słynnego w Galicyi stada arabskiego, z którym ks. Roman bardzo sympatyzował. Chciał więc przy-

zwoicie spotkać Tarnowskiego, i już samem spotkaniem uczcić go wedle zasług. Wyjechał tedy do wsi Taszek, położonej o milę od Sławuty na trakcie zasławskim, ale wyjechał po pańsku, po książęcemu raczej; bo rzadko kto z prywatnych mógł się zdobyć na podobny orszak i assistencyę. Ośmdziesiąt z górą koni wierzchowych, najdzielniejszych arabów stajni Sanguszkowskiej, pod dzielnymi jeźdźcami i dziarskimi chłopakami stajennymi, otaczało księcia, który wtedy podobno pierwszy raz wystąpił na cisawym swym *Hetmanie*, zrodzonym w Chrestówce, co przed miesiącem, jako ulubiony wierzchowiec, postępował za jego trumną. Gdy się zbliżyły sanie Tarnowskiego, cała ta kalwarka otoczyła go wieńcem, a książę do samej Sławuty nie zsiadał z konia, i assistował po prawej stronie, bijąc się z koniem po strasznie głębokim śniegu. Prześliczny mroźny dzień zimowy, słońce odbijające się krociami śnieżnych brylantów na ciemnej zieleni sosen odwiecznych lasów sławuckich, piękność i dzielność koni wesolo parskających w szybkiej jeździe: wszystko to składało się na dziwnie efektowny obraz, który się na wieki wraził w mojej pamięci. Dojeżdżając do Sławuty, książę pomknął z kopyta naprzód, zeskoczył z konia przed samym dworkiem, gdzie we drzwiach z chlebem i solą powitał sędziwego gościa, — sam zaś wtedy miał już lat około sześćdziesięciu. Wieczorem, gdy całe towarzystwo zasiadło do stołu, u którego, z pomiędzy wielu innych, pamiętam ś. p. Piotra Moszyńskiego b. marszałka szlachty wołyńskiej, serdecznego przyjaciela i towarzysza wygnania księcia Romana, — przy podawaniu pieczystego ozwały się trąby. Wszyscy na siebie spojrzeli ze zdziwieniem..... okazało się, że roznoszono pieczeń z łoszcica, i że tym sposobem książę chciał uczcić po hetmańsku dziewięćdziesięcioletniego Marcina Tarnowskiego. Łzy spływały po obliczu starego żołnierza; wszyscy obecni czuli, że mają także oczy zwilżone niemi, a gość i gospodarz rzucili się sobie w objęcia z prawdziwem rozrzewnieniem.

Miał więc i cichy dworek sławucki, choć świeżej zupełnie fundacyi, swe głośniejsze dzieje; dla nas jednak pozostanie on drogą pamiątką po tym czeigodnym starcu, którego cały Wołyń, a szczególnie ubodzy, wdowy i sieroty, tak gorzko oplakują. Dodać należy, że w dworku odbywały się także doroczne uroczystości. Tu obchodzono zawsze imieniny księcia, w dniu 16 (28) lutego na św. Romana, tu składano mu życzenia na Nowy rok i doroczne święta; wtedy sute śniadanie, zastawione na sto kilkadziesiąt osób, gromadziło, oprócz krewnych i sąsiadów, wszystkich oficyalistów z dóbr Sanguszkowskich, którzy z najdalszych stron spieszyli, aby mu się pokłonić, bo wszyscy rzeczywiście go ubóstwiali; tu także obfite święcone czekało na wszystkich, chcących się z nim podzielić jajkiem święconem, gdyż, pomimo swego zagranicznego berlińskiego wychowania, ś. p. książę Roman był srogim przestrzegaczem staropolskich obyczajów. Całą młodość bowiem przepędził za domem. Licząc się jeszcze w szeregach pułku kawalergardów, dla poratowania zdrowia nadwątlonego klimatem petersburskim, przyłączony został ks. Roman w 1826 r. do ambasady rossyjskiej naprzód w Neapolu, a później w Londynie przy ks. de Lieven. Wtedy to kolegował z dzisiejszym kanclerzem państwa, ks. Aleksandrem Gorczakowem. W czasie swego zawodu dyplomatycznego, jako kuryer gabinetowy, odbywał nieraz podróże z Neapolu do Londynu i z Londynu do Paryża, i tę ostatnią podróż odbywał często podług ówczesnego zwyczaju *konno*, na koniach pocztowych (*à franc étrier*). Nieraz przy dobrym humorze o tem opowiadał, gdy się kto przed nim chwalił swą wytrzymałością na koniu.

Prowadził on do ostatniej prawie chwili życie nadzwyczaj czynne. Dotknięty przed trzema laty lekkim paraliżem części ciała, z żołnierskim męstwem nie poddawał się chorobie. Co dzień około 8 rano latem i zimą przychodził piechotą z pawilonu stajennego do dworku na herbatę; przeszeń to jednak nie mała, bo wynosi dobre pół wiorsty. Po-

pijąc herbatę, przepatrywał świeże gazety; załatwiał mniejsze bieżące interesa; rzucił okiem na ogród i na całe gospodarstwo dworkowe, i wracał piechotą do swych zajęć i korespondencyj, których ogrom prowadził. Również o 3-ciej przychodził znowu na obiad do dworku; wiódł zazwyczaj u stołu bardzo ożywioną rozmowę na piśmie, lub za pomocą alfabetu głuchoniemych; każda kwestya dziwnie go interesowała, i często trudno było podążyć za nim w odpowiedziach. U osób dobrze znanych odgadywał wymówione wyrazy po ruchu ust. Po obiedzie, w salonie przed kominkiem ożywiał się nieraz, i wtedy czasem opowiadał coś z przeszłości; lecz rzadkie to były chwile, przebolawszy bowiem tak wiele, żyjąc z powodu swej głuchoty zamknięty w sobie, nie rad był odnawiać ran, ledwie że zabliźnionych. Zagojonemi one nigdy nie były, i najmniejszy nieraz powód, przez nikogo nieprzewidziany, wprowadzał go w smutną zadumę, odbijającą się straszną boleścią na ponurej i surowej, choć dziwnie pięknej twarzy. Pamiętam bardzo dobrze, gdy raz w Kijowie w czasie kontraktów, widok więźniów prowadzonych w czasie śnieżnych zawiei na osiedlenie do Syberyi, których przechodzących spostrzegł oknem, wprowadził go w taką bolesną zadumę, że będąc temu obecny, przeląknęłam się wzruszenia, które to na nim wywołało.

Gdy nie było nikogo z gości, podawano herbatę wieczorną w dolnym salonie, na pawilonie stojącym, obok którego była jego przyboczna kancelarya, gdzie pracował sekretarz księcia Halkiewicz, i młodszy od niego Leon Brzezicki, prowadzący pod osobistym dozorem księcia, księgę rodową stada. Tu w tym saloniku było miejsce do najpoufalszych pogawędek; tu, oprócz hr. Pelagii, która go nigdy nie odstępowała, pijali z nim codziennie herbatę księstwo Romanostwo młodzi, a księżna Carla sama, z domu hrabianka Thun, swą urodą, pięknnością i słodyczą charakteru ożywiała to ciche rodzinne kółko. Była też faworytką pocziwego swego stryja, który poznał się na głębokich zaletach tej

pięknej duszy i wysoce ją cenił. Jeżeli zaś którego dnia gościła w dworku przyjezdna dama, choćby najmłodsza, choćby jemu pokrewna, czcigodny ten 80-letni starzec jeszcze raz fatygował się na herbatę wieczorną, robiąc sobie przymus ze zwyczaju, który u ludzi sędziwych staje się drugą naturą. Ks. Roman, wychowany w wieku słynnym z wysokiej galanteryi dla dam, odznaczał się nią do końca życia i zachował do tak późnej starości wysoką cześć dla kobiety polskiej.

Jak mówiłem wyżej, Ks. Roman prowadził życie twarde, prawie żołnierskie, do czego przebyte nieszczęścia go wdroszyły. Rozumie się, że wiele jeździł konno, ale wyniósł z Kaukazu dziwny sposób siedzenia w siodle, trochę na bok, na co nawet trzeba było zwracać uwagę przy kulbaczeniu dla niego konia. Wszystkie, choćby najdalsze podróże (bo w kraju ile możności kolei żelaznych unikał), odbywał długim szarabanem bez resorów i bez żadnego oparcia w plecach. Nie można go było namówić do kocza, żałował bowiem ogromnie koni, siebie zaś bynajmniej nie żałował: bo nieraz puszczał się do Satanowa na Podole, gdzie w ostatnich latach chowały się jego matki stadne, do Szarogrodu na Pobereże, lub do Czerepina na Ukrainę, w najgorszą drogę, po błocie lub po grudzie, i jakby naumyślnie w czasie najszkarsradniejszej pory roku. Bliższe zaś ekskursye po tak rozległych dobrach i po fabrykach cukrowych, któremi specjalnie się zajmował, były dość częste, i przejechał przestrzeni kilkudziesięcio-wiorstowej tam i nazad nie uważał bynajmniej za podróż. Wszystkie wynalazki w dziedzinie cukrownictwa — a wiadomo ile ich w ostatnich czasach się zagaściło — ogromnie go zaciekawiały; póty się nie uspokoił, póki nie zaprowadził tej innowacyi w jednej ze swych cukrowni. Pamiętam, jak się cieszył, że on jeden z pierwszych zaprowadził w naszym kraju systemat dyfuzyjny w fabryce, czyli warzelni kremenczućkiej, położonej obok Antonin. Krocie na to pękały, często nie użytecznie: bo naturalnie znaj-

dowali się ludzie złej woli, którzy księcia do tego pobudzali, mając własne korzyści na celu. Hamować go raczej należało, bo w tem okazywał zawsze ks. Roman młodzieńczą energią. Odmówić mu jednak nie można, że położył wielkie zasługi na polu przemysłu krajowego; więcej z pewnością od hrabiego Bobryńskiego, któremu jednak wzniesiono za to pomnik w Kijowie. Wszak pierwsza cukrownia, którą książę Roman założył w Klembówce w 1843 roku, poprzedziła cukrownie hr. Bobryńskiego, a rafineria szepetowiecka wydała pierwszą głowę cukru w 1846 r. On więc był rzeczywiście ojcem naszego cukrownictwa krajowego w guberniach południowo-zachodnich, i dziś po śmierci trzeba mu oddać tę sprawiedliwość. Pierwszy u nas w kraju zaczął uczenie i sumiennie regulować gospodarstwo leśne: pracował już nad tem od 1848 r.; wtedyto sprowadził do Sławuty słynnego Anleitera, który do 1851 r. sporządził śliczne plany z podziałem lasów na sekcyje. Dbałość jego o lasy była nadzwyczajną: oszczędzając je, kupował u sąsiednich obywateli na opał do swych fabryk. Zasadzał cenne gatunki drzew: śliczne modrzewie koło Cwetochy są tego najlepszym dowodem. Oddawał się nie tylko jednemu cukrownictwu; jego ruchliwość przemysłowa i fabryczna była rzeczywiście zadziwiająca. Fabryka sukienna, papiernia, zakład mechaniczny i odlewnie żelaza prosperujące dotąd w Sławucie, wysoki piec założony w Romaninie, lubo nie długo wprawdzie istniał, najwymowniej o tem świadczą. Wszystkie te swoje prace uważał za rodzaj powołania obywatelskiego, które spełniał sumiennie, z zaparciem się własnych interesów. Tysiące zaś rodzin znajdowało zajęcie w jego dobrach i fabrykach, a iluż było takich, którym skrycie dopomagał! Ofiarność jego pod tym względem była ogromna, choć bynajmniej nie głośna, co właśnie w dwójnasób podnosi jej zasługę.

Nigdybym nie skończył, gdybym chciał wypowiedzieć wszystko, co się mimowolnie ciśnie mi pod pióro, gdy piszę

o tym mężu pełnym zasług, który tak niedawno nas pożegnał. Wiele względów przeróżnych, odemnie niezależnych, od tego mnie wstrzymuje. Trudno odtworzyć w zupełności ten piękny i tak serdeczny typ, który zeszedł do grobu; zostaje po nim żal szczery w sercach tych, co go znali. Chcę jednak jeszcze powiedzieć kilka słów o tych osobach, które go otaczały, a z których większa część poprzedziła go do grobu.

Cichy i milezący bibliotekarz, Piotrowski, przesuwiał się zawsze jak cień, spiesząc z rana do obszernej biblioteki, którą wiecznie porządkował. Ks. Roman wydawał wiele na kupno książek; nadsyłano mu wszystko, co się tylko pojawiło w świecie literackim. Świeże książki rozkładano zwykle na drewnianej kanapie — w przedpokoju, poprzedzającym jego salon nad stajnią. Wtedy ciekawemu udawało się jeszcze, prawie pokryjomu, je przepatrzyć; ale gdy już raz dostały się na półki biblioteczne, to można się było z nimi na wieki pożegnać — nie ujrzały już nigdy światła dziennego: ks. Roman był strasznie skąpym co do książek, a bibliotekarz Piotrowski, dziś jeszcze żyjący, za nie nie przekroczyłby pańskiego rozkazu.

Chcę też wspomnieć o szanownym doktorze Dropsym, zmarłym w 1878, który od 1841 r. nieodstępował ks. Romana. Poznał go w Moskwie, gdy po odbyciu służby żołnierskiej zaliczony był jako urzędnik do moskiewskiego zarządu gubernialnego. Leczył go od mocnego potłuczenia głowy; straszna to była choroba, niezostawiająca najmniejszej nadziei. Doktor Dropsy uratował życie księcia, lecz utrata słuchu była już nieuleczoną. Od tego czasu, przeniósłszy się do Sławuty, a później do Zaslawia, był mu najwierniejszym doradcą i przyjacielem. Znakomity lekarz Wszechnicy Jagiellońskiej, twórca nowego systematu kuracyi za pomocą elektryczności, odznaczał się Dr. Dropsy dziwnie sympatyczną powierzchownością. Człowiek nadzwyczaj owarzyski, pięknie wychowany, miły i przyjemny w obej-

ściu się, był ulubieńcem całego dworu i licznych swych pacjentów.

Charakterystyczna też była postać ś. p. Jakunowskiego, który dzierżawił jeden z folwarków Sanguszkowskich, lecz częściej przesiadywał w Sławucie i Antoninach, niż w swej dzierżawie. Sluszenie go też zaliczyć należy do dworu tutejszego, bo się odznaczał tradycyjnem przywiązaniem do całej rodziny książęcej, — szczególnie uwielbiał młodziutką i śliczną księżniczkę Maryą, której się mienił szambelanem; z największą powagą chodził za nią na spacer, postępując pomału, w pewnem oddaleniu pełnem uszanowania.

Dziwny to był człowiek, którego nawet wieku z pewnością nikt określić nie potrafił: chudy, zawiedły, pomarszczony, ogorzały na słońcu, z ogromnemi sumiastemi wąsami, wiecznie milczący, a gdy co mówił, to się wyrażał bardzo górnolotnie i tajemniczo. Przebył różne koleje w życiu; wygod nie lubił, sypiał gdziekolwiek, na skórzaney poduszce, okryty burką, i sam się mienił wolnym kozakiem. Nikt nie widział, kiedy przyjeżdżał i kiedy odjeżdżał, lecz był zawsze na każde zawołanie. Jednem słowem, odgrywał rolę staro-polskiego rezydenta, gotowego do oddania każdej godziwej przysługi, i nikt z pewnością mu nie zrównał w czci i miłości, jaką otaczał rodzinę książęcą i wszystkie osoby z nią spokrewnione. W późniejszych latach szczególne swe uwielbienie przeniósł na obiedwie młode córeczki hrabiny Maryi Alfredowej Potockiej, Julię i Klementynę, i wiernie pełnił przy nich służbę szambelańską, za każdym ich z matką przyjazdem na Wołyń. W czasie wyścigów konnych 1851 r., które ś. p. książę Roman, dla podniesienia hodowli koni, zaprowadził w Antoninach, i dokąd się mnóstwo osób zjeżdżało, zdarzyło się, że Bielaj, Tatar krymski z Karasu-Bazaru, sławny handlarz koni stepowych, odznaczających się szybkością, i znany całemu krajowi z jarmarków berdyczewskich, dokąd tabuny swe na sprzedaż przypędzał, — wystąpił z jakimś garbonosym bie-

gunem krymskim, na którym młody obdarty Tatarczuk wybiegał najlepsze konie rasowe. Otóż stary Jakunowski, dbały o sławę stada Sanguszkowskiego, uprosił księcia Romana, że mu pozwolił spróbować się z Tatarem na karym, jak dziś pomnę, ślicznym ogierze. Krew staro-szlachecka zagrała widać w „wolnym kozaku“, bo tak potrafił zażyć swego arabskiego wierzchowca, że na głowę pobił Tatara, ku wielkiej uciesze ks. Romana i wszystkich gości. Zmarł najprzykładniej przed laty kilkunastu, przekazawszy ostatnią wolą cały swój fundusz w ręce księcia, na jakąś dobroczynną instytucją krajową.

Często widywano w Sławucie Majewskiego, b. kapitała wojsk polskich, trzymającego od niepamiętnych czasów w dzierżawie folwark Sieniutki; Zaleskiego, który swym miłym i jowialnym humorem ożywiał tutejsze towarzystwo, a później osiadł w Krakowie; Jakóba Cichońskiego, marszałka szlachty powiatu zasławskiego, odznaczającego się swą fenomenalną tuszą i miłym dowcipem; hr. Karola Kossowskiego, dalekiego krewnego ks. Sanguszków, a rodzzonego brata pani Krystyny Świejkowskiej i hr. Barbary Wielopolskiej, które obiedwie za czasów pierwszego Cesarstwa wychowywały się w Paryżu na słynnej pensji u pani Campane. P. Karol miał sobie za bezcen oddaną przez księcia w dzierżawę wieś Beleżyńce, bardzo intratną; jednak zawsze bywał bez grosza, narzekał na nieurodzaje i na wysokość tenuty.

Gdy ks. Roman był w kraju, lub gdy córka jego, hr. Alfredowa Potocka, gościła w Antoninach, siedział u nich po całych miesiącach, bynajmniej nie troszcząc się o gospodarstwo. W przeciwnym razie, jeździł po domach pokrewnych na Wołyniu: bo, choć stary kawaler, z wielu osobami był skolligacony. Dokąd tylko przyjechał, był jak u siebie w domu, ganił wszystko, zarządzał kuchnią, bo był strasznym smakoszem, — był też postrachem wszystkich kucharzy wołyńskich; kurował siebie i wszystkich homeo-

patyą i zimną wodą, i niewyczerpany bywał w swych opowiadaniach o przeszłości, bardzo oryginalnych i wypowiedzianych z niezwykłą werwą i humorem. Przeżył wiele przygód w swém życiu; był już oficerem w roku 1807 w huzarach Tulińskiego, za czasów W. Ks. Warszawskiego, a w 1831 r. komendantem Sandomierza. Ozdobiony też był krzyżem *Virtuti militari* i odebrał przed śmiercią medal Św. Heleny, który wraz z innymi krzyżami pięknie odbijał od jego czamarki.

Najbliższym sąsiadem Sławuty był chorąży Julian Bieńkowski, wierny i wypróbowany przyjaciel książąt. Parę razy na tydzień musiał koniecznie bywać w pałacu lub dworku, wynajdując preteksta przed żoną, która go w domu chciała zatrzymać. Odwiedził księcia, zjadł z nim obiad pogawędził trochę, zebrał zapas nowinek i świeże gazety, i najspokojniej wracał do swej Wólki. Do najpóźniejszej starości odznaczał się piękną wyniosłą postawą, elegancją w ubiorze, wysoko zawiązaną chustką na szyi i zapasem anegdotek, które zawsze każdemu opowiadał. Był to jednak człowiek najpoczeiwszy, miły, przyjemny, dawnej daty, a co najbardziej, wypróbowany przyjaciel, z jakim się już dziś tak trudno spotkać.

Wszystko to byli przyjaciele, jakby klienci Sanguszkowskiego domu, tradycyjnie do niego przywiązani, którzy, starzejąc się, przenosili swą miłość z ojca na syna, a później na wnuków. Śmierć strasznie przerzedziła ich szeregi, i nieodżałowany nasz ks. Roman musiał się czuć w ostatnich latach swego życia podwójnie osamotnionym: — bo wszystkie te piękne postacie, które tu naszkicowaliśmy, o lat kilka poprzedziły go do grobu.

ROZDZIAŁ VII.

OPISANIE KORONACYI

cudownego obrazu Matki Boskiej podkamienieckiej

w dniu 15 sierpnia roku 1727.

Przenieśmy się myślą wstecz o całych lat 150, i odtwórzmy sobie w myśli jeden z epizodów życia na dawnym Wołyniu. Daleka to wprawdzie przeszłość, ale z niej poznać możemy niejedną piękną kartę naszego życia społecznego w owych czasach, a szczególnie ten pobożny i religijny charakter narodu, który za szczególną Orędowniczkę swoją uznał Matkę Najświętszą i każdy Jej obraz cudowny otoczył dziwną czcią i uszanowaniem.

Na dzień 15 sierpnia roku 1727 *in Festo Assumptionis B. V. M.*, jak widzimy ze starego rękopisu, który mamy przed sobą, ogłoszona była po całej Rzeczypospolitej uroczysta koronacya Matki Boskiej podkamienieckiej, w tamtejszym kościele OO. Dominikanów niezliczonemi cudami na cały kraj wslawionej, na co Imépan Cetner kasztelanie wołyński, starosta korytnicki, a dziedzic miejscowy, dwie korony przez Ojca Świętego Benedykta XIII poświęcone, osobiście z Rzymu przywiózł. Ponieważ miasteczko Podkamień

należało wówczas do powiatu krzemienieckiego, położonego w dawnym województwie wołyńskim, i że do tej uroczystości przyłożyli się najbardziej tutejsi senatorowie, urzędnicy i szlachta, możemy bez wahania podać tę wiadomość spisaną ze starego rękopisu ówczesnego, i zaliczyć ją do obrazków z przeszłości Wołynia, jako malującą doskonale duch i życie społeczne.

Stanisław Mateusz na Rozdole i Olesku Rzewuski wojewoda bełski, hetman w. k., na rok przed swą śmiercią *ex innato pietatis zelo*, to jest z wrodzonej mu pobożności, chcąc dodać więcej świetności temu religijnemu obrzędowi, wydał rozkaz do kilkunastu chorągwi husarskich i pancernych, jakoteż do swego regimentu dragońskiego i pieszego, aby się na dzień 12 sierpnia r. 1727 ściągnęli pod wieś Nakwaszę o ćwierć mili od Podkamienia położoną, i tu się obozem rozłożyli. Komendę nad całą tą partya oddał synowcowi swemu Michałowi Rzewuskiemu, późniejszemu wojewodzie podolskiemu, a pułkownikowi swej husarskiej chorągwi, którego swą władzą hetmańską regimentarzem na ten czas mianował. Stał też pierwszy p. regimentarz z chorągwią husarską hetmańską, własnym kosztem nanowo umundurowaną, jak była husarya pod Wiedniem za króla Jana III. Liczyła oprócz pocztowych 120 towarzystwa, wszyscy na dzielnych koniach, w pełnym rynsztunku, ze skrzydłami i kopijami ozdobnie i bogato przybrani. Następnego dnia przybyła chorągiew pancerna Imćpana Stanisława Potockiego starosty halickiego, pod komendą pułkownika Imćpana Pułaskiego podczaszego podlaskiego, i chorążego Imćpana Rozwadowskiego starosty karaczkowskiego. Liczyła ona 62 towarzysów na pięknych i rosłych koniach w pancierzach z sahadakami, a pocztowi z flintami i pistoletami. Ściagały też i inne chorągwie, wszystkie dobrze okryte i ozdobne, w półkirysach i z kopijami.

Gdy wszystkie wojska, które otrzymały rozkaz hetmański, stanęły już w obozie, pan regimentarz przestrzegając

porządku i dyscypliny, mianował oboźnym Imćpana Wyhowskiego stolnika kijowskiego, strażnikiem Imćpana chorążego pancernego Giedzyńskiego, wojskiego żydaczewskiego, a sędzią wojskowym Imćpana Olszyńskiego cześnika bełzkiego, towarzysza swego husarskiego, jak powiada autor rękopisu, dla obserwowania wszelkiej modesty, aby nie stała się jaka w polu krzywda i szkoda obywatelom tamecznym. Niestuszenie więc posadzają obecni dawne wojsko nasze o zupełny brak karności; bywały zapewne wypadki, gdy wiązało się w konfederacye, z powodu niewypłacenia dawno zaległej lafy, lecz żołnierz polski szczególnie poważnego znaku, nigdy nie był maroderem, nie krzywdził spokojnych mieszkańców kraju. Chorągwie złożone z Towarzystwa przestrzegały pilnie karności pomiędzy pocztowymi pacholkami i ciurami. Wojny napoleońskie w początku bieżącego stulecia rozpowszechniły dopiero ten haniebny zwyczaj w wojsku. P. regimentarz wydał oprócz tego dyspozycyę, którą połączył chorągwie w szwadrony. Dragonię w jeden korpus z piechotą, trzy chorągwie postawił w przedniej straży, a przy swych namiotach zostawił chorągiew janczarską. Był to więc zupełnie szyk bojowy, w każdym razie przestrzegający należytego porządku.

D. 14 sierpnia, to jest w wigilią uroczystości Wniebowzięcia P. M. jako dnia przeznaczonego na uroczystą koronacyę, przybyli już zewsząd do Podkamienia panowie i szlachta, a szczególnie lud pobożny, którego kilkadziesiąt tysięcy obozowało pod gołym niebem, gdyż licha mieścina mogła ledwie dać przytułek osobom zamożniejszym i gościom dziedzica. Dnia tego miało się odbyć wprowadzenie koron do kościoła podkamienieckiego. Celebrować miał ks. biskup łucki Stefan Rupniewski (herbu Srzeniawa), jako gospodarz dyecezyalny w asystencyi ks. biskupa kijowskiego oraz ks. biskupa kamienieckiego Stanisława Hoziusa.

Należy tu wspomnieć, że do dawnej dyecezyi łuckiej należały województwa wołyńskie, podlaskie, braclawskie

i brzeskie na Litwie. Biskupstwo to fundowane było przez Kazimierza W. w r. 1364, a potwierdzone przez papieża Grzegorza XI za panowania króla Ludwika węgierskiego w r. 1375. Trzech pierwszych biskupów rezydowało w Włodzimierzu, dopiero Witold W. Ks. L. w r. 1425 przeniósł katedrę do Łucka pod wezwaniem Najświętszej Trójcy. Diecezja tutejsza liczyła 13 dekanatów, 385 kościołów, dwa infu-lackie probostwa, ołyckie i kodeńskie, a w kapitule zasiadało oprócz dwóch oficyałów, łuckiego i brzeskiego, i innych zwy-czajnych członków konsystorza, ośmiu kanoników bogato uposażonych. Biskupi łucey zajmowali w senacie Rzeczypospo-litej jedno z wyższych krzesel; po arcybiskupach gnieźnieńskim i lwowskim należało się im siódme miejsce pomiędzy dygnitarzami duchownymi, zaraz po biskupie warmińskim. Ostatnim polskim biskupem łuckim był Kasper Kolumna Cie-ciszowski; objął on to biskupstwo po księdzu Naruszewiczu.

JWJMśc Pan Regimentarz ordynował wspaniały orszak wojskowy, dla asystencyi przy wprowadzeniu koron, uszy-kował wojsko w cztery szwadrony i wyruszył z nimi z obozu zaraz z południa — mając dragonię i regiment piechoty z armatami po przedzie, sam zaś szedł na czele chorągwi husarskich i pancernych aż do Podkamienia, gdzie roz-biwszy wspaniałe namioty, w porządnym szyku stanął. Imć-księża biskupi w asystencyi bardzo licznego duchowieństwa i kleru podjechali karetami JW. Imćpani Józefowej Poto-ckiej wojewodziny kijowskiej, przyslanemi po nich z zamku załoseckiego, i wysiedli w namiocie regimentarskim, gdzie ich oczekiwał suty traktament. Załosec bowiem, założone w r. 1516 przez Marcina Kamienieckiego wojewodę podol-skiego, należące później do książąt Wiśniowieckich, były wówczas w posiadaniu domu Potockich, i tu nawet zakończył 19 maja r. 1751 swój skołatany żywot JW. Józef Po-tocki kasztelan krakowski, hetman w. k. w 83 roku swego życia. Do końca przeszłego wieku był tu jeszcze wspaniały starożytny zamek, obecnie w ruinach będący, położony nad

pięknym stawem sformowanym przez rzekę Seret, która w tej okolicy bierze swój początek. Odległość ztąd do Podkamienia niewielka, i pani wojewodzina kijowska podejmowała u siebie na zamku licznych dygnitarzy i gości ze stanu duchownego i rycerskiego zebranych na tę uroczystość.

Gdy wysiedli księża biskupi, odkomenderowano zaraz z każdej chorągwi po kilku zbrojnych towarzyszków pod dowództwem chorążego pancernego Imćpana starosty Rozwadowskiego, do JW. Cetnera kasztelanica wołyńskiego, u którego złożone były owe korony. Obydwie, to jest mniejsza na Pana Jezusa i większa na Matkę Najświętszą, bogato przyozdobione były klejnotami ofiarowanemi przez Imćpanią Stanisławową Leduchowską wojewodzinę wołyńską i Imćpanią Waławową Wielhorską kasztelanową wołyńską. Pan kasztelanice Cetner, otoczony tak świetną strażą honorową, oddał je do rąk celebranta, ks. biskupa łuckiego, z przyzwoitami temu obrzędowi ceremoniami, wręczając mu dyplom Ojca Świętego. Asystowało przytem mnóstwo senatorów, dygnitarzy tak świeckich jak i duchownych, urzędników i szlachty, suto podejmowanych w namiotach pana regimentarza. Cały więc orszak, pod eskortą licznej komendy wojskowej ruszył do Podkamienia, gdzie p. regimentarz sprawił za miastem szyk bojowy, frontem do klasztoru i kościoła, gdyż dla nieprzeliczonych tłumów pobożnego pospólstwa wyciągnął tylko szpaler z dragonii ku wolnemu przejazdowi karet biskupich i senatorskich. Ks. biskup łucki podjechawszy pod sam kościół, w asystencyi liczego bardzo kleru, oddał *ceremonialiter* obydwie korony wraz z dyplomem do rąk dwóch Starszych OO. Dominikanów konwentu tutejszego, którzy je z rewerencyą przyjęli na wielkiej miednicy złocistej, okrytej bogatym wezglowiem, i zaraz złożyli na wielkim ołtarzu, w którym obraz cudowny Matki Boskiej jest umieszczony. Zaintonowano hymn św. Ambrożego „*Te Deum laudamus*“, poczem ks. biskup celebrant wyszedł z solennemi nieszporami. Przy całej tej uroczystej introdukcji koron, od

godziny drugiej z południa do samego wieczora dawano ognia z armat i ręcznej broni, poczem całe wojsko w porządnym szyku wróciło do obozu. Następnego dnia 15 sierpnia miała miejsce po summie właściwa koronacya cudownego obrazu, dopełniona *pontificaliter* przez ks. biskupa łuckiego podług rytuału kościoła katolickiego, którego ceremonie w takich razach są tak imponujące. Odczytano z ambony dyplom Ojca Świętego, potwierdzający tę uroczystość na mocy licznych cudów doznanych u tutejszego obrazu, i ogłoszono liczne odpusta, po kilkakrotnie nadawane przez Stolicę Apostolską, z których terażniejszy kompletny, miał trwać cały tydzień. Pobożni pielgrzymi przystępowali do Św. Sakramentów, a księża odprawiali jedną mszę po drugiej, nietylko w kościele, lecz i w podwórzach i krużgankach klasztornych i na całej górze, na której klasztor wzniesiony. Całe ordynowane wojsko pod dowództwem swego regimentarza stało wyciągnięte w szyku na przeciwko kościoła, od samego rana aż do końca kościelnej ceremonii; a gdy ksiądz biskup celebrant podniósł korony dla przytwierdzenia ich na cudownym obrazie, dano salwę z armat i następnie ustawicznie bito z dział, a wojsko polskie cudzoziemskiego zaciągu, równie jak janczarowie Imépana hetmana w. koronnego dawali rżęsiście ognia z ręcznej strzelby, przy czem muzyki wojskowe ciągle przygrywały. Cały ten solenny obchód był bardzo imponujący. Lud zebrany z dalekich okolic i doznający niejednej łaski od Matki Boskiej podkamienieckiej, wiedział jaką czcią otaczali tę Świętą Orędowniczkę i opiekunkę naszą, najwyższe władze krajowe zebrane z nim pospołu u stóp Jej ołtarza. Najwięksi dygnitarze i dostojnicy obok najuboższego chłopka przyklękali do stołu Pańskiego. Było więc wtedy coś, co łączyło silnie wszystkie warstwy społeczeństwa naszego, a była niem wiara, daleko silniejsza jak teraz.

Po ukończeniu kościelnego aktu, osoby duchowne i dostojni goście rozjechali się, jedni do dziedzica miejscowego

kasztelanica Cetnera, drudzy do zamku żalosieckiego do wojewodziny Potockiej, innych znowu zabrał do siebie do obozu pod namioty JW. regimentarz Rzewuski, wielu też znalazło gościnność u sąsiednich Podkamieniowi obywateli. Pobożny zaś lud obozował u stóp góry klasztornej, przypatrując się ślicznym ornamentacyom i tryumfalnym bramom, rozwieszonym z tego powodu koło kościoła, a które, jak wyczytujemy ze współczesnego rękopismu, sporządzone były dziwnymi kolorami i misterną robotą i konceptem. Wieczorem zaś puszczano fajerwerki, co się powtarzało przez całą oktawę, kosztem nieobecnego wprawdzie, dla słabości zdrowia, ówczesnego wojewody wołyńskiego Imiępana Michała Potockiego, który po śmierci Stanisława Leduchowskiego 1725 r. zasiadł to krzesło w senacie, i jako pierwszy dygnitarz wojewodziny chciał się przyłożyć do uroczystości tego obchodu. Wojska odeszły wieczorem do obozu pod Nakwaszę. Nazajutrz, to jest w sobotę, JW. regimentarz Rzewuski z całą starszyzną, oficerami i towarzyszami, przystępował do stołu Pańskiego, chcąc zażyć odpustu udzielonego przez Ojca Świętego, a w niedzielę traktował u siebie pod namiotami *lautissime* z wielkim kosztem i przepychem wszystkich dostojnych gości stanu senatorskiego, duchownego i rycerskiego; przy huku dział i odgłosie wojskowych kapeli wnoszono zdrowie Jego Królewskiej Mości, Ichmościów pp. hetmanów, wojska, duchowieństwa i t. p. Powtarzano gęste wiwaty, spełniając je ogromnymi puharami, przy czem wielka była obfitość wybornego wina i wszelkiego jadła. Choć o dziewiątej godzinie wieczornej podług regulaminu otrąbiano hasło w obozie, jednak bawiono się do późnej nocy pod namiotami; gościnność czcigodnego gospodarza zachęcała każdego z panów do ochoczej i szczerej zabawy.

W poniedziałek p. regimentarz uszykował całą partycję przed frontem obozu, podziękował wszystkim pp. oficerom i towarzystwu za stawienie się pod jego komendę i za podjęte przez nich fatygi dla chwały Boskiej i Matki Najświęt-

szej, oddał należną sprawiedliwość ich skromnemu zachowaniu się w obozie, tak, że nie było z tego powodu najmniejszej skargi od okolicznych mieszkańców; poczem rozpuścił chorągwie na swe zwykłe konsystencye.

Jest podanie zapisane w kronikach czasowych, że na trzeci dzień po tej świętej koronacyi okazała się nad samym kościołem podkamienieckim, na niebie w obłokach korona zupełnie taka, jak na obrazie cudownym. Zjawisko to trwało więcej godziny, widziane było przez wojsko stojące w obozie, i przez ludność tłumnie zgromadzoną na odpust, która tembardziej utwierdziła się w pobożnej czci ku naszej cudownej Orędowniczce. Legenda ta zapisana jest w aktach konwentu podkamienieckiego.

Podajemy tu ze współczesnego rękopismu konnotacyą chorągwi wchodzących do składu wyżej wymienionych 4-ch szwadronów, uformowanych w obozie pod Nakwaszą przez regimentarza Rzewuskiego. Rzucą to pewne światło na naszą siłę zbrojną i na rodzaj wojska, które je składały.

Znaki poważne.

Szwadron I.

Chorągiew

Usarska	JMP. Hetmana W. K.	{ Pułkownik JMPan Michał Rzewuski starosta wiszyński, następnie pisarz koronny, a na ostatku wojewoda podolski po Stefanie Humieckim.
Pancerna	tegoż Hetmana W. K.	
Pancerna	JMPana Michała Rzewuskiego starosty wiszyńskiego.	{ Chorąży JMPan Węgliński. { Chorąży JMPan Ustrzycki stolnik żydaczewski.

Szwadron II.

Usarska	JMP. wojewody wołyńskiego.	{ Porucznik JMP. Cetner starosta barecki. { Porucznik JMPan Szumlański.
Pancerna	JMP. Branickiego kasztelana halickiego.	

Szwadron III.

Usarska	Księcia JMci Czartoryskiego podkanclerzego W. Ks. L.	{ Porucznik JMP. Humiecki starosta hosiński. Chorąży JMP. Lipski regent koronny, a później kasztelan bełzki.
---------	--	--

Chorągiew

- Pancerna JMP. Stanisława Potockiego wojewody smoleńskiego. { Pułkownik JMP. Pułaski podczaszy podlaski. Chorąży JMP. Rozwadowski starosta karaczkowski.
 Pancerna JMP. Wielhorskiego kasztelana wołyńskiego. { Porucznik JMP. Dedyński.

Szwadron IV.

- Usarska Książęcia Radziwiłła starosty przemyskiego. { Chorąży JMP. Piaskowski starosta włodzimirski.
 Pancerna JMP. Jana Szembeka kanclerza W. K., starosty grudziązskiego i łomżyńskiego. { Chorąży JMP. Giedzyński wojski żydowski.
 Pancerna JMP. Załuskiego starosty rawskiego. { Chorąży JMP. Sługocki stolnik chełmski.

Wojska cudzoziemskiego zaciągu.

- Regiment dragonii hetmańskiej pod JMP. Pułkownikiem Wilgą.
 Batalion piechoty i chorągiew janczarska hetmańska pod JMP. Rotmistrzem Świrskim.
-

ROZDZIAŁ VIII.

WSPOMNIENIE

o Łucku, Ostrogu i Ołyce.

Jednym z najstarszych grodów gub. wołyńskiej jest niezapreczenie Łuck, dziś licha i podupadła miescina, na którą patrząc niktby z pewnością nie mógł się domyśleć jej świetnej przeszłości: bo gdy miasta i miasteczka wołyńskie jako tako się trzymają, inne nawet z powodu okoliczności wytworzonych w ostatnich czasach, dość szybko się wznoszą, jak n. p. Równno i Kowel, gdzie co roku postęp cywilizacyjny jest coraz widoczniejszy; — Łuck, oddalony od kolei, niemający ani szkół, ani drogi handlowej i stanowiący jedynie rezydencję nielicznych władz powiatowych, podupada widocznie, nie żyje nawet przeszłością; bo wątpliwem jest bardzo, aby kto z dzisiejszych jego mieszkańców zajmował się badaniem dziejów ojczystych lub archeologią, któraby tu jednak przedstawiała bogate, choć mozolne żniwo. Niemilosiernie też niszczący czas pastwił się nad tem biednem miastem. Gdzie ów zamek zbudowany, jak podanie głosi, przez Włodzimierza w. ks. kijowskiego, który po sześciomiesięcznem oblężeniu Bolesław II Śmiały, ciągnący pod Kijów,

zdobył i swoją załogą umocnił? Gdzie te gmachy, w których w r. 1429 w. ks. I. Witold przyjmował z Władysławem Jagiellą cesarza rzymskiego, jego małżonkę i tylu innych współczesnych monarchów, i tak wspaniale swych koronowanych gości podejmował? Gdzie nareszcie te liczne świątynie pańskie, wzniesione ofiarnością monarchów i przodków, których Łuck średniowieczny liczył do dwunastu, a z których większa część, jeszcze w pierwszej ćwierci bieżącego stulecia, zadziwiała wszystkich swą bogatą strukturą i ornamentacją? Wszystko to w ruinach, których ślad zaledwie odszukać można; ocalało niewiele kościołów, inne obrócone na koszary i więzienia. Łuck stracił więc zupełnie swój charakter średniowieczny; obszerny jego handel i kwitnący przemysł, uprawniony licznymi przywilejami nadanymi dla kupców i rzemieślników przez naszych monarchów, skupił się oddawna wyłącznie w rękę żydowskiem, o co już były skargi mieszczan w czasie lustracyj koronnych w połowie XVIII wieku. Stracił również na liczbie mieszkańców, a szczególnie na rozległości. Obecnie posiada Łuck zaledwie 500 domów, liczy 11,838 mieszkańców. Dawniej jednak są ślady, że ludność jego, złożona z Polaków, Rusinów, Wołochów, Tatarów, Karaimów i Żydów, wynosiła do 50,000, a przyległe wioski, Kniahininek, gdzie kanał nosi dotąd jakoby imię Witolda, Żydyczyn, Dworzec, Kiwirce i Zaborol, wedle podania ludowego były jego przedmieściami. Wydaje się nam to trochę nieprawdopodobnem, gdyż znając miejscowość, wiemy, że Żydyczyn położony nad rzeką Styrem, a szczególnie Kiwirce, gdzie się obecnie znajduje dworzec kolei żelaznej, odległe są w prostej linii od miasta o dobre 10 wiorst. Ponieważ jednak w każdym podaniu ludowem przebija się zawsze część prawdy, świadczy to w każdym razie o niepojętej dla nas w wiekach średnich świetności Łucka, i o następnym jego powolnym upadku, datującym jeszcze z końca XVII wieku, a dokonany ostatecznie w bieżącym stuleciu. Z tej to epoki datuje zapewne owo przysło-

wie ludu rusińskiego: „W tem Łucku, wse ne po ludzku, na około woda, a w seredyni bida.“ Dziś maluje ono doskonale położenie biednego miasta, oblanego naokoło dwoma rzekami: Styrem i wpadającym do niego Głuszcem, a tem samem jako położonego w nizinie, słynnej ze swego nieprzebytego błota.

Cóż więc mogło stanowić dawną świetność miasta? Najlepiej nam to objaśnią konstytucye koronne i przywileje królewskie, a zresztą dzieje krajowe, które często o Łucku wspominają. Każdą pamiątkę zmarłej przeszłości powinniśmy cenić ze czcią religijną i przechowywać dla pamięci przyszłych pokoleń. Archeologia przestaje być obecnie suchą nauką; podaje ona dziś rękę historii, dopełnia ją niejako: wiele dat wyczytanych na zimnym i mehem obrosłym kamieniu, po należytem zbadaniu, rzuca zupełnie nowe światło na pewną epokę dziejową. Łuck oczekuje dotąd historyka i archeologa: niezaprzeczenie te ruiny jego zawierają niejedną tajemnicę; my tu w pobieżnym artykule nie jesteśmy w stanie nic nowego udzielić; posilkujemy się tylko źródłami historycznymi dawniej już wydanymi, lub zresztą miejscowemi podaniami. Zamiarem naszym jest wyrzec kilka słów o tym prastarym grodzie wołyńskim, który ludzie serca i kochający naszą przeszłość należycie jako pamiątkę krajową ocenić potrafili, umieszczając w ornamentacyi albumu łuckiego, ofiarowanego na 50-letnim jubileuszu J. I. Kraszewskiemu, autentyczny odlamek z ciosowej baszty zamku Witoldowego. Wiadomo bowiem, że nasz szanowny jubilat długo mieszkał i posiadał dobra w powiecie łuckim, bo od roku 1837 do 1856. Że tu niezmordowanie pracował nad literaturą ojczyzną, dla niego więc, tak kochającego naszą przeszłość, pamiątkowa ta okruszyna miała bardzo doniosłe znaczenie, ze względu na serca, które mu ją ofiarowały.

Szczep słowiański: Łuczanie czyli Duliby mieli dać początek Łuckowi; w X wieku podbici oni zostali przez Rusinów; to się odnosi jeszcze do dziejów bajecznych. Pe-

wniejszem jest jednak, że Włodzimierz w. ks. kijowski zbudował tu około r. 1000 zamek czyli gród warowny z drzewa i gliny, i że w r. 1073 Bolesław Śmiały go zdobył. Niedługo jednak pozostawał wtedy w ręku polskim. W XIII wieku widzimy go stolicą udzielnego księstwa ruskiego. Książ Lew, ostatni z tej dynastyi, uchodzi przed zwyciężkim orężem Gedymina, który w r. 1320 obsadza Łuck załogą litewską, przyjmując od bojarów przysięgę poddaństwa, i nadaje go swemu synowi Lubartowi. Lecz gdy Lubart z Litwą i Tatarami splondrował Mazowsze, Kazimierz W. musiał poskromić niespokojnego sąsiada, opanował jego dzielnicę w r. 1348 i zamienił go samego w lennika Polski. Pomimo względność królewską, podnosił on ciągle bunty, tak że w r. 1366 gród Łuck został mu odebrany i obsadzony załogą polską. Fiedor Lubartowicz przysięga wierność Władysławowi Jagielle w Sandomierzu w roku 1386. Litewscy więc książęta władali Wołyniem na prawie lennem, z ramienia Litwy, w czasie gdy Podole starali się Polacy zająć dla siebie ¹⁾).

Stronnictwo hussyckie dwukrotnie ofiarowało koronę czeską Władysławowi Jagielle. Duchowieństwo polskie, na czele którego stał wówczas Zbigniew Oleśnicki kardynał i biskup krakowski, przeciwne było tej kombinacyi politycznej, bojąc się, i słusznie poniekąd, odszczepieństwa od religii katolickiej króla, niedawno dopiero nawróconego z pogaństwa. Witold marząc skrycie o samoistnem panowaniu nad Litwą, z silnem stronnictwem polkiem popierał prośby Hussytów; rozległa polityka słowiańska odzywała się głośno w sercach całego narodu. Wnoszono tę ważną sprawę na zjazdach w Łęczycy i Lublinie. Hierarchia jednak kościelna wzięła na szczęście górę; dano odpowiedź Hussytom, że dopiero po pogodzeniu się z Rzymem mogą się

¹⁾ Dzieje Polski w zarysie Michała Bobrzyńskiego, wyd. 1879 r str. 199.

spodziewać przyjęcia korony przez Jagiełłę. Przyjmując ich propozycję, kto wie, co by się było stało? Litwa najpewniej nie złączyłaby się nigdy z Polską tym nierozzerwanym węzłem, który później obydwaj narody na wieki zespolił, a związek z Czechami, bardzo chwiejny i niepewny, oderwałby Polskę, a przynajmniej dynastję w niej panującą od wiary katolickiej. Polityka krajowa weszłaby więc na zupełnie inne tory, których przewidzieć niepodobna. Śmiertelnie tem jednak urażono Witolda, tego bohatera tak skłonnego do przeniewierstwa, a któremu jednak kraj przeważnie zawdzięczał swe wiekopomne zwycięstwo pod Grunwaldem. Zaczął się znowu porozumiewać z Krzyżakami, lecz gdy rycerstwo polskie w latach 1422 i 1423 odniosło nad nimi znaczne korzyści, rzucił się w objęcia cesarza rzymskiego Zygmunta, niechętnie patrzącego na wzrastającą potęgę Polski, i który solennie obiecał Witoldowi koronę litewską uwieńczyć jego skronie. Starano się w Polsce jeszcze lat parę te zamiary uniemożliwić; doszło nareszcie do walnego zjazdu w Łucku r. 1429, gdzie Witold odgrywał rolę gospodarza. Zjazd ten, jak widzimy, stanowił ważną epokę w naszej historyi. Król Władysław Jagiełło 6 stycznia przybył do Łucka z swą żoną, Zofią ks. ruską, a matką Warneńczyka i Kazimierza Jagiellończyka. Przybył też cesarz Zygmunt ze swą małżonką; przy spotkaniu się i powitaniu u bram miasta, siadł Jagiełło na sanie cesarzowej, a Witold na sanie cesarza. Przybyli również Eryk VII król duński, Wasyl Wasylewicz w. ks. moskiewski, wnuk Witolda, w. mistrz krzyżacki Rusdorf, w. mistrz inflancki Zygfryd, legat papieski, Focyusz metropolita Rusi, hanowie Perekopski i Zawoński, gospodar Wołoszczyzny, książęta: mazowiecki, lignicki, brzegski, pomorski z dynastji Piastów, kniaziowie Odojewski i Borys twerski; cesarz zaś grecki Jan Paleolog reprezentowany był przez posłów. Szlachta polska i bojarowie litewscy, mocno zainteresowani w obradach, które się tu toczyć miały, stanęli w licznym bardzo komplecie. Był to więc formalny

kongres, jakby to dziś nazwano; trwał on całe 7 tygodni i miał wielką bardzo doniosłość, gdyż dyplomacya średnio-wieczna cesarza pokrywała tajne zamiary Witolda pozorem obrad nad oparciem się grożącej potędze otomańskiej. Charakter Jagielly był bardzo chwiejny — i kto wie, czyby bez Zbigniewa Oleśnickiego, stojącego ciągle u boku króla, potrafił się być oprzeć tylu przeróżnym wpływom; lecz ten dostojnik naszego kościoła wystąpił energicznie w imieniu Polaków i na licznych zgromadzeniach przedstawił zamierzoną koronację Witolda, jako złamanie zaprzysiężonej unii, jako czyn, do którego Polska nigdy dopuścić nie może. Zdanie to przemogło; rozjechali się z zamku po siedmioletnich obradach, mocno rozjątrzeni, a Witold z silnym postanowieniem działania na przebój. Bóg czuwał widać nad Polską, przeznaczając jej pod panowaniem Jagiellonów świetną cywilizacyjną misję w Europie; nagła śmierć 80-letniego Witolda w roku 1430 uwolniła nareszcie kraj od jego niebezpiecznej zachcianki.

Postać Zbigniewa Oleśnickiego zarysowuje się więc na zjeździe łuckim w całej swej doniosłości; był to prawdziwy mąż stanu, głęboki polityk i statysta, jakich Polska później, nawet w swej kwitnącej epoce, niewielu już posiadała. W Łucku występując śmiało przeciw zamiarom Witolda, utrwalił on dzieło Jadwigi. Poświęcenie jej dla kraju, dzięki Zbigniewowi Oleśnickiemu, nie stało się bezowocnem. Niezupelnie też trafnie nazywa go Szujski pierwszym z *króli obywateli*; był to raczej *cenzor obywatel*, bo panował nad chwiejnym umysłem swego króla i despotycznie kierował jego czynnościami politycznymi: nazwać go też można pierwszym *trybunem możnowładztwa*, które później rozdzieliło kraj na tyle zgubnych stronnictw i doprowadziło go do ostatecznego upadku, ale które wtedy jeszcze, w początkach XV wieku, zdrowo zapatrywało się na politykę polską i szczerze pragnęło dobra i świetności ojczyzny.

Goście monarchiczni, goszczący w Łucku u Witolda, starali się zadziwić gospodarza wspaniałością swych ubiorów i mnogością i przepychem swych dworzan. Witold zadziwiał wszystkich zbytkownemi swemi uczty, na które podług Strykowskiemu wychodziło codziennie, oprócz piwa, wina, małmazyi i innych zagranicznych trunków, 700 beczek rodzimego litewskiego miodu, 700 wołów i jałowic karmnych, 400 baranów tuczonych, po sto żubrów, łosi i dzikich świń, i niezliczona moc przypraw i rozmaitych potrzeb do kuchni. Były to więc uczty istnie homeryczne: lecz i Łuck nie musiał być wtedy dzisiejszą lichą mieścina, jeżeli potrafił w swych murach pomieścić tylu znakomitych gości, podróżujących z ogromnemi dworami, i to w porze zimowej, kiedy trudno było obozować pod gołym niebem. Po przemówieniu Zbigniewa Oleśnickiego, Jagiełło, widząc zwaśnione umysły, wyjechał nocą bez pożegnania; cesarz bawił jeszcze dni pięć, obsypyany hojnemi dary Witolda.

Świdrygielło, gdy został wyzuty z wielkiego księstwa, dostał Łuck w podziale, i umarł nawet na tutejszym zamku w r. 1452. Jagiełło zaś obdarzył miasto prawem magdebur-
skim jeszcze w r. 1432. Częste były zatargi pomiędzy Pol-
ską a Litwą o posiadanie tego grodu wraz z Wołyniem. Pod koniec XV wieku musiało miasto ponieść strasznie gro-
zną klęskę, po której już nigdy nie wróciło do pierwotnej
światłości; klęską tą był pożar, albo może najście Tatarów,
o co wówczas bynajmniej nie było trudno: są bowiem ślady,
że król Aleksander jako w. ks. litewski, w r. 1497 *de fundo*
Łuck odbudowuje i nadaje różne przywileje na jarmarki,
na wolny hurtowny handel dla mieszczan tutejszych, z opłatą
ustanowioną dawniej dla Wilna, pozwala wystawić ratusz,
pod którym mają być postrzygalnie sukna, sklepy rzeźnicze,
piekarskie i szewskie, ustanawia powinność dla posługi
i obrony zamku ku odparciu nieprzyjaciela. W przywilejach
tych, bardzo szczegółowych i rozległych, wypada zwrócić
uwagę na pozwolenie królewskie postawienia ważnicy dla

miodu i wosku, i miejskiej woskobojni, zastrzegając, aby żaden z przybywających nie považał się mniej jak cztery kamienie wosku w jednej sztuce kupować. Sądzić z tego możemy, jak rozległy handel musiała Polska prowadzić temi produktami w XV wieku; dziś jednak zeszedł on prawie do zera. Królowa Bona sprzedała wójtostwo łuckie Iwanowi Jackiewiczowi Borzo-Bohatemu. Zygmunt August przywilejem z r. 1552, ustanawia nowe jarmarki, uwalnia mieszczan od płacenia wszelkiego myta, opłatę tylko solną i woskową uiszczając mają. W ogóle król ten bardzo był na Łuck łaskawym: przywileje jego i Stefana Batorego są najliczniejsze; dozwala się w nich pomiędzy innemi wyrabiać mieszczanom prochy ku obronie miasta. W tej to epoce kwitnął ten stary gród przemysłem, handlem i zamożnością obywateli. Oprócz zwyczajnych rzemieślników znajdowali się: złotnicy, szabelnicy, płatnerze, ślusarze, siodlarze, łucznicy, puszkarze, malarze, olsternicy, konwiarze, nożownicy, miechownicy. Zygmunt III nie zapomina o Łucku i pozwala pobierać na rzecz miasta, zniszczonego nowym pożarem, opłatę od sprzedaży smoly i dziegiu; a króliewicz Władysław, idąc na wyprawę wojenną w roku 1617, bawił tu od początku marca po 22 czerwca i odprawiał przeglądy zbierającego się wojska. Lustracya koronna z r. 1662 wymienia Samuela Leszczyńskiego wojewodzica derptskiego, jako posiadacza tu-tejszego starostwa. Po śmierci Augusta II zawiązana tu była w r. 1733 konfederacya województwa wołyńskiego, ze swym wojewodą Michałem Potockim na czele, dla poparcia wyboru Stanisława Leszczyńskiego. Wołyń wystawił wtedy 15 chorągwi w ilości 1400 koni, przeznaczając na każdego jeźdźca po złp. 400 rocznie.

Z lustracyi r. 1765 widzimy, że j. o. ks. Stanisław na księstwie Koreckim, Kalwaryi i Oleksińcu, Czartoryski lowczy w. k., był wtedy starostą grodowym łuckim i opłacał do skarbu państwa intraty złp. 18,036, a hyberny złp. 1084; a podług lustracyi z r. 1789, starostą był od r. 1771

syn jego ks. Józef Czartoryski stolnik w. ks. l., opłacając kwotę złp. 4236 gr. 16, a hyberny złp. 1000. Dziwnie więc w lat 24 zmniejszył się dochód ze starostwa łuckiego, należało doń jednak miasto Łuck z zamkiem, wsie Holeszów, Hnidawa, Swoż, Sioloswoż, Radomyśl, Suchawola i folwark Krasne. Wieś Koleczyn była uposażeniem klucznictwa łuckiego. W owym czasie zamek, choć otoczony jeszcze murami, nie był już zamieszkały; w niektórych tylko basztach mieściły się stare archiwa grodzkie, a w podziemiach więzienia dla obwinionych dekretami, osobno dla szlachty, która miała odsiadywać wieżę, a osobno dla pospólstwa. Sala sądowa, sala do ustępu i pokoje dla palestry, równie jak i archiwum podręczne, gdzie się chowały księgi ziemskie i grodzkie, z fundamentu odrestaurowane były wówczas kosztem i staraniem j. o. ks. starosty. Katedra murowana *Ritus graeco-uniti* z drewnianą rezydencją biskupów ruskich, a naprzeciw katedra *Ritus latini*, przerobiona z kościoła pojezuickiego, znajdowały się w okoleniu zamkowym; kościół zaś Brygitek stał tuż pod murem. Pierwotna katedra łacińska, zniszczona pożarem, tak, że śladu jej nawet nie pozostało, wzniesiona była z ciosowego kamienia około r. 1530, kosztem księdza Jerzego Falczewskiego biskupa łuckiego, który obok niej wymurował wygodną i piękną rezydencję dla siebie i pomieszczenie dla księży Missyonarzy, a w Torczyńcu, w dobrach biskupich wznosił wspaniałą i obronny zamek, który stał się ulubionem letniem mieszkaniem tutejszych pasterzy. Kolegium Jezuickie fundował biskup Paweł Wołucki w r. 1610. Kościół dominikański z cudownym obrazem Boga Rodzicy, darowanym przez papieża biskupowi Bernardowi Maciejowskiemu, przy nadaniu licznych odpustów, jest jednym z najstarszych w kraju, bo bo wznosili go w r. 1393 Jagiello łącznie z Witoldem. On więc jeden ze świątyń łuckich był świadkiem słynnego zjazdu z roku 1429, gdyż katedry nie przeniesiono jeszcze wtedy z Włodzimierza. Oprócz tego, zgromadzenia OO. Kar-

melitów, Trynitarzy, Bonifratrów, Bernardynów, Bazylianów, miały tam klasztory i konwenta, wzniesione ku chwale Bożej przez pobożnych fundatorów, — i był tu parafialny kościół św. Dymitra, kościół ormiański i cerkiew św. „Pokrowy“. Rzadkie więc miasto prowincjonalne mogło się pochwalić taką liczbą świątyń pańskich. Dziś, za wyjątkiem tylko katedry, wszystkie świecą smutnymi ruinami. Do tego, cośmy w poprzednim rozdziale powiedzieli o dyecezyi łuckiej, dodać winniśmy, że wedle dawnego podziału należało do niej 12 mniejszych księstw wyliczonych jak następuje: Ostrogskie, Zasławskie, Zbaraskie, Wiśniowieckie, Dubrowieckie, Koreckie, Klewańskie, Lubartowskie, Ołyckie, Poryckie, Koszyrskie i Kodeńskie. Miejscowości te przypominają nam rody dobrze zasłużone krajowi, imiona głośnie w historii. Niestety, wszystkie wygasły, a posiadłości ich przeszły w obce ręce. Sama tylko Olyka pozostaje dotąd, na prawach ordynacyi, w ręku ks. Ferdynanda Radziwiłła. Z dwunastu więc książąt, władających dobrami w obrębie dyecezyi łuckiej, potrafili się tylko ks. Radziwiłłowie utrzymać przy swej dawnej dzielnicy. Weszła ona w ich dom w roku 1544, po śmierci Jana z Ciechanowca Kiszki kasztelana wileńskiego, starosty brzeskiego, gorliwego opiekuna zborów socyniańskich na Litwie. Od tego czasu poczęli się pisać Radziwiłłowie książętami na Nieświeżu i Olyce, bo tytuł *Sacri Romani Imperii principis* nadany był w r. 1549 Mikołajowi Czarnemu marszałkowi w. l. przez cesarza Karola V, co też i Zygmunt August za zgodą stanów sejmujących w Brześciu potwierdził. Ordynacya Ołycka potwierdzoną była uchwałą sejmową z r. 1589, a pierwszym jej ordynatem był Stanisław marszałek w. l. Wspaniała ołycka kolegiata, ozdobiona marmurami, posagami i zbudowana w najpiękniejszym stylu, przypominającym kościoły krakowskie, wzniesiona była w r. 1635 pod wezwaniem św. Trójcy przez Albrychta Stanisława kanclerza w. l. Rozumie się, że nie stała w jednym roku; kilka pokoleń książęcych na nią

się składało, lecz w połowie już XVII wieku wyniesiona została na stopień infułackiego probostwa, należącego do diecezji łuckiej. Ołyka posiada dotąd niezłe zachowany zamek, zbudowany w kwadrat z basztami po rogach, okolony fossą, z orłami i trąbami Radziwiłłowskiemi na tarczy herbowej i z napisem rok 1564, świadczącym o dacie jego założenia. Wytrzymał on niejedno oblężenie, lecz załoga nadwornej książęcej milicyi potrafiła się zawsze skutecznie oprzeć i obroniła zamek od rabunku i pożogi. Dlatego też, gdy tyle innych leży w ruinach, ten tylko daje nam doskonale wyobrażenie ówczesnej warowni. Teraźniejszy ks. ordynat jedno skrzydło zamkowe, położone naprzeciw kolegiaty, zupełnie odnawia i przyrządza na mieszkanie dla siebie i rodziny, gdy przyjeżdża na Wołyń ze swych dóbr położonych w Ks. Poznańskim.

I tak, gdy jedne zabytki historyczne, staraniem ich właścicieli chronią się od ostatecznego upadku, inne nie mając nad sobą tej opieki, coraz bardziej się pochylają, rozpadają, a pozostałe po nich sterczące mury i fundamenta sprzedawane są nawet Żydom na cegłę, tak, że po latach kilkudziesięciu najskrzętniejszy szperacz i badacz przeszłości miejsca ich nawet odszukać nie potrafi. Byliśmy niedawno świadkami takiego wandalizmu, popełnianego w Ostrogu nad murami kościoła i klasztoru OO. Franciszkanów, a szczególnie nad wspaniałemi murami kolegium WW. OO. Jezuitów, którego fundatorką była w początku XVII wieku Anna z ks. Ostrogskich, małżonka Jana Karola Chodkiewicza wojewody wileńskiego, hetmana w. l. Ciało jego zabrane z pól chocimskich, pochowane było w r. 1622 w grobach kościelnych, a okazały grobowiec z szumnym napisem łacińskim, wznosić się miał ku wiekopomnej pamięci w kościele ostrogskim i świadczyć o rzeczywistych zasługach tego bohatera. Nie spodziewała się zapewne czuła jego małżonka, że pyszny ten grobowiec nie przetrwa i dwóch wieków; dziś śladu jego odszukać niepodobna, a ruiny wspaniałego ko-

ściola i kolegium nad nim wzniesionego rozbijają oskardy spekulantów, handlujących cegłą. Patrzącemu na to z prawdziwym bólem serca, przychodzi mimowoli na myśl smutne uwagi o znikomości rzeczy tego świata. Grobowiec Jana Karola Chodkiewicza w proch się rozsypał, lecz pamięć jego czynów bohaterskich zapisana jest na kartach historii krajowej.

Przed 10 jeszcze laty obchodziliśmy te mury i podziwialiśmy ich trwałość, doskonałość cegły i tynków, przepyszne ornamentacje i kolumny frontonu kościelnego, szczególnie wysoką wieżę sklepioną, gdzie się mieściło obserwatorium astronomiczne. Cały gmach klasztorny, zabudowany w kwadrat i niesłychanie obszerny, gdyż tu się mieściła jedna z czterech akademij jezuitkich, choć zupełnie opuszczony, nad podziw był jeszcze dobrze zachowany; w kościele, w salach i refektarzach widzieliśmy sami nietknięte prawie freski; wszędzie w korytarzach zachowały się całe prawie sklepienia, co dowodzi doskonałości materiałów budowlanych, używanych w owych czasach przez Jezuitów. W ogóle brakło tylko dachu, za dodaniem którego cały ten przepyszny gmach mógł być od upadku być uratowanym i z korzyścią użyty na szkoły lub gmachy sądownicze, które teraz na nowo wypada wznosić z wielkim kosztem. Jednak polakomiono się na błądą summę, ofiarowaną przez spekulantów: niemiłosiernie rozbijają oni świątynie pańskie, gdzie się nasi przodkowie modlili, a cegła, dzwoniąca i twarda jak granit, sprzedaje się teraz w Ostrogu na sklecenie nowych budynków dla sądu, seminaryum nauczycielskiego i innych domów i domków. Wyglądają one jednak przy dawnych wspaniałych pozostałych jeszcze ruinach, jak pigmejczy przy olbrzymach średniowiecznych. Daj tylko Boże, aby obydwie przepyszne baszty zamkowe i cudne ruiny prywatnej cerkwi książąt Ostrogskich, wznoszące się na urwisku, nad błoniami, gdzie Wilia wpada do Horynia, nie

wzbudziły pożądlivości spekulantów ceglanych. Są one w najczystszyin gotyckim stylu. Szczególnie ostrołukowe okna zachwycają każdego znawcę. Zagranicą zjeżdżanoby się dla oglądania tych ruin: tu zaś Boga prosimy, aby tylko o nich zapomniano.

ROZDZIAŁ IX.

RELACYA POGRZEBU

JO. Jmść Pana Adama Sieniawskiego kasztelana krakowskiego, hetmana w. k., we Lwowie i Brzeżanach w 1726 r.

spisana i ułożona ze współczesnych źródeł.

Wiadomo z historii krajowej, że Adam Mikołaj Sieniawski kasztelan krakowski i hetman wielki koronny, a zatem pierwszy senator Rzeczypospolitej, zmarł w 1726 r., nie pozostawiwszy męzkiego potomka, i że na nim kończy się ta szczytna i dobrze krajowi zasłużona gałąź potężnego rodu Leliwitów, osiadłego w województwie ruskiem i wsławionego już w końcu XV-go wieku ciągłymi walkami przeciw Tatarom. W nichto szlachta nasza wysługiwała się tak walecznie całemu Chrześcijaństwu, broniąc Europę od nawału tej dziczy, i miała ciągłą sposobność osiągnięcia najwyższych dostojęstw w kraju. Od czasu, gdy Rafał Sieniawski, pierwszy swego imienia, syn Dymitra Granowskiego kasztelana nakielskiego, ożeniwszy się około r. 1476 z ostatnią dziedziczką na Sieniawie, od tych dóbr począł zwać się Sieniawskim, widzimy w tym domu nie mało zaszczytów

i dygnitarstw, z których podczaszostwo wielkie koronne i buława polna koronna powtarzają się razy kilka, również jak i województwo ruskie i wołyńskie i najwyższe krzesło w senacie. Dwóch zaś Sieniawskich: Mikołaj wojewoda ruski, w połowie XVI-go wieku, i ostatni z rodu Adam Mikołaj kasztelan krakowski, piastował buławę wielką koronną. Hieronim Adam starosta lwowski, pisarz wielki koronny, odziedziczywszy po swej matce, Annie Eufrozynie, córce Aleksandra Chodkiewicza wojewody trockiego, ogromne dobra na Litwie, a raczej na Białej Rusi, w dzisiejszej gubernii mohylewskiej, zaczął się pisać w pierwszej połowie XVII wieku hrabią na Szkwowie i Myszy, tak, jak się jego przodkowie od początku pisali z Granowa, dóbr położonych w dawnem województwie braclawskim.

Nie mamy tu bynajmniej na myśli szczegółowo rozbiierać życie Adama Mikołaja Sieniawskiego, który po śmierci Jana III, będąc wojewodą belzkim, należał do partyi francuskiej, to jest trzymał z prymasem stronę księcia de Conti. Później jednak, w marcu 1698 r. złożył hołd Augustowi elektorowi saskiemu, i od tego już czasu liczył się jego stronnikiem i sługą. Źle natem nie wyszedł, bo król obdarzał go najwyższemi zaszczytami i dostojenstwami. Po śmierci Szezęsnego Potockiego, mianował go zaraz hetmanem polnym koronnym. Jakby wywdzięczając się za to dobrodziejstwo, opuszcza Sieniawski stronnictwo króla, wprowadzie na krótko, bo widzimy go biorącego czynny udział w konfederacyi sandomierskiej, stojącej przy Sasie i garnącej się pod opiekę Piotra W. Augustowi II-mu zależało bardzo na tem, aby przywiązać do siebie nazawsze tego możnego i dumnego pana. W r. 1706 konferuje mu najwyższe krzesło w senacie, to jest kasztelanią krakowską i buławę wielką koronną. Jednak nie zadowolilo to niepomernej ambicyi Sieniawskiego; po pokoju altransztadzkiem i przymusowej abdykacyi Augusta II, nie stanął szczerze ani po stronie Stanisława Leszczyńskiego, ani po stronie swego dawnego króla i prawdziwego do-

broczyńcy. Powiadają, że zbliżył się wtedy bardzo do Piotra W. i zamyślał o koronie dla siebie. Zapewne marzył, że skoro mógł ją otrzymać Leszczyński z rąk króla szwedzkiego, nieprzyjaciela Polski, to dlaczego nie mogłaby się stać udziałem pana krakowskiego i hetmana wielkiego koronnego, ofiarowana mu przez alianta Rzeczypospolitej, Piotra W. To najlepiej daje miarę jego charakteru. Po bitwie połtawskiej i zupełnym upadku sprawy Leszczyńskiego, zamiast poskramiać uciski wywołane w kraju przez wojska saskie, do czego, piastując godność hetmańską, był poniekąd obowiązany, — używał spokojnie dostatków w swych licznych rezydencyach. Trzymał się pozornie strony Augusta II, lecz nie przestawał około roku 1713 burzyć województw małopolskich, po czem wkrótce wywiązała się konfederacya tarnogrodzka. Nie należał wszelakoż do niej, i są nawet ślady, że w r. 1716 dostał się był w niewolę konfederatów; rychło z niej wypuszczony, oddał się pokojowi domowemu i uległ wszechwładnemu wpływowi swej małżonki, Elżbiety Lubomirskiej, córki Stanisława marszałka wielkiego koronnego, pani niepomiernej ambitnej. Jedyłą jego successorką była córka Zofia, poślubiona *primo voto* Denhoffowi wojewodzie połockiemu, hetmanowi polnemu W. K. L., a *secundo* księciu Augustowi Czartoryskiemu wojewodzie ruskiemu, przez co ogromne dobra Sieniawskich przeszły w dom książąt Czartoryskich i podniosły jego znaczenie i potęgę w narodzie.

Widzimy więc ztąd, że Adam Sieniawski nie odznaczał się bynajmniej głośniami czynami rycerskimi, ani nawet wielką cnotą obywatelską, bo nadzwyczaj wygórowana jego duma i ambicya, doradzały mu często przerzucać się na stronę silniejszego; życie więc jego nie zasługuje na bezwarunkowe pochwały. Obecnie, gdy tyle prac podjęto na polu historii ojczyznej, gdy tyle dzieł świeżo wyszłych pozwala nam rozpatrzyć się w naszej przeszłości, powinniśmy na nią trzeźwiej się zapatrywać, nie chwalić bezwzględnie wszystkiego, co do niej należy; przeciwnie, odkrywając tajniki

zeszłych pokoleń, szukać w nich zbawiennej nauki dla siebie i silniejsi doświadczeniem, unikać tego, czem niestety przodkowie nasi tak ciężko grzeszyli, a najbardziej brzydzić się prywatą i widokami osobistemi, które ich nieraz fatalnie zaślepiły. Zarzucić im nie można, żeby swego kraju nie kochali; ale kochali go po swojemu, niezdolni poświęcić najwznioślejszej idei celów prywatnych rodu swego. Można- władztwo górowało przedewszystkiem i tamowało nieraz wprowadzenie najzbawienniejszych reform, których doniosłość zapewne pojmowano. Kilkunastu magnatów, którzy rozporządzali niesłychanemi bogactwami, utrzymując dwory królewskie i otaczając się liczną klientelą ze szlachty zupełnie od nich zależnej, trzęśli całym krajem, podzielonym na ich stronnictwa osobiste. Jednym z takich dworów była rezydencya brzeżańska pana hetmana wielkiego koronnego. Skutkiem i wynikiem tej smutnej epoki był sejm pacyfikacyjny, czyli niemy w r. 1717, który godnie zapieczętował straszną anarchię, wywołaną najazdem Szwedów. Dopiero ostatnie dwa dziesięciolecia XVIII wieku potrafiły wydać ze swego łona kilku mężów, szczerze przejętych dobrem kraju. Okoliczności im jednak nie sprzyjały, — było może już za późno; szlachetne ich popędy speszły na niczem. Ponieważ nie mamy tu na myśli przeprowadzenia traktatu naukowego, zostawiamy czytelnikom samym badanie przyczyn w różnych dziełach historycznych, których w ostatnich czasach tak wiele się zjawilo w naszej literaturze; my zaś, mając pod ręką rękopism spóczesny, poprzestaniemy na podaniu kilku dość ciekawych szczegółów o pogrzebie Adama Mikołaja Sieniawskiego, odbytem najprzód we Lwowie, a następnie w kościele i zamku brzeżańskim, gdzie te prześwietne zwłoki złożono do grobów rodzinnych. Żałobne te uroczystości, odbyte z niesłychanym kosztem i przepychem, odznaczają się jednym bardzo ciekawym aktem, który już dziś zupełnie poszedł w zapomnienie. Na trumnie pana hetmana wielkiego koronnego, jako ostatniego z rodu, kruszono insygnia wo-

jenne i tarczę herbową. Był przy tem zachowany osobny ceremonial, dzisiaj zapewne nikomu nieznanym; nie od rzeczy go więc będzie zachować dla pamięci tych, którzy się interesują dawnymi naszymi zwyczajami. Przekonać się przy tem można, z jakim to przepychem odbywano podobne obrzędy, — krocie na to pękały. Wprawdzie oddawano ostatnią posługę pierwszemu senatorowi Rzeczypospolitej i jednemu z najbogatszych panów w Polsce; pozostała więc wdowa i zięć, pan hetman polny litewski, niczego nie szczydzili. Robiło się wiele dla dumy i oka ludzkiego, lecz nie przepomniano o ubogich i o duszy zmarłego, za spokój której fundowano wszędzie niezliczone msze święte. Bezwzględnie więc ganić wszystkiego nie można; gdyż lubo wiele rzeczy nie zgadza się z dzisiejszemi naszymi pojęciami, była jednak piękna religijna i wysoce chrześcijańska idea w tej magnackiej prozopopei, jeśli z niej słudzy ołtarza, a szczególnie ubodzy znajdowali sowite jałmużny i szczerze zapomogi na przyszłość.

Przystąpmy więc do samego opisu, który, o ile możności, streszczamy, zachowując mu wszelkie cechy owoczesne.

J. O. JMśc P. Adam Mikołaj z Granowa Sieniawski, hrabia na Szklowie i Myszy, kasztelan krakowski i hetman wiel. koron., lwowski generalny, rohatyński, lubaczowski, stryjski, piaseczyński etc. starosta, piastujący buławę wielką koronną przez lat 20, a przedtem polną przez lat 5, opatrzonej ŚŚ. Sakramentami, we Lwowie, na Niższym Zamku, 10 lutego 1726 r. dokonał skołatanego i pełnego chwały żywota. Małżonka jego, Elżbieta z księżąt Lubomirskich, choć sama mocno stroskana i niedomagająca, wydała w pierwszej chwili rozporządzenie, o przybraniu ciała swego pana i męża w złotogłów i złożeniu go w dolnej sali zamkowej, na wysokim aksamitnym katafalku, przy którym umieszczono insygnia hetmańskie, buławę, szablę i order królewski. Codziennie odprawiano przy zwłokach na zamku po sto kilkadziesiąt mszy świętych, równie jak i egzekwie i wigilie żałobne.

Ubody dostawali każdego ranku po kilkaset złotych, a po kilka tysięcy odsyłano codziennie do każdego konwentu i klasztoru, tak w mieście Lwowie, jak i na przedmieściach, na msze św. za spokój duszy zmarłego.

Na dzień 23 marca 1726 r. naznaczone było wyprowadzenie ciała, czyli eksportacya z zamku lwowskiego do Brzeżan, dla deponowania go w tamecznej kaplicy zamkowej, w grobach sławnych antenatów zmarłego. Zjazd na ten obrząd żałobny Ich Mość panów senatorów, dygnitarzy, urzędników ziemskich i szlachty był niesłychany. Ściągnięto do Lwowa niektóre chorągwie: usarskie, pancerne, lekkie, regimenta dragońskie i piesze z ich armatami. WW. OO. Jezuiti lwowscy, obdarowani przez samą J. O. Jejmość Panią Krakowską summą kilkudziesięciu tysięcy i otrzymawszy w swoim czasie, wedle ostatniej dyspozycyi JMści Pana Krakowskiego, okrągłych dwakroć sto tysięcy, na intencyą pożądanego uspokojenia się z koroną szwedzką i uczynienia finalnego traktatu pomiędzy Rzeczpospolitą Polską i Szwedami, wystąpili dnia tego pierwsi w swym kościele z solennymi egzekwiami, gdzie herbowy klejnot domu Sieniawskich otoczony klejnotami domów skoligaconych, przedstawiał się w misternej i dowcipnej illuminacyi. O godzinie 5-tej z południa nastąpiło samo wyprowadzenie zwłok z pokojów Niższego Zamku lwowskiego, przyczem JMśc X. Jezuita Muchowski, kaznodzieja archikatedry lwowskiej, z bogato przybranej u wejścia zamkowego w czarny aksamit wysokiej katedry, żegnał w imieniu zmarłego progi domowe i swą elokwencyą wszystkich do płaczu pobudził. Pan hetman polny litewski Denhoff, zięć zmarłego, z innymi senatorami i pułkownikami wojska koronnego, znieśli na swych barkach bogatą trumnę misternej roboty, obitą złotogłowiem i wielkimi srebrnymi galonami, którą ustawili na wysokim katafalku, wzniesionym na nader kosztownym wozie, czyli karawanie, wspaniale udrapowanym do samej ziemi ponsowym aksamitem, szamerowanym szczerozłotym szerokim

galonem. Ciągnęło go ośm nadzwyczaj rośliych i dzielnych koni, powożonych przez stangreta i trzech forysiów w sutej aksamitnej, odpowiedniej liberyi; konie przybrane były w pióropusze, czyli kity, i w faldowane kapy z takiegoż aksamitu. Na trumnie ustawiono wielki srebrny krucyfiks i insygnia hetmańskie, wyżej wspomniane. Buńczuczny hetmański towarzysz jego usarski, JMépan Kraiński lowczy sieradzki, jechał z boku w pełnej zbroi ze schylonym buńczukiem na znak żałoby, a obok niego postępowało rzędem siedm dzielnych koni wierzchowych pod kitami i buńczukami, z siedzeniem nadzwyczaj bogatem, staroświecką modą z koncerzami i rzędami szczerozłotemi, dyamentami i innemi bogatemi kamieniami suto sadzonymi. Gdy się po egzorcie O. Muchowskiego cały ten kondukt uszykował na dziedzińcu zamkowym, ruszyły naprzód chorągwie lekkiej przedniej straży, za niemi regiment dragonii ś. p. pana hetmana wielkiego koronnego, ozdobnie umundurowany, z oznakami żałobnemi, to jest tuwalniami długimi na kapeluszach i kapuzach grenadyerskich, regiment pieszy w takimże porządku, chorągiew janczarska hetmańska, piechota semeńska i kurucka ¹⁾.

W niedalekim odstepie, pod zwierzchniem dowództwem JMP. Kalinowskiego kasztelana kamienieckiego, pułkownika chorągwi usarskiej ś. p. JMP. Krakowskiego, postępowały: chorągiew usarska hetmańska i druga usarska JMP. Chomentowskiego wojewody mazowieckiego, i kilkanaście chorągwi pancernych. Wszystkie one były bardzo liczne i dobrze okryte, szczególnie chorągiew JMPana wojewody połockiego, hetmana polnego W. Ks. L. (Stanisława Denhoffa). Chorągiew JMPana Jabłonowskiego starosty białocerkiewskiego i trzecia JMPana Załuskiego starosty rawskiego,

¹⁾ Zdaje się, że pod nazwą piechoty semeńskiej rozumiał autor spóczesnego rękopismu spieszonych {Kozaków} ukraińskich, a piechoty kuruckiej — Wołochów.

Usarya w półkirysach z kopiami i ze skrzydłami z orlich piór, pacholey nawet, czyli pocztowi, według dawnego zwyczaju, siedzieli na bardzo pięknych i roslých koniach, nie mówiąc już o towarzyszach, pod którymi były przepyszne wierzchowce krwi orientalnej; towarzysze pancerni z sahadakami, szeregowi w pancerzach z dzidami, porządnie umundurowani, przy pistoletach i w licznym bardzo kompucie. Rozległ się marsz żałobny przy dźwięku trąb, surm i kotłów wojennych, oddający naczelnemu wodzowi *ultimum vale*, przy salwie z dwudziestu kilku armat, grzmiących z wałów miejskich.

Za wojskiem postępowały cechy ze swemi chorągiewami, magistrat miasta Lwowa, wszysey ze świecami, których rozdano dnia tego z górą kilkanaście tysięcy, następnie duchowieństwo obudwóch obrządków, *clerus utriusque ritus*, wszystkie klasztory i konwenty z miasta i przedmieść lwowskich. JMśc ksiądz Skarbek arcybiskup metropolitalny lwowski, ze swym suffraganem JMśc księdzem biskupem Jelowickim, szli pieszo przed samem ciałem, otoczeni prałatami, kanonikami i bardzo liczmem duchowieństwem, nietylko lwowskiem, ale i przyjezdnem z innych kościołów tutejszej archidyecezyi. Akademia Societatis Jesu pożegnała przed swym gmachem bardzo wymowną egzortą szczególnego swego dobroczyńcę, udającego się na ostatni spoczynek. Za samą trumną postępowali: wojewoda połocki, zięć dostojnego zmarłego, i wojewodowie: ruski, podolski, smoleński, czernichowski i łęczycki, pięciu kasztelanów i niezmierna liczba urzędników ziemskich, oficerów wojskowych, szlachty, dworskiej asystencyi i kilkanaście tysięcy mieszczan i pospólstwa, zalegającego wszystkie ulice miasta do tego stopnia, że kondukt żałobny, który wyruszył o godzinie 5-tej z południa z Zamku Niższego, stanął ledwie o 3-ciej z północy w kościółku św. Piotra na przedmieściu gliniańskim, gdzie też ciało do następnego dnia złożono; poczem miał mowę wielce pobożny kapłan, bernardyn Olejowski, kapelan prywatny hetmański, przemawiający z serca przepelnionego prawdziwym żalem.

Nazajutrz tedy poprowadzono ciało dalej do Brzeżan, ale uż *privatissime* w asystencyi konwentów: OO. Bernardynów, Reformatów i Kapucynów, pod eskortą wojskową, złożoną z usaryi, pancernych i lekkich chorągwi, jako też piechoty i dragonii, w osobnej, na to urządzonej, karecie żałobnej, w której umieszczono trumnę.

Sama JO. JMśc Pani Krakowska, ani jej córka, JMśc pani hetmanowa polna litewska, dla słabości zdrowia i wielkiego żalu, nie asystowały przy tej smutnej ceremonii; lecz pewnem jest, jak o tem podskarbowie z różnych dóbr zaświadczają, że obie te dostojne panie rozdały w tym czasie na msze święte, egzekwie i wigilie żałobne po wszystkich konwentach, rozrzuconych po całej Polsce, około trzechkroć stu tysięcy złotych. Modlono się też wszędzie za spokój duszy ostatniego z Sieniawskich.

Dnia 29 lipca tegoż 1727 r., a zatem w półszosta miesiąca po zgonie, ledwo zaś w cztery po solennej eksportacyi, nastąpił dopiero w Brzeżanach solenny pogrzeb Pana Krakowskiego, hetmana wielkiego koronnego. Potrzeba widać było czasu dla przyzwoitego przygotowania się do tego uroczystego obrzędu i sproszenia licznych gości ze wszystkich krańców Rzeczypospolitej, gdyż w Brzeżanach roztoczono jeszcze większy przepych, niż przy wyprowadzeniu zwłok ze Lwowa. Rękopis, który mamy przed sobą, opisuje w najdrobniejszych szczegółach bogactwo katafalka, przybranie kościoła, ornamenta alegoryczne i t. p.; nie będziemy tem nużyć czytelników, lecz wspomnieć należy, że kilkopiętrowy katafalk udrapowany był aksamitem karmazynowym i suto bramowany szczerozłotemi galonami; wszędzie powtarzały się gwiazdy i półksiężyce, jako godła herbowego klejnotu Leliwy; na nich, obróconych do góry rogami, wspierała się trumna obita złotogłowiem; przy czterech kolumnach, podtrzymujących tę prawdziwie architektoniczną budowę, widać było różne postacie mitologiczne, jak: Marsa, Herkulesa,

Centaura, Atlasa i inne, oraz trofea Marsa i Bellony. Z obu-
dwóch stron trumny stały portrety ze szczerego srebra na-
turalnej wielkości, przedstawiające *veram effigiem* ś. p. JMści
pana hetmana, nawet u samego kościelnego sufitu, wsparte
na półksiężycach i gwiazdach herbowych, unosiło się także
jego wyobrażenie na koniu w pełnym rynsztunku. Na po-
stumencie pod trumną umieszczone były buława i buńczuk
hetmański, a na nich szabla, order królewski i ogromny
szczerozłoty krucyfiks. Cały kościół obity był kirem i płonął
aż pod górne sklepienie rześistym ogniem, formując dziwną
illuminacją, odtwarzającą postacie alegoryczne, świetne
czyny zmarłego i jego godło herbowe, po tysiąc razy wszę-
dzie powtarzane. Świec jarzących gorzało z górą dwadzie-
ścia tysięcy, tak, iż od wielkiego gorąca same z siebie to-
pniały. Obrazy kościelne zastąpiono portretami przodków
zmarłego po mieczu i po kądzieli, chcąc przypomnieć światu
jego świetną parentelę, wszystko, rozumie się, z szumnemi
łacińskimi alegorycznemi napisami.

Sam akt pogrzebu trwał trzy dni. Z porządku rzeczy
celebrował JMśc ks. arcybiskup lwowski w asystencyi swego
suffragana wyżej wspomnianego, oraz biskupów: chełmskiego
Felixsa Szaniawskiego, kijowskiego Samuela Oźgi, kamie-
nieckiego Stanisława Hoziusza, łuckiego Stefana Rupniew-
skiego, władyków, czyli biskupów obrządku ruskiego: lwow-
skiego Barlaama Szeptyckiego, i przemyskiego Jerzego Win-
nickiego; wszysej ze swymi prałatami i kanonikami, oto-
czeni niesłychanie licznym klerem, tak, że księży i zakonni-
ków liczono z górą półtora tysiąca. Wszystkie zakony, jakie
tylko ta część kraju posiadała, tak hojnie udarowane z tego
powodu przez familią zmarłego, nie omieszkały stawić się
w komplecie swych konwentów. Widzimy więc OO. Jezuitów,
Dominikanów, Bernardynów, Trynitarzy, Kapucynów, Re-
formatów, Paulinów, Franciszkanów, Missyonarzy, Pijarów,
XX. Bazylianów *ritus graeci*, którzy oddawali ostatnią po-
sługę ś. p. panu hetmanowi.

Z dostojnych gości wymienia rękopis dwóch książąt Wiśniowieckich, Janusza wojewodę krakowskiego, który po zmarłym wstąpił na wakującą kasztelanią krakowską, i Michała kanclerza W. Ks. L., Józefa Potockiego wojewodę kijowskiego z żoną, Jana Jabłonowskiego wojewodę ruskiego z JMścią panią wojewodzina i JMścią panną wojewodzianką ruską, Stefana Potockiego wojewodę belzkiego, Michała Potockiego wojewodę wołyńskiego, Jerzego Warszyckiego herbu Abdank, wojewodę łęczyckiego, Adama Rzewuskiego kasztelana podlaskiego, Lanckorońskiego starostę stobnickiego, Piotra Potockiego wojewodę czernihowskiego, Franciszka Cetnera wojewodę smoleńskiego, Stefana Humieckiego wojewodę podolskiego, i wielu innych senatorów, dygnitarzy koronnych, urzędników ziemskich i zacnie urodzonej szlachty, zamieszkałych w ziemiach ruskich, którzy się tłumnie zebrali dla oddania ostatniej posługi zmarłemu możnowładcy. Rozumie się, że kwiat rycerstwa polskiego *utriusque autoramenti*, to jest: generałowie, regimentarze, rotmistrze, porucznicy i inni wyższej i niższej szarży oficerowie stanęli w licznym komplecie obok trumny swego naczelnego wodza. Rolę gospodarza spełniał zięć Pana Krakowskiego, JMśc pan hetman polny litewski, zastępował on Panią Krakowską w sutem podejmowaniu gości na zamku; obiedwie zaś dostojne panie, to jest matka i córka, JMśc pani Denhoffowa, dla wielkiego żalu nie mogły być obecne, i rozłożyły swój dwór pod namiotem na folwarku nieodległym od Brzeżan, gdzie czas trawiły na modlitwie i gdzie się jedna po drugiej msze żałobne odprawiały.

Przez wszystkie trzy dni od samego rana śpiewali egzekwie sami zakonnicy różnych konwentów, msze święte zaś jedna po drugiej odprawiały się bezustannie u wszystkich ołtarzy. Summę żałobną celebrował ostatniego dnia JMśc ks. arcybiskup lwowski przy asystencyi siedmiu biskupów i władyków obudwu obrządków, otoczony nadzwyczaj licznem duchowieństwem. Po summie wystąpił ksiądz

Wolski Soc. Jesu z kazaniem panegirycznym, starannie napisanem, pełnem pochwał o dostojności rodu i herbu Sieniawskich, opierając go na temacie łacińskim: *Luna tua non minuetur ultra*; poczem nastąpił solenny kondukt, prowadzony przez całe duchowieństwo, przy śpiewach kościelnych i odgłosie wojskowej kapeli. Nastąpiła chwila najuroczystsza, — wszyscy oczekiwali jej z ciekawością; rzadko bowiem zdarzało się komu być obecnym przy podobnym obrzędzie. Ś. p. hetman był ostatnim swego rodu, na nim zgasł dom Sieniawskich, od lat tyłu potężny w narodzie. Jego więc klejnot herbowy i insygnia wojenne wypadało skruszyć na trumnie. Widok więc był niepospolity i zaciekawiał każdego. Wybrani z rycerstwa usarskich i pancernych poważnych znaków, w pełnej zbroi, jeden za drugim wpadali na dzielnych koniach wschodnich w całym pędzie do kościoła i kruszyli strzały, dzidy, buńczuki, szable, usarya zaś swe kopije, poczem składali na trumnie chorągwie, rzucali pod nią buńczuki, sztandary, szable, szpady, piki i inne insygnia wojenne, tak, że przed katafalkiem uformował się z nich wysoki wzgórek, zakrywający całkowicie trumnę, w której spoczywały zwłoki. Role przy tym obrzędzie były najprzód ordynowane od komendy wojskowej; dobijano się o nie, jako o zaszczyt, bo była sposobność odznaczenia się dzielnością konia, pięknnością i bogactwem zbroi, a zresztą własną zręcznością, i tak:

Od znaków poważnych:

buławę kruszył JMP. Kalinowski kasztelan kamieniecki, pułkownik usarski;

kopiję — JMP. Gumowski chorąży sanocki, regimentarz;

chorągiew pancerną rzucił JMP. Humiecki starosta horodelski, chorąży pancerny;

buńczuk kruszył JMP. Kraiński łowczy sieradzki, buńczuczny hetmański;

szablę — JMP. Kumanowski cześnik podolski, towarzyszył pancerny;

dzidę — JMP. Piotr Borejko porucznik pancerny ;
strzały rzucił JMP. Borejko młodszy, towarzysz pan-
cerny hetmański.

Od wojska cudzoziemskiego autoramentu :
regiment alias komendę kruszył JMP. Granowski generał ;
szpadę — JMP. oberszteljtant Bertrand ;
sztandar dragoński złamał JMP. oberszteljtant Kru-
piński ;

pikę od piechoty złamał JMP. Tulian pułkownik , ko-
mendant lwowski.

Poczem dopiero wystąpił książę Janusz Wiśniowiecki,
wojewoda krakowski, krewny i kolligat zmarłego, i skruszył
tarczę z herbowym klejnotem *Leliwy*.

Na zakończenie nareszcie JMP. generał Granowski,
wjeżdżając powoli na koniu, w pełnej zbroi, przez środek
kościół, przy odgłosie żałobnego marsza, odegranego przez
kapelę wojskową, złożoną z trąb, surm i kołków wojennych,
w imieniu wojska złożył szpadę *in spolium* zmarłemu naczel-
nemu wodzowi.

Towarzystwo usarskie i pancerne, odbywające w peł-
nej zbroi straż honorową przy katafalku, zmieniające się
nieustannie przez te półtrzeciej doby, rzuciło się wtedy do
niesienia trumny na swych barkach. W chwili, gdy ciało
podnoszono, dragonie, infanterya, chorągiew janczarska het-
mańska, dały ognia z ręcznej strzelby i uderzono pierwszą
salwę z armat; druga salwa nastąpiła przy wyprowadzeniu
zwłok z kościoła i umieszczeniu ich na karawanie podobnym,
jak przy eksportacyi we Lwowie, z tą tylko różnicą, że
otaczało go 48 dworzan, przybranych w ponsowe aksamitne
kapy ze złotem szamerunkiem, ze świecami jarzącemi w rę-
ku. Wtedy wystąpił JMP. wojewoda ruski z kondolencyą
do krewnych i przyjaciół, nie szczędząc naturalnie pochwał
zmarłemu. Uformowała się niesłychanie długa processya, pro-
wadząca zwłoki na zamek brzeżański, gdzie się znajdowały
groby rodzinne Sieniawskich. Processya ta składała się z za-

konników wszystkich konwentów, duchowieństwa i księży obudwu obrządków, idących po dwunastu frontem, cechów miejskich, wszystkich chorągwi, znaków poważnych i wojska cudzoziemskiego zaciągu, jako też i poddaństwa wszystkich włości brzeżańskich i innych bliższych dóbr ś. p. hetmana. Krewni, magnaci i dygnitarze szli pieszo tuż za ciałem, a cały ten ogromny kondukt zamykała infanterya regimentu pieszego i piechota semeńska. Przed bramą wałową dano trzecią salwę, a czwartą, gdy wjeżdżano na zamek. Tu sprawiono szyk wojskowy: usarya i pancerni stanęli po prawej stronie, a reszta wojska zamknęła sobą strony regularnego czworoboku.

Towarzysze usarscy ś. p. hetmana zeskoczyli z koni i rzucili się do niesienia trumny, która gdy się równała z drugą bramą zamkową, rozległa się piąta salwa; poczem uformował się już pieszy kondukt do wprowadzenia zwłok do małej kaplicy zamkowej, wzniesionej nad grobowcami domu Sieniawskich, zbyt szczupłej, aby pomieścić wszystkich obecnych. U jej podwojów miał mowę JMśc wojewoda, a teraz z łaski N. Pana kasztelan krakowski, dziękując wszystkim przytomnym i krewnym za oddanie chrześcijańskiej posługi jego dostojnemu poprzednikowi na tem pierwszym krześle naszego senatu. A gdy przy śpiewaniu przez duchowieństwo psalmu *Salve Regina*, a przez wszystkich obecnych ostatniej części modlitwy za zmarłych *Anioł Pański* etc. spuszczone ciało do grobu obitego czarnym aksamitem, rozległa się ostatnia, najgłośniejsza salwa, zakończając tę żalobną uroczystość, którą w kościele brzeżańskim konkludował nazajutrz summą żalobną JMśc ksiądz Feliks Szaniawski biskup chełmski, a wymownem kazaniem JMśc ks. Legucki S. J.

JMP. wojewoda połocki, Stanisław Denhoff hetman polny W. Ks. L. wszystkich gości przytomnych częstował *lautissime* w zamku brzeżańskim, przyczem rozdawano obfite jałmużny księżom, konwentom i ubogim.

I tak podług słów panegiryku przed chwilą wygłoszonego przez księdza Wolskiego, — dostojny senator, wódz wiekopomnej sławy, dobroczyńca ubogich etc. etc. spoczął na wieki obok prześwietnych antenatów swoich!! Ze wszystkich pochwał tak szczodrze i często powtarzanych, ostatnia niezaprzeczenie mu się należała, bo jałmużny rozdane ubogim, ofiary na różne konwenty i klasztory rozrzucone po całej Polsce, fundacye na msze święte za spokój jego duszy, wynoszą, jak widzimy, bardzo znaczną summę. Ofiarność więc ta, odrzuciwszy dumną myśl, która nią zapewne kierowała, jest nader chwalebna i religijna. Rządzili się nią w ogóle nasi magnaci w owej epoce: bez niej bowiem zgromadzenia duchowne, tak liczne w naszym kraju, nie mogłyby egzystować. Ale ileż to pieniędzy wyrzucono dla próżnej ostentacyi? W czasie, kiedy kraj był zniszczony świeżym najazdem szwedzkim, kiedy skarb był pusty, i kiedy po rozwiązaniu konfederacyi tarnogrodzkiej i po ustąpieniu wojsk saskich uchwalono *maximum* wojska koronnego na 18,000, a litewskiego na 6,000: kraj więc był otwarty i tak dobrze jak bez obrony. Oblężenie Kamieńca zaprzysiężone przez Augusta II w paktach konwentach, spełzło na niczem, i posłużyło tylko za pozór do wprowadzenia wojsk saskich do Polski: bo wojska polskie i saskie zamiast iść oblegać twierdzę, wróconą nam dopiero na mocy pokoju karłowickiego, rozpoczęły w obozie pomiędzy Lwowem i Brzeżanami, gdzie w kilkanaście lat później z taką pompą i ostentacyą grzebano ich dziedzica, groźne z sobą zatargi. Dziedzie ten był jednak wówczas hetmanem wielkim koronnym; to jest naczelnym wodzem wojska polskiego; władza hetmańska nie była wtedy jeszcze tak uszczuploną, jak za panowania Stanisława Augusta. Gdyby pan hetman szczerze chciał, mógłby w zarodku ukrócić te nieporządki; nie decydował się jednak na to, powodowany, jak widać, przez osobistą politykę swego domu. Sasi więc choć Kamieńca nie oblegali, pozostali w Polsce i gnębili spokojnych mieszkań-

ców kraju. Zestawienie tych przepysznych i kosztownych uroczystości żałobnych, z wewnętrznem położeniem kraju, naprowadza na bardzo smutną uwagę. Powtarzano wtedy często, i stało się to jakby hasłem ogólnem: „że Polska nierządem stoi.“ Wiemy niestety, do czego ten nierząd i to hasło nas doprowadziły w niespełna lat siedmdziesiąt. Był wówczas jednak jeszcze czas do opamiętania się; ale możnowładztwo, którego tu jeden z epizodów skreśliliśmy, stanęło wszystkiemu na przeszkodzie.

ROZDZIAŁ X.

DYARYUSZ WESELA

JW. Stanisława Denhoffa wojewody połockiego, hetmana polnego W. Ks. L., z JO. Imćpanną Zofią Sieniawską kasztelanką krakowską, hetmanówną w. k., odbytego we Lwowie 30 Julii 1724 r.

spisany i ułożony ze spóczesnych źródeł.

Poznawszy z poprzedniego opisu charakter Adama Sieniawskiego kasztelana krakowskiego i hetmana w. k., którego pogrzyb o ile możności najwierniej oddaliśmy ze współczesnego rękopisu, korzystamy z podobnego źródła dla odtworzenia opisu wesela Zofii, córki jego jedynaczki, gdy w r. 1724 wydawał ją ojciec za Stanisława Denhoffa wojewodę połockiego i hetmana polnego W. Ks. L. Sądząc z tego, co mówiliśmy poprzednio o Panu Krakowskim, jak wtedy pospolicie Adama Sieniawskiego tytułowano, łatwo się domyśleć, że ten dumny możnowładzca, tak dbały o wielkość i potęgę swego rodu, wybierze dla swej jedynaczki magnata i dygnitarza wysoce urodzonego, jednym słowem: familianta, należącego do tej samej partyi, na czele której on zostawał. Wybór jego padł na Stanisława Denhoffa. Wiedział bowiem, że jemu wraz z ręką swej córki przekazywał

niesłychane bogactwa i nadzwyczaj rozległe posiadłości, rozrzucone po wszystkich częściach Rzeczypospolitej, i że nie mając potomka płci męskiej, jemu też powierzyć musiał przywództwo swej partyi. Nie sądził zapewne, wyprawiając dla państwa młodych w 1724 roku tak huczne i uroczyste gody, że w niespełna lat parę sam przeniesie się do wieczności, i że ukochana jego Zofia już w 1728 r. przywdzieje czepiec wdowi.

Najbardziej nie przypuszczał wtedy dumny Pan Krakowski, że po skończonej żałobie córka jego, która tem samem stała się znowu pierwszą partją w kraju, odda swą rękę księciu Augustowi Czartoryskiemu wojewodzie ruskiemu, i że ta ogromna spuścizna Sieniawskich stanie się głównym szczeblem potęgi i znaczenia Czartoryskich, z którymi Pan Krakowski nigdy politycznie się nie godził, był bowiem wręcz przeciwny ich widokom i dążnościom: bo gdy Adam Sieniawski po przymusowej abdykacyi Augusta II, marząc nawet o koronie dla siebie, był najgorętszym zwolennikiem wolnej elekcyi; familia, czyli partya Czartoryskich, wzbogacona później jego ogromną successją, głośno popierała nienarodową zasadę dziedziczości korony. Była to teoria spóźniona dla kraju, — trzeba ją było dawniej w życie energicznie wprowadzić, unikłoby się wiele klęsk, a może i ostatecznego upadku.

Familia zaś, silna swemi bogactwy, pochodzącą ztąd przewagą w narodzie już zepsutym, a szczególnie nadzwyczajną karnością swych członków, przeprowadzała energicznie tę zasadę wtedy, gdy jeden z jej krewnych zasiadł na tronie Bolesławów, Kazimierzów i Batorych, i śmiało stanęła do walki z najpotężniejszymi rodzinami w kraju. Dla możnowładców naszych, opływających w dostatkach, którzy już wszystkiego zakosztowali, dla których żadna władza ani dygnitarstwo nie miało już powabu, którzy rzeczywiście rządili krajem, jedna tylko korona przedstawiała jeszcze niejaki urok, tem bardziej, że od czasów wolnej elekcyi

trzech ze swoich udało się im osadzić na tronie Piastów. Nieludzka to rzecz tak prędko i od razu wyzuć się ze swych marzeń, które się całe życie w piersi nosiło. Familia mogła mieć najszlachetniejsze cele dla dobra kraju, — temu bynajmniej nie zaprzeczamy, — ale dlatego, właśnie, że te cele nie były popularne pomiędzy panami i szlachtą, z których każdy niby to do tronu się rodził: więc nie przysły do skutku, — przeciwnie, stały się powodem długoletnich targów, które każdemu wiadome z historii.

Ród Denhoffów, chociaż zupełnie spolszczały, był, jak samo brzmienie nazwiska wskazuje, pochodzenia niemieckiego, i pisał się właściwie Dönhoff, a pieczętował się herbem własnym, w którym głowa dzika z kłami na polu białem, albo złotem, na tarczy jest wyobrażona. Panegiryci heraldyczni twierdzą, że Mejnhard, pierwszy apostoł i biskup inflancki około 1230 r. był z tego domu ¹⁾; pewniejszem jest wszakże, że ród ten pochodzi z Westfalii, że członkowie jego w końcu XIII wieku brali udział w wyprawach Kawalerów Mieczowych w Inflantach i Kurlandyi, że później osiadłszy w tych prowincjach, zapomnieli swego pochodzenia i stali się najlepszymi Polakami. Jest to więc niezaprzeczonym dowodem, że narody panujące li tylko przez łagodność ustaw krajowych i najszerszą tolerancją, najprędzej i najpewniej dochodzą do zupełnego zespolenia narodów podbitych. Dobrze się radą i szablą zasłużyli krajowi, który ich przyjął i szczerze wynagradzał za usługi, jakie dla niego nieśli. Widzimy pomiędzy nimi wojewodów parnawskich, pomorskich, maiborskich, połockich, kilku kasztelanów, dygnitarzy, nawet buławy polne litewskie. Lecz największym splendorem tego domu była purpura kardynalska, którą papież Inocenty XI obłożył w 1686 r. Jana Kazimierza Denhoffa opata mogińskiego, syna Teodora podkomorzego w. koronnego, gdy ten po zwycięstwie wiedeńskim, wysłany był przez Jana III z wielką

¹⁾ Niesiecki. T. II, str. 66, wydanie 1733 r.

chorągwią Mahometa, ofiarowaną od króla papieżowi, dla zawieszenia na Watykanie ku wiecznej pamięci tego stanowczego pogromu Islamu przez rycerstwo polskie. W rok później mianował go papież biskupem Cezeny *in partibus infidelium*. On to sprowadził do Polski w 1685 r. księży Trynitarzy, którzy wedle swej reguły oddali tyle posług krajowi, wykupując naszych jeńców z więzów pogańskich¹⁾. Denhoffowie osiągnęli w stanie duchownym najwyższe zaszczyty: przemileczeń tu nie można o Janie Albrechcie biskupie krakowskim, nazwanym dla swej wymowy Chryzostomem polskim, a który piastując wielką pieczęć koronną, jako kanclerz państwa odpowiadał *ex abrupto* od Jana III legatowi papieżkiemu, Jakubowi Cantelmiemu arcybiskupowi Cezarei, i wszystkich obecnych swą elokwencją zachwycił.

Gniazdem tego rodu u nas było miasteczko i zamek Szwekezten na Żmudzi, z kąd się też wszyscy Denhoffowie pisali.

Nie lada więc komu powierzał Pan Krakowski swą córkę i ogromne wiano, które z nią oddawał. Oprócz krzesła w senacie, jako wojewoda połocki, piastował Stanisław Denhoff buławę połą litewską, i posiadał, oprócz dóbr rodzinnych, odziedziczonych po ojcu, wojewodzie pomorskim, starostwa²⁾: kałuskie, kościerzyńskie, nowomiejskie i latowickie. August II mianował go naprzód za silne poparcie swój elekeyi łowczym litewskim, a później miecznikiem koronnym. Podczas ciężkich zaburzeń, które kraj przebywał z powodu najazdu szwedzkiego, został on niezmiennie wiernym swemu monarsze, za co Szwedzi niszczyli i plądrowali jego dobra. Konfederacya generalna sandomierska obrała go swym marszałkiem 1704 roku; posiadał naówczas wielką władzę, i był prawie dyktatorem tam, gdzie nie było wojsk nieprzyjacielskich. Nie użył jej wszelako na złe, i nawet

¹⁾ Encyklop. powszechna. Tom III, str. 316.

²⁾ Niesiecki jak wyżej, str. 70.

po abdykacyi Augusta II bynajmniej go nieodstąpił, w czem się Stanisław Denhoff zupełnie różnił od przyszłego swego teścia: bo przez całe życie wytrwale postępował raz wytkniętą drogą, nie zbaczając z niej nigdy, za co wynagrodzony był przez Króla buławą polną litewską w 1709 r., a województwem połockiem w 1724 r. Konfederacya tarnogrodzka jeszcze silniej związała go z dynastją Saską. August II, po ukończonej wojnie, chcąc mu wynagrodzić zniszczenie dóbr przez Szwedów, wyznaczył mu, za zezwoleniem stanów, roczną pensją ze skarbu koronnego w ilości 60,000 złp. Był to więc mąż dojrzały i głęboki statysta; choć osobiście odważny, więcej dopomagał radą, niż szablą swemu monarsze, i nieraz w najcięższych chwilach tego burzliwego panowania oddał mu niezaprzeczone usługi.

Lecz poznavszy choć pobieżnie pochodzenie rodu i zasługi pana młodego, wróćmy do opisanja uroczystości weselnych, zachowując opowiadaniu, o ile to się da, cechę owoczesną.

Wesele miało się odbyć we Lwowie 30 lipca 1724¹⁾ r.; termin ten naznaczony był przez samego pana kasztelana krakowskiego, który go opóźnił o parę tygodni, gdyż dla poratowania zdrowia był na kąpielach w Szkle, czyli, jak się wyraża autor rękopisu, zażywał wód i therm tamecznych.

Dziś to miejsce nie ma żadnego rozgłosu i nie figuruje w spisie balneologicznym wód mineralnych galicyjskich; zaledwie podobno c. k. Zarząd wojskowy posyła tam swych chorych żołnierzy. Miejscowość ta położona jest o pięć mil od Lwowa i o milę od Jaworowa; posiada źródła siarczane, które znane już były w wieku XVI, gdyż w 1578 roku opisywał je Wojciech Oczko²⁾. Dość, że Pan Krakowski, chcąc dokończyć kuracyi, nie mógł osobiście dopilnować przygotowań do tego uroczystego aktu; zdał to więc na swą mał-

¹⁾ Rękopism współczesny.

²⁾ Encykl. powszechna. Tom II, str. 248.

żonkę, Elżbietę z Lubomirskich, panią wielce energiczną i zapobiegliwą. Listy zaś zapraszające, tak do cudzych krajów, jako też do JMściów panów senatorów, ministrów, dygnitarzy, urzędników ziemskich i oficerów wyższej szarży, po województwach, ziemiach, powiatach Korony Polskiej i W. Ks. Litewskiego, były zawczasu rozesłane przez dworzan J. O. JMści Pana Krakowskiego i JW. hetmana polnego litewskiego.

W piątek 25 lipca przybyła z Lublina J. O. JMśc Pani Krakowska z córką, wstępując do Szkoła dla rozmówienia się jeszcze z małżonkiem. Stała w pałacu swym na przedmieściu Halickiem, gdzie też ją zaraz przed południem w liczbie innych dostojnych gości odwiedzili: książę JMśc Józef Lubomirski starosta spiski i JW. JMśc pan wojewoda podlaski, Stanisław Rzewuski hetman polny koronny, który od tygodnia był zjechał do Lwowa na koło generalne wojskowe. Wieczorem była świetna recepcya w tymże pałacu, a nazajutrz bardzo rano Pani Krakowska kazała się zanieść w lektyce na Zamek niższy, gdzie wydawała różne dyspozycje dworskiej asystencyi, i wraz z gośćmi opatrywała apartamenta przygotowane dla państwa młodych. A miały być one przepysznie ustrojone w bogate obicia, drogocenne meble i pajaki kryształowe, bogate kredense napelnione srebrnem i pozłocistem naczyniem; szczególnie łóżko inkrustowane metalem i perłową macią, niezmiernie wysokie, pod baldachimem z ciężkiej bogatej lionskiej materyi, osłonięte kotarą z perskiego jedwabiu, podbitego przezroczystym muślinem, wprawiało wszystkich w słuszny zachwyt, tak, że Pani Krakowska dała polecenie puszczać każdego bez różnicy kondycyi, dla oglądania tych magnificencyj i bogactw, a napływ ciekawych na zamku był dnia tego ogromny.

Dano znać, że na południe miał przybyć pan wojewoda połocki. Wszyscy więc koligaci i klienci domu Sieniawskich, obecni w mieście, wybiegli o milę za rogatkę dla zajechania drogi panu młodemu, który w tak świetnej

asystencyi i otoczony własną, nadzwyczaj bogatą kalwarką, złożoną z 500 wierzchowych i luźnych koni, zajechał szumnie i ludno przed pałac, gdzie oddał J. O. JMści Pani Krakowskiej i J. O. JMści Pannie Krakowskiej pierwsze powitanie i submissyą; pozostał tam na obiedzie, i przed wieczorem dopiero udał się do swego mieszkania, które miał naprzód zamówione we dworze Ichmściów JP. Łosiów, gdzie odbierał wizyty JW. pana hetmana w. k. i innych dostojników. Dnia tegoż JMśc pan Józef Potocki wojewoda kijowski, marszałek trybunału koronnego, z JMśc panami deputatami i JMśc panem Adamem Rzewuskim kasztelanem podlaskim, w licznej asystencyi karet, konnych dworzan i klientów swego domu, zajechał przed pałac dla złożenia swej wizyty Pani Krakowskiej.

Przepych i bogactwo tego magnata każdemu były dobrze znane: opowiadano sobie wówczas po kraju solenny wjazd, odbyty przez niego w przewodnią niedzielę tegoż samego 1724 r., gdy jako marszałek trybunału koronnego do Lublina przybywał. Nikt z jego poprzedników nie roztoczył przy tej okazji podobnej ostentacyi, która go musiała krocie kosztować. Eskortowały go tylko jego wojska nadworne, utrzymywane własnym kosztem, bogato i ozdobnie umundurowane, składające się z regimentów pieszych regularnych, rajtaryi, dragonii, chorągwi polskich i wołoskich, nadwornych janczarów i kozaków ukraińskich. Podziwiano ogromną asystencyą, złożoną z dwudziestu kilku senatorów i dygnitarzy koronnych i litewskich, samych krewnych i koligatów jego domu, urzędników ziemskich i wielu szlachty godnie urodzonych, którzy się liczyli pomiędzy jego klientami. Otaczał go dwór niesłychanie liczny, prowadzono karety, furgony i wozy ładowne; osobliwie konie powodne, bardzo dzielne rassy tureckiej, hiszpańskiej, neapolitańskiej i krajowej, z siedzeniami i rzędami szczerozłotemi, sadzonymi drogiemi kamieniami, bogato ozdobne dywdykami, kałkanami i buzdyganami (moda turecka i perska, rzadko w Pol-

sce widziana), wprowadzały każdego w zachwyt i podziwienie. Każdy miał świeżo w pamięci dziwy, które wtedy opowiadano o wjeździe lubelskim; dodawszy zaś do tego, że trybunał koronny, agitujący się tego roku pod laską pana wojewody kijowskiego, dał dowody najsurowszej sprawiedliwości, nie dopuszczając najmniejszej korrupcyi; nie dziwnego, że kalwakata tego pana, podążająca do pałacu na Halickie, powitaną była przez całą ludność szczeremi aplauzami. Piastując buławę wielką koronną, zmarł Józef Potocki na swoim zamku Załosieckim, w dawnym województwie wołyńskim, w późnej bardzo starości, bo w 83 roku życia, 19 maja 1751 r.

Przed samym wieczorem w sobotę nadbiegł oficer, przysłany ze Szklä od Pana Krakowskiego, dający znać, żeby nikt naprzeciw Jegomości nie wyjeżdżał, że chce wjechać do miasta *privatissime*, co się też i stało wedle jego woli; na samem jednak wysiadaniu do pałacu powitany był tylko przez przyszłego zięcia, pana wojewodę połockiego, od którego się mu ta rewerencya słusznie należała. O zmroku już nadebrało z Brzeżan 300 grenadyerów i muszkietierów regimentu pieszego, nadwornego J. O. JMści Pana Krakowskiego, pod komendą JP. majora Elerta, i 250 bardzo strojnej dragonii, pod komendą JP. obersztlejtanta Krupińskiego, z kottami, bębnami i muzyką wojskową, przy swych sztandarach, i obiedwie partye zaciągnęły wartę na zamku, z powodu mającego się tam odbyć wesela.

W niedzielę 30 lipca o godz. 7 zrana, JOMśc Państwo Krakowskie z córką, przenieśli się z pałacu do zamku, i tam już odbierali wizyty od niezliczonych gości, którzy się na akt weselny do Lwowa zjechali. Sam zamek i jego atynencye były świątecznie i stosownie do okoliczności przystrojone. U wjazdu na zamek i na wewnętrzny dziedziniec wzniesione były dwie bramy tryumfalne, po 50 łokci wysokie, ubrane w drzewa oliwne, alegoryczne geniusze i emblemata, reprezentujące miłość i pokój, różne armatury

i herby Króla Jegomości i dwóch mających się połączyć domów. Przed kancelaryą grodzką, znajdującą się na zamku, wzniesiony był portyk w stylu greckim, okryty napisami alegorycznemi, zastosowanemi do okoliczności. Na lewo przy oficynach stało Amfitheatrum, wystające nad mur miejski na sześć łokci, wsparte na pięknych słupach i arkadach i ozdobione wewnątrz malowaniem dekoracyjnem na płótnie, które miało przedstawiać oliwne i cytrynowe gaje Grecyi i Italii. Obite całe czerwonym sukniem z wystającym gankiem wchodowym i przyozdobione herbami domów skoliigaconych, służyć miało dla gości przypatrujących się różnym fajerwerkom i iluminacyom, które miasto Lwów zamierzało wyprawić w czasie tych godów weselnych. Wszystkie te tymczasowe struktury, również jak i sam zamek, oficyny, stajnie, atyneneye i mur okalający zamkowe budowy, od dołu do góry przyozdobiono lampami oliwnymi, przybitemi jedna koło drugiej, które gorejąc jasno, sprawiały dziwnie uroczy widok. Przed kolumnami stanęła infanterya, uszykowana w trzy rzędy; koło amfiteatru dragonia konno, w dwa szeregi; przy bramach piechota kurucka, semeńska i chorągiew janczarska, każda ze swą muzyką. W zamku na galerji, koło górnych apartamentów, zaciągnęło wartę 50 spieszonych grenadyerów od dragonii, przy swych oficerach; przy dolnych pokojach paradowało tyluż muszkietarów od infanteryi.

Przed godziną trzecią zaczęli się zjeżdżać na zamek zaproszeni goście, których okazała się *numerosissima frequentia*; każda kareta odjeżdżała natychmiast na miasto. Pan młody, który tego ranka przeniósł się do pałacu na Halickie, ruszył ztamtąd około szóstej z południa, na dzielnym koniu tureckim maści białej, ubranym w rząd bogaty, wysadzany dyamentami, oceniony na 2,000 czerwonych złotych, sam w bogatej litej delii, otoczony liczną kalwakatą, wynoszącą z górą dwa tysiące koni, przepysznie ustrojona i uzbrojona. W pięknym porządku ciągnął ten orszak przez

przedmieścia, ulice miejskie i rynek. W pierwszej bramie miejskiej powitały go kotły i trąby. Wieża ratuszowa, izba sądowa radziecka, wszystkie okna domów prywatnych, przystrojone były w proporce, chorągwie i kobierce. Pospólstwo zalegało ulice tak, że trudno było przez nie się przecisnąć, chociaż pacholey miejscy pilnowali porządku. Ciekawi obśiedli nawet dachy domów, obok których ten orszak miał przeciągać. Wjazd ten trwał z górą trzy godziny, w czasie którego całe miasto i zamek rozlegały się rezonancją wesołej muzyki. Wszyscy senatorowie i dygnitarze, asystujący panu młodemu, pomiędzy którymi byli pp. hetman w. kor. i wojewoda ruski, zsiadłszy z koni u bramy zamkowej, odesłali je na miasto dla braku miejsca; jeden *neosponsus* podjeżdżał konno do podwoi głównych, poprzedzany przez 36 pokojowców ze szlachty, przybranych w kontusze sukienne, ponsowe ze srebrem i w żupany atlasowe błękitne. Dwunastu zaś pazików, mających na sobie aksamitną barwę turecką, areybogato i rześisto srebrem i złotem szamerowaną, otaczało pieszo jego wschodniego dżianeta, którym pan hetman polny litewski, mimo jego ognia i dzikości, swobodnie władał i ze zręcznością się sprawiał.

J. O. Pani Krakowska, otoczona damami, przypatrywała się temu wjazdowi z galerii, powitała uprzejmie zsiadającego z konia swego przyszłego zięcia, i w tej chwili infanterya i dragonia dały salwę z ręcznej broni, na którą artylerya, złożona z 23 dział ustawionych na wałach miejskich, hucznie odpowiedziała. Po czem wszyscy w pięknym porządku weszli do dolnych pokoi, gdzie pan młody uczynił swą *submissyą* J. O. Panu Krakowskiemu i J. O. Pannie Krakowskiej, a przez wszystkich zacnych gości został wzajemnie powitany. Nastąpiła oracya, wypowiedziana przez ks. Janusza Wiśniowieckiego wojewodę krakowskiego, a druga przez JMśc pana Jana Jabłonowskiego wojewodę ruskiego. Każda z tych oracyj trwała blisko dwie godziny. Dostojni mówcy starali się w stylu napuszonym, gęsto naszpikowa-

nym łacińskimi makaronizmami, właściwemi owej epoce, wynosić pod niebiosa zasługi obudwóch domów, świetność ich rodów, ich *merita in Republica* etc. etc. Tu po należytem błogosławieństwie, danem przez dostojnych rodziców, krewnych, koligatów i znakomitszych gości obojga plei, którym młoda para do nóg padała, lub do kolan się schylała, co sprawiało nader rozrzewniający widok, nastąpił akt religijny u ołtarza suto udekorowanego i rzeźbiście iluminowanego świecami jarzącemi, celebrowany przez JMci księdza Jana Skarbka arcybiskupa lwowskiego, przyczem kapela i śpiewacy włoscy zaintonowali hymn *Veni Creator Spiritus* przedziwnie egrzekwowany.

Po ukończeniu tego obrzędu, przeszli wszyscy przy dźwiękach muzyki do sali górnej, gdzie czekały ich suto i bogato zastawione trzy stoły. U pierwszego tedy pod portretem Jegomości, otoczonym istnym gajem drzew pomarańczowych i cytrynowych, zasiedli państwo młodzi, mając obok siebie księdza arcybiskupa lwowskiego, ks. nominata chełmskiego, wojewodów ruskiego i kijowskiego. Inni dostojni goście zasiedli u drugiego stołu z Panią Krakowską; reszta zaproszonych pomieściła się u trzeciego i w przyległych wielkiej sali pokojach. W tej chwili zapalono iluminacją, która dziwnie jasno gorzała i rzucała lunę aż do kościoła archikatedralnego, tak, że cały zamek zdawał się być w ogniu. J. O. Pan Krakowski, mocno jeszcze niedomagający, nie mógł być obecny na tej uczcie weselnej; zabawiał się w dolnych pokojach, otoczony osobami sobie bliższymi. Przesłał ztamtąd pierwsze zdrowie J. Król. Mości, drugie potem Rzeczypospolitej, nareszcie trzecie państwa młodych, powitane każde huczną bardzo salwą z ręcznej broni i artyleryi. Nastąpiło dalej zdrowie nieobecnego ks. prymasa Teodora Potockiego, a potem jeden po drugim wiwaty za wszystkich *honoratiores* obecnych i nieobecnych, w pięknym i umiejętnym po sobie porządku, aby nikomu w procedencyi nie chybić. Salwy armatnie, wywołane temi wiwatami, nie ustawały do końca

uczty; wino przewyborne lało się strumieniami. Nad kredensami, zastawionemi starożytnymi srebrami Sieniawskich, wznosił się chór o trzech kondygnacyach, na którym przygrywały rozmaite muzyki: przy pierwszym daniu, JMści pana wojewody połockiego, przy drugim daniu, JMści pana hetmana p. k., a przy wetach kapela włoska Pana Krakowskiego, która przedziwnym koncertem weseliła gości.

Po uczcie wyszli państwo młodzi i goście na amfiteatr wyżej opisany, zajęli miejsca na krzesłach i ławkach karmazynowem suknem obitych, a przez puszczonej racę i wystrzał armatni dano znak do rozpoczęcia fajerwerku. Owcześnie autor opowiada o nim, jakby o ósmym cudzie świata, i dziwić się temu nie można, bo wtedy jeszcze sztuka pyrotechniczna nie była doprowadzoną do takiej, jak dziś, doskonałości. Musiał on jednak kosztować niemałą sumę; i miasto Lwów wystąpiło tu *honeste*: na Wysokim Zamku wystawiona była brama tryumfalna z herbami państwa krakowskich i państwa młodych; gorejąca w ogniu cała wysoka piaszczysta góra, nie przerobiona, jak dziś, na spacer miejski, i ogołocona ze wszelkiej roślinności, jaśniała różnokolorowemi lampionami, tworzącemi dziwne arabeski. Puszczano bomby, race, szmermele i przeróżne kosztowne fajerwerki, które całe miasto w podziw wprowadzały. Nakoniec za danym z Wysokiego Zamku wystrzałem armatnim, goście przeszli do sali balowej, rzęsiście oświeconej i udekorowanej; rozpoczęto tańce, acz niedługo trwające, dla spóźnionej pory, przy dźwiękach przedziwnej włoskiej kapeli państwa krakowskich. Nad rankiem wszyscy się rozjechali do siebie, a Jegomość pan wojewoda połocki konno, otoczony liczną asystencyą i mnóstwem pochodni jarzących, wrócił do pałacu.

Dzień poniedziałkowy, to jest 31 lipca, zeszedł od rana na wspólnem wizytowaniu się magnatów i dygnitarzy, którzy się do Lwowa z tej okazji zjechali; przyczem urzędnicy ziemscy i szlachta obiegali dostojnych panów i submitowali

im swe powolne usługi. Przed wieczorem zaczęto się zjeżdżać na zamek, a około szóstej z południa zajechał JMśc pan wojewoda połocki z podobną wczorajszej kalwakatą, tylko że pokojowcy i paziowie przywdziali odmienną barwę, a sam pan młody siedział na gniadym koniu tureckim, również dzielnym i ognistym, jak wczorajszy, lecz przybranym w inny rząd i siedzenie bogato turkusami sadzone. Przywitania odbyły się w dolnych apartamentach, poczem wszyscy przeszli do wielkiej sali, zastawionej do uczty, przy której wznoszono przeróżne zdrowia i wiwaty; goście byli wywczasowani, więc ochota służyła. Przed tańcami zabawiano się fajerwerkami i iluminacją, przypatrując się im z amfiteatru. Dowcip i koncepta puszkarzy i zagranicznych dekoratorów odtworzyły w transparencie postać JMci pana wojewody połockiego, hetmana polnego litewskiego na koniu, w pełnej zbroi, unoszącą się nad bramą tryumfalną na Wysokim Zamku, i gorejącą różnokolorowemi ogniami. Zabawiano się później w sali balowej tańcami, narodowemi i francuskimi, do samego rana. Jegomość pan wojewoda połocki przetańczył taniec polski z J. O. JMścią Panią Krakowską, później z panną młodą, którą, gdy w tańcu, jako najpoważniejszy z jej krewnych, odbił książę JMość wojewoda krakowski, odprowadził ją zaraz za rękę do łóżnicy; goście jednak zabawę ochoczą kontynuowali.

Dzień wtorkowy 1 sierpnia zszedł spokojnie, gdyż każdy z zaproszonych potrzebował wypoczynku. J. O. JMśc Państwo Krakowskie i Jegomość pan wojewoda połocki z małżonką dzień cały oddawali wizyty po mieście wszystkim gościom, którzy ich gody weselne swą obecnością zaszczytili. Zanotować jednak należy, że chociaż wszyscy obecni, jako też nieobecni, również jak deputaci z różnych miast i prowincyj, przygotowali się do złożenia różnych podarunków JMściom państwu młodym, jednak teść i zięć absolutnie się temu sprzeciwili i najgrzeczniej od przyjęcia

się onych uchylili, twierdząc, że nie dla tego gości zapraszano, aby podarunki dawali.

D. 2 sierpnia we środę był wielki natłok karet na zamku; J. O. JMśc Pan Krakowski, mocno jeszcze niedomagający, gwoli zdrowszego powietrza przeniósł się do swego pałacu na Halickie, do dolnych apartamentów, gdzie przyjmował odwiedziny łaskawych na siebie.

D. 3 sierpnia, we czwartek, miała być recepcya u JMści pana wojewody połockiego; zapraszał więc wszystkich magnatów i gości do pałacu arcybiskupiego w rynku, który cały ku wieczorowi zajaśniał przedziwną iluminacją. Gorzało do 2,000 pochodni i niezliczona moc świec jarzących dwufuntowych, ustawionych w ogromnych, umyślnie na to sporządzonych lichtarzach, i z górą 10,000 lamp oliwnych po wszystkich oknach, gzemsach i dachach, otaczających rynek — wszystkie przyozdobione stosownemi symbolami i inskrypcjami. Fronton pałacu jaśniał w ogniu; podziwiano w transparencie portret Pana Krakowskiego, uwieńczonego herbem Leliwą i herbami wszystkich kolligatów. Całe miasto wydawało się jakby w pożarze; magistrat lwowski nie ustąpił w tem panu młodemu, który z nadzwyczajnym pośpiechem, a szczególnie w największej tajemnicy, przygotował tę kosztowną niespodziankę. Ratusz z wieżą, Poczta, Izba sądowa radziecka i główne publiczne i prywatne gmachy jaśniały transparentami Ich Mściów *Neosponsorum*. Tymczasem dworska asystencya JMści pana wojewody połockiego przyozdabiała od rana górne apartamenta w pałacu na Halickiem bogatemi obiciami wschodniemi i lionскими, lustrami, pajakami, przedziwnemi zamorskimi meblami i kosztownemi kredensami, zasobnemi w srebrne i złociste naczynia, przywiezionemi z jego dóbr, lub z za granicy.

Gdy tak całe miasto objęte było jakby jednym sztucznym i dziwnie pięknym pożarem, wyjechał JMśc pan wojewoda połocki konno, przy ludnej bardzo asystencyi

i przy pochodniach, a Jejmość pani wojewodzina połocka z swą matką J. O. Panią Krakowską, w nowej pozłocistej, bardzo pięknej karecie, ze wszech stron oszklonej; szły w niej cztery pary nadzwyczaj pięknych i rosłych koni hiszpańskich w kitach i szorach aksamitnych karmazynowych z frendzlą złotą, pokryte pozłocistemi kapami. Otaczało karete 12 lokajów z pochodniami; na pasach stało 4 paziów z piórami białemi u kapeluszy, a poprzedzało ją czterech trębaczy. Cała służba, również jak stangret wysoko siedzący na koźle udrapowanym aksamitem z herbami, i forysie na koniach, w liberyi z ponsowego francuskiego sukna, złotemi galonami suto szamerowanej. Trębacze jadący po przedzie trąbili: przed wieżą ratuszową, przed odwachem infanteryi i dragonii, i nakoniec przed samym pałacem; ze wsząd zaś im odpowiadały muzyki wojskowe na kotłach i trąbach. Gdy JMśc pan wojewoda połocki zsiadał z konia, a Ich Moście wysiadały z karety, rajtarya nadworna JW. Denhoffa i własnych jego 19 armat, ustawionych przed Bernardynami, dały głośną salwę po dwakroć, ku wielkiej uciechu całego pospólstwa, od którego dachy na rynku się łamały.

W górnych apartamentach pałacu arcybiskupiego zaproszeni goście nie mogli się wstrzymać od zachwytu. W sali rzeźbionej oświeconej przedstawiały się dwa stoły, jeden w formie półksiężycy, a drugi w formie gwiazdy, gnące się pod ciężarem srebrnych i pozłocistych naczyń, saskiej i japońskiej porcelany, rznętych kryształów i puharów, brązowych kandelabrow, zastawione najprzedniejszymi potrawami i misternymi wyrobami z cukru. Geniusz unoszący się nad herbową gwiazdą i półksiężycem, podtrzymywał herbowy klejnot Leliwy, a na drugim stole podobny geniusz zdawał się unosić w powietrze herbową Srzeniawę, wszystko kunsztownie z cukru, karmelu i konfektów wyrobione. Nim usiedli do stołu, Orator Collegii WW. OO. Jezuitów witał państwa młodych szumnym i napuszonym panegiry-

kiem, w którym naturalnie pochwał im nie szczędził, a wysoko wynosił parentelę i nowo zawiązujące się przez to małżeństwo kolligacye. U stołu w gwiazdę zrobionego zajęła pierwsze miejsce J. O. Pani Krakowska, mając po prawej stronie Jejmość panią Stefanową Potocką wojewodzinę belzką ¹⁾, a po lewej — świeżo zaślubioną córkę, Jejmość panią wojewodzinę połocką, około której zajął miejsce JMśc ksiądz arcybiskup lwowski, za nim JMśc ksiądz nominat chełmski, dalej inne damy w należyтым porządku. U drugiego stołu zasiedli: Jejmość pani Józefowa Mniszchowa marszałkowa w. k. ²⁾, J. O. JMśc pan Adam Sieniawski kasztelan krakowski, hetman w. k. i wojewodowie: podlaski JMśc pan Stanisław Rzewuski, kijowski JMśc pan Józef Potocki, i ruski JMśc pan Jan Jabłonowski, oraz inni senatorowie i magnaci, którychby tu trudno wyliczyć. U trzeciego stołu w drugiej sali i po innych pokojach rozsiedli się wszyscy inni zaproszeni goście, suto podejmowani przez gościnnego gospodarza, który do stołu nie siadał, zmuszając do jedzenia przewybornych potraw i cukrów, a szczególnie do spełniania rześzystych kielichów, w czem mu jego dworzanie z bogatej szlachty, sumiennie dopomagali. Gdy się tylko zaczęła ta cukrowa kolacya, wniósł gospodarz zdrowie Króla Jegomości, potem Rzeczypospolitej, JO. JMśc Kaństwa Krakowskich, księdza Jegomości prymasa, i następnie zdrowie innych Ichomościów, tak obecnych, jak nieobecnych, które tu wypisać trudno, wszystkie w należyтым porządku. Za każdym wnoszonem zdrowiem trębacz ustawiony przy oknie podawał hasło, a rajtarya i ar-

¹⁾ De domo Anna Sieniawska wojewodzianka wołyńska, hetmanowa p. k., matka Mikołaja Potockiego starosty kaniowskiego.

Niesiecki, Tom III, str. 709 wyd. 1740 r.

²⁾ De domo Katarzyna Tarłówna wojewodzianka lubelska, matka Ludwiki, żony Józefa Potockiego wojewody kijowskiego, obecnego na tej uczcie.

Niesiecki, Tom III, str. 281, wyd. 1740 r.

tylerya nadworna pana młodego z ręcznej broni i 19 dział ustawionych przed pałacem, dawała huczną salwę. Za każdym echem, z czterech rogów z okien pałacowych, przez rynny umyślnie sporządzone z białej blachy, a wychodzące na ulicę, lano obficie wino węgierskie dla pospólstwa, które je wiadrami, konwiami, czapkami i kapeluszami roznosiło i na miejscu za zdrowie państwa młodych spijało. Ścisł przy tem był niesłychany; lecz pacholkiwie miejscy, o ile to w ich mocy było, przestrzegali porządku. Wytoczono też na rynek beczki z winem dla rajtaryi, puszkarzy i załogi wojennej, konsystującej w mieście. Czcigodny gospodarz zachęcał wszystkich do ochoty. Wina przewybornego była obfitość wielka, lało się ono rzeczywiście, jak widzimy, strumieniami. Po kolacyi goście podziwiali z okien pałacowych misterny fajerwerk, sporządzony nowym konceptem, gdzie połączone herby Leliwy i Srzeniawy gorzały nad studnią miejską, wśród rynku. Tańce do białego dnia zakończyły tę ostatnią recepcyą u pp. młodych, którzy o 6 z rana z dostojną matką odjechali do pałacu na Halickie, do apartamentów tak bogato dla nich przyrządzonych. Odjeżdżających żegnano jeszcze hucznemi salwami, przy szczerych życzeniach zebranego ludu, aby ich Bóg łaskawy obdarzył długim pasmem dni najszcześniejszych.

Nie długo jednak miało się to stadło cieszyć swem pożyciem małżeńskim. W niespełna cztery lata, bo w 1728 r. zmarł Stanisław Denhoff, a wdowa jego, po śmierci ojca, jako jedyna sukcesorka ogromnej fortuny Sieniawskich, stała się pierwszą partyą w kraju; tym więc sposobem otworzyły się szranki dla mnogich współubiegających się o jej rękę konkurentów.

Opis tych przepysznych uroczystości weselnych wywarł na nas dziwne wrażenie. Widać, że kraj opływał w dostatki; widać, że miał w sobie zasoby wielkiego wewnętrznego bogactwa, skoro się zdobywano na podobne gody weselne. Ale czy to bogactwo było krajowem, czy oznaczało ono

dobrobyt ogólny — to jeszcze pytanie, trudne do rozwiązania. Nie przeczę, że szlachta była w ogóle zamożną, że żyła sobie wygodnie po swych dworach; ale na pewno żaden z nich nie zamarzyłby nawet o sprawieniu tak hucznego i zbytkownego wesela dla córki. Przepych i bogactwo, które w ogóle cała Europa u nas podziwiała, skupiały się więc w rękę kilkunastu możnowładców, wszechwładnych prawie, stojących na czele partyi i rozdzielających kraj na zgubne stronnictwa, a dla których, jak mówiliśmy wyżej, ledwie że korona przedstawiała jeszcze jakikolwiek urok. Zaiste byli to królewężęta, jak ich słusznie nasz historyk nazywa; zapomnieli oni jednak w epoce, do której te gody weselne należą, o wysokiej i szczytnej tradycyi, która w XVI, a nawet w XVII wieku, pobudzała ich przodków do tak szlachetnych czynów rycerskich, gdy Polska była prawdziwym przedmurzem chrześcijaństwa od nawały muzułmańskiej, i gdy w 1649 r. Stanisław Lanckoroński kasztelan kamieniecki mógł śmiało powiedzieć: „że ojcowie nasi życie pełne trudów w dzikich polach pędzili, i że niejednokrotnie waleń swych kości zasypywali nieprzyjacielowi drogę, aby wewnętrzności Rzeczypospolitej nie targal”.

